

Marek Łuszczyński

MAŁA
ZBRODNIA

polskie
~~powojenne~~
~~komunistyczne~~
obozy
~~pracy~~
koncentracyjne
~~karne~~

Marek Łuszczyna

**MAŁA
ZBRODNIA**

Polskie obozy
koncentracyjne

ZNAK HORYZONT

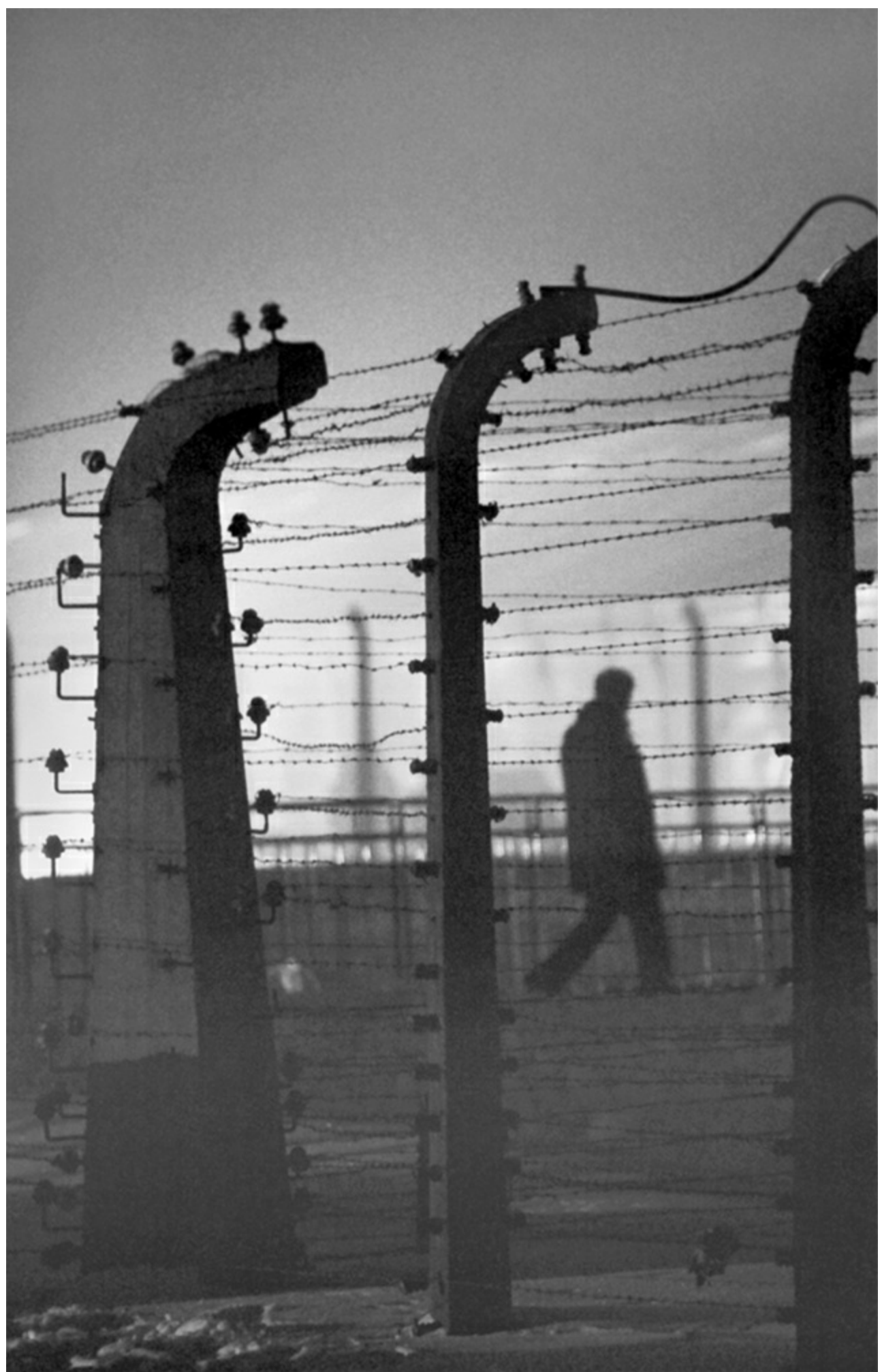
Kraków 2017

*Przeszłości nie da się traktować
wyłącznie jak „martwego ciężaru”, lecz trzeba uwzględnić pamięć, która
stanowi ciężar
zmarłych i wyrządzonych im krzywd.
Stawiają oni wymagania wobec teraźniejszości.*

Hannah Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*,
przeł. Daniel Grinberg, Mariola Szawiel

WSTĘP

Czyli nieznana
dotąd prawda



1.

Napisano: dobrzy ludzie mają zwyczaj zapominać, że światem rządzi polityka i zasada dogodnego kompromisu. Nie pamięta o tym na przykład Willibald Piesch z Hamburga. Nie chce od Polski żadnego odszkodowania. Nie chce rewizji granic.

– Rozumie pan, głupia jest ta komunistyczna histeria, propaganda. Ona działa wciąż. Pan też wierzy, że Niemcy chcą z powrotem...? – pyta łamaną polszczyzną i zatrzymuje się na ulicy, żebym mu przypadkiem nie próbował odpowiedzieć od niechcienia.

– Jednak coś takiego jak rewizjonistyczna histeria naprawdę istniało. Niemcy uznali swe powojenne granice wschodnie dopiero w 1989 roku – mówię.

Zatrzymuje się i z rozczarowaniem patrzy na mnie znad okularów. Zaraz powie, że chciałby tylko, żeby ludzie się dowiedzieli, jak umarł jego ojciec. Trzeba to wydobyć na światło dzienne i głośno powiedzieć, że w Wadowicach, rodzinnym mieście papieża, był polski obóz.

– Akurat Wojtyła wyszedł z tych Wadowic szybko, dotarł do Rzymu i stał się jedną z najważniejszych osób, które przyczyniły się do upadku morderców pańskiego ojca.

Macha ręką i utykając, rusza dalej drobnym kroczkiem. Drobię za nim, patrząc na uszyty na miarę płaszcz z postawionym wysokim kołnierzem, zasłaniającym niemal całą jego siwą głowę.

Wiem, że powinienem mu to teraz powiedzieć.

– Nie ma szans, żeby odnalazł pan prochy ojca. Nigdy się pan nie dowie, gdzie i kiedy zginął.

Nie zaskoczyłem go, on już tego ojca pochował, odprawił żałobę, ma to za sobą.

– To niech pan chociaż opowie o tym, dlaczego inna wersja powojennej historii jest w Warszawie, inna na Śląsku, inna w okolicach Bydgoszczy – podnosi głos.

– A jeszcze inna według Eriki Steinbach.

– No inna. Też zła. Dlaczego w Polsce ludzie nie wiedzą?

Drży lekko, jak w początkach parkinsona. Patrzy mi w oczy. To żądanie odpowiedzi przygwaźdza.

– Chodzi o to, żeby nie relatywizować Holokaustu. No i o polską rację stanu. Niech pan sobie wyobrazi, co by się stało, gdyby sformułowanie „polski obóz koncentracyjny” zostało wypełnione treścią.

2.

Kilka dni wcześniej Willibald Piesch zadzwonił do swego kolegi ze studiów, pracującego w dziale zagranicznym hamburskiego dziennika „Die Welt”. Powiedział, że przyjeżdża reporter z Polski, który chce porozmawiać o polskich obozach koncentracyjnych. W portowej kawiarni śmierdzącej smażeniną Piesch opowiedział koledze wszystko, co wie na ten temat, a także to, co usłyszał ode mnie przez telefon. Dziennikarz wysłuchał go, wstał, zapłacił rachunek i wyszedł bez słowa. Potem, trzymając słuchawkę w drżącej dłoni, Piesch zapytał go, o co chodzi. „O co chodzi? Za kilka tygodni rocznica wyzwolenia Auschwitz, w Polsce będą wszyscy, od Obamy do prezydenta Hondurasu, a ty mi takie rzeczy opowiadasz? Jak ci nie wstyd!”

Wszystko, co powiedział mu Piesch, było prawdą.

Między 1945 a 1950 rokiem w Polsce działało sześć obozów pracy przymusowej oraz obozów koncentracyjnych, w których przetrzymywano Niemców, Ukraińców, Łemków i Polaków. Do ich stworzenia wykorzystano nienaruszoną infrastrukturę nazistowską, porzuconą przez wycofujące się załogi niemieckie.

Nie ma tu mowy o spontanicznej zemście ludności polskiej, nie chodzi o tak zwane dzikie obozy – otoczone drutem kolczastym kawałki pastwisk, na których pijani chłopcy pilnowali grupki Niemców. Polskie obozy były doskonale zorganizowane i podlegały Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego oraz Centralnemu Zarządowi Przemysłu Węglowego. Istniały w całej Polsce. Zaadaptowano szereg podobozów Auschwitz, a także wiele baraków w obozie zagłady Birkenau, podobozy Majdanka i Stutthofu. Obóz Urzędu Bezpieczeństwa istniał także w centrum Warszawy. Prycze w miejscach, gdzie dokonała się największa zbrodnia w historii ludzkości, już kilka tygodni, a nawet kilka dni (jak w wypadku Auschwitz II-Birkenau) po ich wyzwoleniu zapełniały się nowymi więźniami – wrogami władzy ludowej. „Gryzły nas te same wszy” - wspominała Elisabeth Kuśnierz, mieszkająca później w Niemczech więźniarka powojennego Oświęcimia.

Wzorcem dla nowej władzy były naturalnie radzieckie łagry i pod względem umieralności więźniów, zwłaszcza na Górnym Śląsku, udało się Polakom dorównać sowieckiej machinie, stworzonej, by ścierać ludzi na proch. Rządzący Polską w latach czterdziestych i pięćdziesiątych nie zatarli śladów po masakrach, torturach oraz uśmierceniu przez pracę ponad sześćdziesięciu tysięcy Niemców, Łemków, Ukraińców i Polaków, w tym Żołnierzy Wyklętych. Archiwum Akt Nowych oraz Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji pękają w szwach od danych na temat naszych obozów. Wciąż żyją ofiary, świadkowie i oprawcy.

3.

Niemiecki dziennikarz wstał, wyszedł, a później nie chciał słyszeć o sprawie. Myślał, że Willibald chce mu opowiedzieć o kimś, kto powie coś związanego z nadchodzącą rocznicą. Pracownik Instytutu Pamięci Narodowej przestał odbierać moje telefony. Zagroził procesem, jeśli zacytuję to, co powiedział w pierwszym odruchu szczerości: „My, w IPN, mamy złych i dobrych Polaków. Żli to, wiadomo, aparat bezpieczeństwa, dobrzy – Żołnierze Wyklęci. Ale to jest nasza wewnętrzna, polska sprawa. I nie można nagłaśniać, że ci źli Polacy z MBP byli aż tak podli, żeby zakładać obozy koncentracyjne. Bo to ugodzi w polską rację stanu i już przestanie być tylko naszą sprawą. Mało mamy problemów z »polskimi obozami«, które były niemieckie?”.

Po kilku tygodniach zatelefonowałem, by powiedzieć, że ze strony niemieckiej prasy głównego nurtu nie mamy się raczej czego obawiać, bo w gruncie rzeczy po obu stronach granicy boimy się tego samego: relatywizowania Zagłady.

Nie odebrał.

SYSTEM

Czyli
Paweł Mąka odmawia



Akta osobowe. Cienka teczka.

Paweł Mąka – urodzony 23 października 1920 roku w Będzinie, technik budowy maszyn; przebieg służby: od 15 lutego 1945 roku zastępca kierownika Wydziału I Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach.

Kilka miesięcy później, 24 października 1945 roku, zwolniony dyscyplinarnie. Krótkie uzasadnienie – notatka ołówkiem kopiowym:

Mąka Paweł nie wykonując czynności służbowych w okresie swego długotrwałego urlopu zdrowotnego nadużywał władzy posługując się przytem legitymacją służbową.

To nieprawda.

W 1945 roku do aparatu bezpieczeństwa trafiał każdy, kto chciał „walczyć z kolaborantami i zdrajcami ojczyzny”. Budowano struktury, przyjmowano wszystkich, nawet ledwo piśmiennych, takich jak nieznany autor notki ołówkiem kopiowym. To się zmieni dopiero w 1947 roku, kiedy Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zorientuje się, że w szeregi UB przeniknęło wielu winowców i niemal każdy ruch nowych władz jest znany antykomunistycznemu podziemi.

A więc Mąkę wyrzucili za jakieś głupoty? Nie.

Poszło o obdzieranie ludzi ze skóry.

*

Paweł Mąka to mechanik z intuicją. Przed wojną brał silniki na słuch. Wszyscy w garażu musieli zamilknąć, a on wczłogiwał się pod wielkie cielsko, oglądał cylindry, prosił o próbny rozruch, słuchał, jak gadają naprawione egzemplarze, i od razu rozumiał tygrysi język. Dwunastocylindrowy silnik Maybacha o mocy ośmiuset koni jest wielki, ale niczym specjalnie się nie różni od silnika fiata 514 czy warszawskiego CSW z zakładów przy Mińskiej.

Na metalurgię na warszawskiej Politechnice Mąka dostał się bez trudu. Wrodzona łagodność kazała mu wzruszać ramionami nawet wtedy, gdy młodzież endecka nie drwiła, nie pluła, tylko od razu okładała pięściami. Kulił się, zasłaniał, wychodząc z założenia, że poddanie się oprawcom jest lepsze niż stawianie oporu. Nie wzmaga w nich wściekłości.

Kilka miesięcy przed wybuchem wojny na jednym z wykładów profesor matematyki, człowiek starszy, przyzwoity i zawsze elegancki, napisał na tablicy wzór i spytał:

„Czy ktoś może mi powiedzieć, jaki będzie tangens?”

A kiedy Paweł natychmiast podniósł rękę, szybko dodał:

„Nie potrzeba nam żadnych żydowskich odpowiedzi”.

„Panie profesorze, jeśli tak, to czemu korzysta pan z podręcznika mojego stryja, Henryka Mąki, profesora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, autora *Geometrii analitycznej*?”

Za wstyd, za czerwoną twarz profesora, za to, że starszemu człowiekowi odebrało mowę, koledzy z roku po zajęciach bili Pawła krzesłami dopóty, dopóki nie przestał się ruszać. Profesor wkroczył późno, tylko po to, żeby nie mieć Żyda na sumieniu.

Teraz Mąka ma przyszytą na piersi gwiazdę Dawida, ale będzińskie getto różni się od tych znajdujących się w Generalnym Gubernatorstwie. Teren między ulicami Wilczą, Wesołą i Podsiadły nie jest otoczony murem ani płotem, a Żydzi mają przede wszystkim pracować.

Na początku z getta ulokowanego w centrum Zagłębia Dąbrowskiego wywozi się do zagazowania tylko bardzo chorych, których niemiecka medycyna nie jest w stanie przywrócić przemysłowi zbrojeniowemu. Do sierpnia 1942 roku – dwa tysiące czterysta osób. Ostatecznie jednak Niemcy wymordują wszystkich i w sierpniu 1943 roku zostanie w będzińskim getcie zaledwie garstka ludzi. Dwadzieścia pięć tysięcy umrze w komorach gazowych.

Mąka codziennie wychodzi do pracy w warsztacie naprawiającym sprzęt wojskowy i tylko na niej się skupia.

– Wiesz, że Niemcy ludźmi w piecach jak drzewem palą czterdzieści kilometrów stąd? – pytają go koledzy.

– W Warszawie jest wielkie getto, Żydzi z głodu umierają, poupychani w dwadzieścia osób na mieszkanie; byłeś tam, może kogoś znasz, trzeba pomóc.

– W Auschwitz spopiela się naszych braci, Niemcom uda się to, co nie wyszło Egipcjanom.

– Żeby w takim silniku nie byli w stanie zamontować porządnego czujnika ciepła. Przecież zalewa, jak jest rozgrzany. Potem trzeba godzinę czekać, aż ostygnie i znów zapali – narzeka Paweł.

Sierpień 1942 roku, a jego interesuje przede wszystkim to, jakim cudem Niemcy w tak finezyjnej konstrukcji mogli umieścić wadliwy czujnik ciepła. Popełnia błąd, bo nikt jego roboty, uległości, chęci współpracy i łagodnego usposobienia nigdy nie doceni.

Zdąży jeszcze naprawić maszynę produkującą śruby do panter i tygrysów, zanim spadnie na niego pałka dyrektora fabryki. Sprzęt nie działał od kilku godzin, ktoś o tym doniósł i uznano to za sabotaż. Doniesiono na Bogu ducha winnego Mąkę (najpierw zepsuł, później dla niepoznaki naprawić chciał) i teraz tylko możemy się domyślać, czy gdyby zaangażował się w walkę z okupantem, chociażby poprzez niechlujną pracę, a nie posyłał taśmowo na front wschodni czołgów w lepszej niż fabryczna

formie, doniesiono by na kogoś innego.

W kwaterze głównej Gestapo dystryktu górnośląskiego w Katowicach, w gmachu na Powstańców 31, na środku wielkiej sali pijany oficer w przekrzywionej jak furazerka czapce SS ryczy na Pawła: „Najpierw zepsułeś, potem dla niepoznaki chciałeś naprawić! Tak tu mam napisane!”. W sali, w której wisi kryształowy żyrandol wielkości silnika od tygrysa, nie będą Mąki bić. To nie Generalne Gubernatorstwo, gdzie trzeba było zwalczać silny ruch oporu dynamicznie i krew bryzgała nawet na eleganckie, obite świńską skórą oficerskie fotele. Tę historię znamy. Aleja Szucha to dla Polaków miejsce martyrologii. Czemu gmach przy Powstańców jest takim miejscem tylko dla małej ich części?

*

Górny Śląsk został rozcięty na pół.

W 1921 roku w wyniku plebiscytu i trzech powstań II Rzeczpospolita przejęła lepiej uprzemysłowaną część regionu wraz ze wszystkimi miastami, które dzisiaj kojarzą się z górnictwem: Katowicami, Chorzowem, Siemianowicami Śląskimi. Po tej stronie trzy czwarte milionowej społeczności czuło się w pełni Polakami. Po stronie niemieckiej powstała Prowincja Górny Śląsk (Provinz Oberschlesien). Ponad połowa jej mieszkańców posługiwała się językiem polskim. Rozerwanie regionu Górnego Śląska było dla gospodarki i mieszkańców bardziej szkodliwe niż wzniesienie muru berlińskiego dla Niemiec. Linia podziału przecinała miasta i ulice, odseparowywała wielkie piece od ich zakładów, szyby węglowe od wyrobisk; chodniki kopalń biegły z Polski do Niemiec, tramwaj z Chorzowa do Piekar dwa razy przekraczał granicę. Dzieliła ona bezlitośnie podwórza i ogrody Ślązaków. Jak kreska narysowana bezrefleksyjnie na mapie odcinała ludzi od studni i wychodków.

W 1939 roku, po wygranej wojnie, Hitler włączył polską część Śląska w granice Trzeciej Rzeszy, ale obszar ten zawsze miał odrębny charakter. Najpierw był największą prowincją w Rzeszy o potencjale gospodarczym przekraczającym potencjał Zagłębia Ruhry. Później powstała rejencja katowicka – jeszcze nie osobna jednostka administracyjna, oficjalnie wciąż integralna część Rzeszy, ale w praktyce coś, co nazywano „Reichsgau Oberschlesien” i do czego stosowano osobne zasady, przyjęte wcześniej dla anektowanej Austrii i Sudetów.

Już jesienią 1939 roku Niemcy przystąpili do nazyfikacji Śląska. O zatrzaśniętą w Rzeszy, objętą niemieckim prawem większość polską upomniał się rząd Rzeczypospolitej na uchodźstwie, we Francji.

Podawać się za Niemców ze względów taktycznych – to pomysł biskupa katowickiego Stanisława Adamskiego. W październiku 1939 roku napisał w tej sprawie do premiera rządu RP na uchodźstwie generała Władysława Sikorskiego. O tym liście wspominał po latach:

Chcąc pójść drogą pewną, przedłożyłem projekt i pobudki „maskowania” się głowie Rządu

Polskiego, generałowi Sikorskiemu. Generał Sikorski wyraził zgodę swą na „maskowanie” się przez rozgłośnię radiową. Zapowiedź „palcówki” uprzedziła jej wprowadzenie w życie o przeszło miesiąc. Było więc dość czasu, aby zasięgnąć decyzji miarodajnych instancji, zwłaszcza że kontakty z zagranicą nie były jeszcze przecięte.

„Palcówka” to przymusowo składany odcisk palca, policyjna rejestracja, która – obok zadeklarowania języka ojczystego i narodowości – poprzedzała wpisanie śląskich obywateli II Rzeczypospolitej na volkslistę (DVL). Niemcy mogli w ten sposób zorientować się w sytuacji narodowościowej na zajętych ziemiach – i wzbudziła ona ich spore zaniepokojenie. Wilhelm Leuschner z urzędu rasowego NSDAP pisał w notatce do zwierzchników o wynikach palcówki:

Czystość, poczucie porządku, pewność siebie, uczciwość, prostolinijność i otwartość są cechami charakteru, których przeciwieństwem są typowe cechy charakteru Polaków (...) duża liczba ludzi, którzy przywędrowali do Polski (z Niemiec) roztopiła się wśród masy polskiej ludności. Pośród nich część w trakcie tego procesu została wynarodowiona.

Volkslista była owocem pracy Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny (RKFDV), ale przede wszystkim pracował nad nią sam Hitler, opierając się na radach i doświadczeniu Arthura Greisera, namiestnika Rzeszy w Kraju Warty.

Aby odsiać rasowo czystych Niemców od tych, którzy chcieliby za nich uchodzić, wprowadzono cztery kategorie volkslisty, przydzielane po wypełnieniu szczegółowej ankiety:

- pierwszą – dla Niemców aktywnych politycznie, którzy mieszkając w Polsce, zachowali swoją odrębność narodową; otrzymywali oni pełne obywatelstwo niemieckie,
- drugą – dla Niemców biernych politycznie przed wojną; oni również zostawali pełnoprawnymi obywatelami Rzeszy,
- trzecią – dla Polaków niemieckiego pochodzenia, spokrewnionych słabo albo wcale; na listę wpisywano ludzi, którzy mieli styczność z kulturą niemiecką, ale posługiwali się językiem polskim,
- czwartą – dla spolonizowanych osób niemieckiego pochodzenia, które czynnie współpracowały w okresie międzywojennym z władzami polskimi; Niemcy nazywali ich „renegatami”.

Do końca 1942 roku „jedynekę” otrzymało pół miliona ludzi, „dwójkę” – około sześciuset tysięcy, „trójkę” – niemal dwa miliony, „czwórkę” – dwieście tysięcy.

Na Śląsku wyboru nie było, na terenach wcielonych do Rzeszy ankietę musiał wypełnić każdy mieszkaniec. W przeciwnym razie groził mu obóz koncentracyjny.

Sikorski entuzjastycznie zareagował na pomysł biskupa Adamskiego. Podczas wystąpienia

transmitowanego przez rozgłośnię w Tuluzie powiedział:

Walkę czynną o Polskę prowadzą wojska na frontach, wy zaś w kraju macie za zadanie:

- bronić frontu wewnętrznego,
- wszelkimi siłami i sposobami utrzymać się na miejscu,
- nie pozwolić usunąć się ze Śląska,
- bronić waszych placówek pracy.

To przemówienie radiowe usłyszało wielu Ślązaków.

W następnych dniach przedstawiciele polskiego rządu we Francji w dłuższych audycjach radiowych powtarzali i omawiali decyzję premiera.

Wpis na volkslistę, najlepiej do trzeciej kategorii, stał się patriotyczną misją wszystkich mieszkańców regionu, którzy czuli się Polakami.

Ślązacy mieli się maskować, by ocalić polskość i przeżyć.

– Wzniośle. To prawda jest, ale niecała – mówi dziś Kazimierz Kutz. – Proszę sobie spokojnie prześledzić zachowanie mieszkańców Śląska czujących się Polakami, których zmusza się do wpisania na listę. Jako ludzie pobożni szli do proboszczów z pytaniem, co robić. Ci szybko się zorientowali, że problem jest powszechny, i powiadomili biskupa Adamskiego. Decyzja Sikorskiego wynikała także z założenia rządu RP we Francji, że Niemcy prędzej czy później przegrają wojnę. Chodziło o zabezpieczenie polskich fabryk i kopalń, o uchronienie ich przed ewentualnym zniszczeniem. Istotnie, w zakładach często zostawały te same, przedwojenne załogi, tyle że z podpisanymi „trójkami”. No i była kwestia aprowizacji. Każdej grupie z volkslisty na Śląsku przydzielano inną ilość jedzenia. Czwarta w zasadzie głodowała. Trzecia już nie.

*

Utrzymanie języka za zębami pomimo tortur to nie jest umiejętność członków antyhitlerowskiego podziemia, jak chcieliby ci, którzy w Janku Bytnarze, Rudym, widzą skupione jak w soczewce cechy całej Armii Krajowej. To rzadkość. Tortury wytrzyma jeden człowiek na dziesięć tysięcy. Reszta przyzna się do wszystkiego. Będzie tak, jak w *Spalonych słońcem* Nikity Michałkowa mówi Dmitrij Arsentiew, młodziutki, przystojny oficer NKWD, zwracając się do generała Kotowa, ikony rewolucji bolszewickiej:

Za pięć dni, pełzając we własnym gównie, sam podpiszesz, że od tysiąc dziewięćset dwudziestego jesteś niemieckim szpiegiem, a od tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego jeszcze japońskim. I że jesteś dywersantem, organizatorem zamachu na Stalina.

*

Ja, Paweł Mąka, dobrowolnie i bez przymusu oświadczam, że zniszczyłem maszynę w Fabryce Śląsk. Zrobiłem to, aby sabotować wysiłek wojenny Trzeciej Rzeszy.

*

Niemcy w takich sprawach byli skrupulatni, stronili od sowieckich metod. Nikt Pawłowi od razu lugera do głowy nie przystawiał. Wyrok śmierci w zasadzie już zapadł, podpisane oświadczenie o sabotażu gwarantowało stryczek. Ale potrzebny był jeszcze sąd, wyrok i dopiero wtedy można było człowieka stracić. Różnica między postępowaniem Niemców i Sowietów jest istotna z punktu widzenia prawa, dlatego że na polskich oficerów, którzy w większości wciąż leżą w nieznanych mogiłach rozsianych po lasach katyńskich, żaden sąd wyroku nie wydał. Nie można ich zatem zrehabilitować. Można się co najwyżej godzinami przyglądać wielkiej, niechlujnej parafce Stalina pod decyzją o ich fizycznej eksterminacji.

Mąka przed procesem trafił do szpitala Gestapo nie po to, by znowu zaczął przypominać człowieka. Miał się nadawać do dalszych przesłuchań. Wytrzymał dużo: ma pozrywane paznokcie, przecięte powieki i ciało w kolorze oberżyny. Dyrektor zakładów naprawczych, w których Mąka brał gadanie tygrysów na słuch, zrozumiał, ile straci wraz ze śmiercią swego najlepszego pracownika. Ile zapłacił i kogo przekupił – nie wiadomo.

Wiadomo, że Mąka po trzech tygodniach wrócił do domu, powiedział tylko tyle, że był przesłuchiwany, ale już może pracować, bo został oczyszczony z jakichś bezsensownych zarzutów.

Wiadomo, że następnego dnia jak zwykle wyszedł do pracy, z plecakiem, do którego nie zapakował niczego, co mogłoby zwrócić uwagę rodziny i wskazać, dokąd naprawdę się wybiera.

Kontakt, nazwiska, hasło, uwiarygodniające fakty i adres, pod którym może się pojawić, podał mu pacjent z gestapowskiego szpitala, być może właśnie ten jeden na dziesięć tysięcy, który wytrzymał tortury. Zobaczywszy, ile przetrzymał Mąka, zanim podpisał świstek o maszynie do śrubek, powiedział: „Przydasz się”.

To nie była Armia Krajowa. Dołączył do ludzi z lasu – partyzantki złożonej z mieszkańców Śląska i Małopolski, których od domu odcięła granica Generalnego Gubernatorstwa.

Paweł Mąka po latach powiedział w wywiadzie, że walcząc w oddziale partyzanckim, dostał postrzał w nogę, wydłubał kulę, uniknął zakażenia dzięki wódce i jako podpułkownik został dowódcą trzystu ludzi. Dodał, że 31 lipca 1943 roku, kiedy SS przystąpiło do likwidacji getta będzińskiego, napadł na posterunek niemieckiej policji.

Nie wiadomo, czy oznaczało to przyjsście z odsieczą powstańcom wyszkolonym rok wcześniej przez Mordechaja Anielewicza. Będziński zryw, który zorganizowali i którym dowodzili przywódcy

lokalnego oddziału ŻOB, Józef Kozuch i Frumka Płotnicka, szybko został stłumiony. Piękna Frumka zginęła 3 sierpnia w bunkrze, ostrzeliwując się do ostatniego naboju. Nikt nie ocalał. Ani jeden powstaniec. Można więc założyć, że gdyby grupa partyzantów dowodzona przez Mąkę dołączyła do akcji w getcie, przestałaby istnieć.

O dwóch kolejnych latach w lesie Mąka nie chciał mówić.

Powiedział tylko, że jego oddział doczekał wyzwolenia Śląska przez Armię Czerwoną, która przybyła wraz z polską armią uformowaną na wschodzie.

Potem dali Mące stanowisko zastępcy kierownika Wydziału I Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach, w gmachu na Powstańców 31, i gabinet naprzeciwko sali z wielkim żyrandolem.

*

Najpierw jest krótki ostrzał artyleryjski; niepotrzebny, bo Niemcy nie zamierzają bronić Katowic, ale to żelazna zasada Armii Czerwonej. Najpierw „organy Stalina” – katusze, później natarcie piechoty. Żołnierze, którzy 27 stycznia 1945 roku wchodzą do miast na przedwojennym polskim Śląsku, strzelają do każdego napotkanego człowieka. Czołówka piechoty to niemal sami Azjaci. Napojeni wódką, obwieszani futrami, lisimi kitami i zegarkami pozapinanymi aż po łokcie. Jest trzydzieści stopni mrozu, strzelają dla rozgrzewki, wrzucają granaty do piwnic, gdzie ukrywają się śląskie rodziny. Przez najbliższe kilkanaście dni będą gwałcili w ciepłych domach każdą napotkaną kobietę. Dadzą spokój tylko małym dziewczynkom. Teraz rąbią z pepesz, które – jeśli są dobrze nasmarowane – doskonale się sprawdzają w każdej temperaturze. Zabijają Żydów ocalałych z Holokaustu, Polaków, Niemców, powstańców śląskich, urzędników NSDAP, którzy nie uciekli razem z dygnitarzami.

– Dlaczego pan nie uciekał razem z partyjnymi kolegami? – pytam dziewięćdziesięcioletniego Steffana Schulza mieszkającego w Stuttgarcie. Nazwisko zmieniłem, miejsca zamieszkania nie.

– Bo człowiek jest przyzwyczajony do ładu, w którym żyje. Ma nadzieję, że rano otworzy oczy i wszystko będzie normalnie.

– Że Armia Czerwona się zatrzyma? Ze zmęczenia?

– Choćby i zniknie. Niech pan nie ocenia przeszłości ze współczesnej perspektywy. Większość ludzi w obliczu nadciągającej katastrofy nie porzuca całego dobytku i nie ucieka. Gdyby panu powiedzieli: idzie wojna, bierz pan, ile uniesiesz, i uciekaj do obcego kraju, w nieznane, zrobiłby pan to? Czy został, wierząc i rozpaczliwie trzymając się tej wiary, że jednak, mimo codziennych audycji o bestialstwie Iwanów, jakoś to będzie, że uda się jakoś dogadać?

– W jakim języku?

– Nie rozumie pan. A każdy powinien sobie zadać to pytanie.

*

Szeregowi sowieccy żołnierze sądzą być może, że wkraczają na terytorium Rzeszy Niemieckiej, jednak dowództwo radzieckie i szykująca się do przejęcia władzy polska grupa inicjatywna doskonale rozumieją zróżnicowaną, niejednorodną strukturę Górnego Śląska i mają zamiar wykorzystać ją do instalowania i umacniania władzy ludowej. Na razie, oczywiście oficjalnie, będzie tu Polska „przedwojenna”.

Stalin błyskawicznie zabiera się za demontaż „złotego regionu”. Rosjanie podciągają do Pyskowic szerokie tory i zaczynają masowo wywozić parowozy, szyny, wagony, piece hutnicze, wiadukty, całe warsztaty kolejowe. I ludzi. Od marca do maja 1945 roku trzydzieści tysięcy Górnoszlązaków trafi na Syberię, Kamczatkę, Ural i do Donbasu. Większość z nich nigdy nie wróci.

28 i 29 stycznia, razem z Sowietami, na Górny Śląsk przyjeżdżają Polacy. Struktury państwowe ma budować Aleksander Zawadzki, pełnomocnik Rządu Tymczasowego, członek ścisłego kierownictwa Polskiej Partii Robotniczej, wkrótce – wojewoda śląsko-dąbrowski. Jego zastępcą zostaje Jerzy Ziętek.

Grupa operacyjna „Śląsk” to ludzie nieprzypadkowi, znają naturę regionu. Dobrze wiedzą, w jaki sposób tutaj działać. Po zniknięciu hitlerowców potrzebny jest nowy wróg, który mógłby jednoczyć Polaków. Najlepiej nadają się do tego zdrajcy narodu polskiego, kolaboranci, którzy przyjęli volkslistę. Na Śląsku wystarczy zastosować to samo kryterium, które funkcjonuje w byłym Generalnym Gubernatorstwie, gdzie obecność na jakiegokolwiek volksliście w istocie była zdradą. Polakom granica ustalona przez nazistów bardzo się przyda.

Rząd Tymczasowy działa błyskawicznie. Nie można pozwolić Ślązakom otrząsnąć się ze zdumienia, że po represjach hitlerowskich wyzwolicieli ich mordowali, a nowa polska władza zamierza umiejętnie chwycić ich za twarz. Już na początku lutego 1945 roku gotowe są struktury UB. W sali z żyrandolem wielkości tygrysa, *vis-à-vis* gabinetu Pawła Mąki, urzęduje jeden z szefów katowickiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Błyskawicznie także wchodzi w życie nowe prawo.

*

Paweł Mąka ma dwadzieścia pięć lat, gabinet, samochód z szoferem i ochroniarza. „No naturalnie, że trzeba, nawet dwóch”, powiedział mu kilka tygodni wcześniej szef. Na Śląsku kręci się wielu nazistów i działa Werwolf, „ostatnia armia Himmlera”, nazistowska partyzantka zorganizowana przez Reinharda Gehlena według wzorca Armii Krajowej. Bo dla hitlerowców AK to idealny model wojska podziemnego.

Wojna trwa, ale dwóch ochroniarzy to zdaniem Mąki przesada. Do mieszkania w Katowicach, przydzielonego mu przez Urząd Bezpieczeństwa, ma trzysta metrów.

Działalność UB w tym czasie to przede wszystkim wsadzanie do więzień: „zwalczanie szpiegostwa

niemieckiego”, „walka z elementami antypaństwowymi” i z „bandytyzmem politycznym”. Ale jest jeszcze w aparacie Wydział Więzień i Obozów. Mąka dobrze wie o jego istnieniu, wie, jakie akty prawne, uchwalone w ostatnich tygodniach, stoją za przejmowaną przez jego kolegów infrastrukturą niemal nietkniętych niemieckich podobozów. Centrala jest w Warszawie, ale obozy są w jego małej ojczyźnie. Późną zimą i wiosną komuniści zamieniają na obozy pracy niemal wszystkie podobozy KL Auschwitz. Sami nie wznoszą ani jednego baraku. Mąka jeszcze milczy.

Obóz Eintrachthütte to teraz Świętochłowice-Zgoda, Sosnowitz II – Sosnowiec, Bismarckhütte – Chorzów, Lagischa – obóz w Będzinie, rodzinnym mieście Mąki, Neu-Dachs – Jaworzno. Jest jeszcze kilkadziesiąt innych, do których każdego dnia zaganiani są bez sądu mieszkańcy Górnego Śląska. Pociągi z częścią mężczyzn już odjechały do ZSRR, polskie wojsko zatrzymuje przypadkowych Ślązaków – zarówno tych czujących się Polakami, jak i tych, którzy uważają się za Niemców. Nikt ich nie pyta o narodowość i przekonania, nikt tego nie sprawdza. To przede wszystkim cywile. Zbiera się ich w kolumny, maluje gaszonym wapnem swastyki na plecach i gna do obozów.

„Coś bardzo złego dzieje się w Świętochłowicach”, słyszy Mąka od przypadkowo napotkanego na więziennym korytarzu dyrektora fabryki, który ocalił mu życie w czasie wojny. Mąka załatwi jego uwolnienie, a później ucieknie w rozważania religijne. Tak powie wiele lat po wojnie. Że pomyślał wtedy: „Bóg żąda ode mnie, bym postępował wręcz przeciwnie i znowu pchnął czas właściwym torem”. Jego zdaniem czas w Auschwitz zatrzymał się w trakcie Zagłady.

Wiosną 1945 roku Mąka twierdzi również, że nie ma już w nim nienawiści do Niemców, za to, że zamienili go w krwawą miazgę. Cały gniew, jaki odczuwał podczas wojny, wyładował podczas wysadzania niemieckich magazynów, gdy był partyzantem Armii Ludowej. Nie zdołał zatem „zakrzepnąć w nienawiść”, toteż „teraz w swojej niewielkiej części powojennego świata (...) nie myślał tylko o tym, by spuścić ze smyczy dzikie psy zemsty”. Tak powie po latach w rozmowie z amerykańskim reporterem.

Możliwe, że nie wiedział, iż nie chodzi o zemstę, tylko o sprytną politykę nowych władz.

*

Na razie Mąka jest w wierchuszce katowickiego UB. Wie i widzi sporo. Przede wszystkim zna podstawy prawne, na których opiera się Polska pekawuenska, zakładając obozy pracy i obozy koncentracyjne. Musi znać *Instrukcję Kierownika Resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN o przytrzymaniu i odesłaniu do obozów pracy zdrajców narodu, tzw. Volksdeutsche z 30 września 1944 roku*. To oficjalny dekret zawierający definicję zdrajcy narodu polskiego, zrównujący mieszkańców Generalnego Gubernatorstwa i Górnego Śląska.

Trzeba więc było podkreślić – i autor dokumentu, minister Radkiewicz, to uczynił – że zdrajcy

narodu polskiego to także rdzenni Niemcy z Pomorza Zachodniego, Dolnego Śląska i Prus Wschodnich. Wszyscy podlegali „przytrzymaniu i odesłaniu do obozów pracy”. Za organizację „likwidacji Volksdeutschów obojga płci” odpowiadały władze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, konkretnie Wydział Więzień i Obozów.

Mąka być może zna również kluczowy dokument z 25 kwietnia 1945 roku – okólnik MBP nr 42 powołujący cztery centralne obozy pracy – w Warszawie, Krzesimowie (woj. lubelskie), Potulicach (woj. pomorskie) i Jaworznie (woj. krakowskie). Według tego dokumentu pozostałe dwieście dwa obozy miały być filiami obozów centralnych. Wszystkie miał ochraniać Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

*

– Co się dzieje w Świętochłowicach-Zgodzie? – pyta Mąka jednego z podległych mu ludzi.

– Komendant daje wycisk szwabom w obozie. Ludzie u nas gadają, że obdziera ich ze skóry, ale to nieprawda, przesada, tylko taka figura, towarzyszu. Proszę nie wierzyć.

Komendant obozu wita zganianych do Świętochłowic-Zgody Ślązaków słowami: „Auschwitz to była pestka przy tym, co wam tu zgotuję”. Nie żartuje. Ma wyobraźnię. Osobiście morduje Ślązaków i Niemców. Bije ich drewnianą pałką, dopóki nie zamienia się w krwawą miazgę. Trzeba sprzątać gabinet szefa, długo szorować szczotką i wodą z mydłem. Komendant wymyślił też piramidę. Każe kłaść się nagim ludziom jeden na drugim, aż stos sięgnie sufitu. Żeby być pewnym, że ci na samym dole nie przeżyją, wdrapuje się na wierzchołek i jeśli ma odpowiednio dużo miejsca – tańczy kalinę. W aparacie bezpieczeństwa ma przezwisko „Wariat”. „Obdziera ludzi ze skóry” – taka fama krąży po korytarzach katowickiego UB. Na jego polecenie zwłoki zakopuje się w zbiorowych mogiłach lub pali tuż za granicami obozu. Wiosną 1945 roku wciąż trzyma mróz. Szef wyciąga ręce do ognia i mówi, że taki rażny żar w zimny dzień piecze miło w twarz przez wiele godzin. Wariat przymyka oko na akty kanibalizmu wśród więźniów.

„W dziewięćdziesięciu procentach ci ludzie są niewinni!”, ryczy Paweł Mąka do Henryka Studenckiego, katowickiego dyrektora Wydziału Więzień i Obozów UB. Ten wybuch będzie go drogo kosztował. Donos Studenckiego sprawia, że w Warszawie po raz pierwszy zwracają uwagę na człowieka, który uważa, że przetrzymywanie Niemców w obozach jest niesprawiedliwe.

*

Ale przetrzymywanie Niemców w obozach ma również wydzwignąć kraj z gospodarczej ruiny. Górny Śląsk w krainę łagrów zamieniają tak naprawdę nie obozy MBP, takie jak ten, w którym Wariat tańczy na ludzkiej piramidzie. 24 lutego 1945 roku Ministerstwo Przemysłu Rządu Tymczasowego powołuje

Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego. To wydzielone z administracji państwowej przedsiębiorstwo ma kierować górnośląskim przemysłem węglowym. Od 11 kwietnia niemal całe tamtejsze UB pracuje, by zrealizować uchwałę CZPW „w sprawie wzrostu wydobywania węgla i udzielenia natychmiastowej pomocy przemysłowi węglowemu Rzeczypospolitej Polskiej”. Postanowienie nakłada na MBP obowiązek dostarczenia do obozów przy górnośląskich kopalniach, które od lutego przeszły pod zarządek CZPW, sześćdziesięciu tysięcy robotników przymusowych w jak najkrótszym czasie. Trzeba się dwoić i troić. Przede wszystkim zorganizować system transportu kolejowego, tak by dowieźć na Śląsk Niemców z obozów MBP w innych częściach kraju. Bydłące wagony pełne niemieckich cywilów: kobiet, dzieci i starców, ruszają przede wszystkim z Wielkopolski, Dolnego Śląska, Pomorza i Lubelszczyzny. Pomagają sprawnie działające obozy MBP w Potulicach, Bydgoszczy, Lesznie, Wrocławiu, Żaganiu, Lubaniu, Tczewie, Lublinie, Krzesimowie, Radomiu, Puławach. Transporty ciągną również z wielu innych obozów pracy niewolniczej MBP.

Ale to nie wystarczy. Ludzi jest za mało. Poza tym, co to za górnicy? To niemieccy nauczyciele, urzędnicy, lekarze, pisarze, rolnicy, ludzie wszystkich zawodów, tylko nie ci z wymaganymi kwalifikacjami. Trzeba więc jeszcze poprosić czerwonoarmistów o przekazanie jeńców pojmanych podczas operacji wiślańsko-odrzańskiej. Silni mężczyźni są bardziej przydatni. Na pomysł organizowania obozów pracy przymusowej przy kopalniach wpadli już niemieccy naziści. Z infrastrukturą nie ma więc problemu – zachowała się w nienaruszonym stanie.

Wydaje się, że nie może być mowy o wydobywaniu pięćdziesięciu tysięcy ton węgla. Tyle Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego ma przekazać państwu w zamian za więźniów dostarczanych przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Za każdy dzień pracy wykwalifikowanego górnika bierze szesnaście złotych. Za kogoś, kto nigdy nie miał nic wspólnego z wydobywaniem węgla, połowę tej kwoty. Transporty niewolników ciągną na Śląsk przez cały 1945 rok. Dopiero w grudniu udaje się zbierać czterdzieści tysięcy ludzi, w tym niemal dwa tysiące kobiet, również skierowanych do pracy pod ziemią. Wszyscy mają fedrować.

CZPW w porozumieniu z MBP nie decyduje się na zasiedlenie obozów przykopalnianych znajdujących się w przedwojennych granicach niemieckich. Stalinowcy boją się, że ewentualne buntownie obozowe mogą zostać skutecznie wsparte z zewnątrz przez innych Niemców.

Więc tylko na terenie polskiego przedwojennego Śląska powstaje siedemdziesiąt sześć obozów podległych CZPW. Każdy dla około czterystu więźniów. Cztery wieżyczki strażnicze obsadzone żołnierzami KBW, kilkanaście baraków, ogrodzenie z drutu kolczastego. Nazwy obozów pochodzą od nazw kopalń i fabryk, przy których mają funkcjonować: Andaluzja, Anna, Artur *vel* Siersza, Barbara-Wyzwolenie, Bielszowice, Bierut, Bobrek, Bolesław Śmiały, Boże Dary, Brzeszcze, Bytom, Centrum, Chorzów, Chwałowice, Concordia, Czeladź, Dębieńsko, Ema, Eminencja, Gliwice, Grodziec, Harcerska,

Ignacy, Jadwiga, Janina, Jankowice, Jaworzno, Jowisz, Karol, Katowice, Kazimierz Juliusz, Kleofas, Klimontów, Knurów, Koszelew *vel* Ksawera, Ludwik, Łagiewniki, Makoszowy, Michał, Miechowice, Mikulczyce, Milowice, Mój, Murcki, Mysłowice, Niwka Fabryka Maszyn, Niwka-Modrzejów, Paryż *vel* Generał Zawadzki, Paweł, Piast, Pokój, Polska, Prezydent, Radzionków, Rokitnica, Rozbark, Rybnicka Fabryka Maszyn, Rydułtowy, Saturn, Siemianowice, Silesia, Sobieski, Sosnowiec *vel* Renard, Sośnica, Szombierki, Śląsk, Walenty-Wawel, Waleska, Wanda-Lech, Wesola, Wieczorek *vel* Janów, Wirek, Wujek, Zabrze-Wschód, Zabrze-Zachód, Ziemowit.

*

– Nie można porównać dzisiejszych warunków w naszej kopalni do tych powojennych. Teraz to chyba musiałby pan pojechać do zdemolowanego Donbasu, żeby poczuć to, co Niemcy zwożeni tu z Ziemi Odzyskanych i wrzucani wprost do szybu. Kim oni właściwie byli? – pyta mnie górnik, który dwadzieścia lat przepracował pod ziemią i następne dwadzieścia w kopalnianej administracji.

– Urzędnikami, rolnikami, szewcami, stolarzami, dekarzami, pracownikami umysłowymi. Co poczuję, gdy zjadę do kopalni? – pytam.

– Najpierw stopień geotermiczny. Temperatura rośnie mniej więcej o jeden stopień co pięćdziesiąt metrów. Spoci się pan od razu. Pod koniec w windzie będzie już cholernie gorąco, ponad trzydzieści stopni. Ale nie ma mowy o rozebraniu się. Nie wolno. Kombinezon musi być, kask, trzeba mieć przy sobie aparat tlenowy. Winda będzie jechała długo, kilkanaście minut. Po wojnie wyrobiska były znacznie płytsze. Dlatego wydobywanie polskiego węgla nikomu się teraz nie opłaca. Leży za głęboko, nawet dwa kilometry pod ziemią. W Donbasie jest tuż pod powierzchnią, można go odkrywkowo wydobywać. Możliwe, że tej tutaj kopalni, przed którą stoimy, to już za rok nie będzie. A istnieje od stu lat. Ma pan czołówkę na kasku. Zwożeni niewolnicy mieli pewnie lampy naftowe. Ma pan miernik metanu. Tamci nie mieli nawet kanarków. To pan nie wie? Niezwykle czuły na metan ptak. Przed wojną zwozili ptaszki na dół, stawiali w klatce na przodku i obserwowali. Jak kanarek zaczynał się dziwnie zachowywać, trzeba było wzmóc czujność. Gdy padał, wszyscy natychmiast uciekali na powierzchnię. Bo to już był najwyższy czas, żeby, za przeproszeniem, spierdalać. Podczas zjazdu słychać świst pomp tłoczących powietrze do szybu. Winda jest okratowana, widać zza niej drogę do piekła, zsuwa się tunelem umocnionym setkami obręczy. Teraz będzie pan czuł tylko gorąco i duchotę. Pierwszy raz? No to nieznośną duchotę. Na dole było wtedy dużo pyłu węglowego. Jeśli zbyt dużo, to eksplozja sprawę wyjaśniała, że tak powiem. No i potem na przodek, w trymiga fedrować. Teraz to robią maszyny i do ściany jedzie się pociągiem, przez szyb. Tamci szli z kilofami. Rozbierali się pewnie prawie do naga. Wątpię, żeby kaski mieli. Może ktoś hełm jakiś zdobył. I kuli. Pan nie pakuje kilofem w trzydziestostopniowej duchocie. I jeszcze jedno. Teraz węgiel to już jest tak daleko, że przebranie się,

zjazd, dojazd na przodek i powrót zajmują dwie trzecie szychty. A tamci walili kilofami dwanaście godzin bez przerwy.

*

– A potem ci, co przeżyli, wracali na powierzchnię – dodaje Kazimierz Kutz. – Ja jeszcze pamiętam z dzieciństwa te poesesmańskie obozy. Nie za duże. Ale przy każdej kopalni.

*

Po powrocie na chłodną powierzchnię kupię „Gazetę Wyborczą”. Zachowam wiersz wybrany przez Jarosława Mikołajewskiego – *metry* młodziutkiego Igora Jarka z Katowic – akurat tego dnia, w sobotę, 20 lutego 2016 roku.

Na przodku, 5bs węgiel jest gorący,
w kałużach buzuje metan
a metry idą cholernie powoli.
Na przodku, 5bs tak tąpnie od spągu,
że kombajn skacze na półtora metra
a ludźmi rzuca jak szmatami: elektrykowi
już przywaliło nogi a jak pierdolnęło
podczas budynku tak cała brygada poszła
do wymiany.

– To jest o temacie, który sobie wybrałeś na reportaż. Jak pierdolnie z lewej i prawej, to pójdziesz do wymiany – mówi znajoma reporterka, paląc cienkiego papierosa. – No i to się będzie w ostatecznym rozrachunku liczyło, że pomyślą, że jesteś sensatem. Te metry, które zrobiłeś pod ziemią, nie będą liczyły się wcale.

*

Istnieją więc obozy podległe CZPW oraz podlegające MBP. W 1945 roku w nowych polskich granicach znajdują się jeszcze obozy NKWD oraz obozy sowieckie dla jeńców wojennych, zorganizowane naprędce, po tym jak posuwająca się po półrocznym bezruchu Armia Czerwona podczas operacji wiślańsko-odrzańskiej wzięła do niewoli tysiące żołnierzy Wehrmachtu. Waffen SS to po prostu bardziej zindoktrynowane i lepiej uzbrojone wojsko, ale Sowieci uznają tych żołnierzy za kogoś w rodzaju komisarzy politycznych i raczej do niewoli ich nie biorą. SS to zawsze SS, poza tym Wehrmacht

zachowywał się identycznie w 1941 roku, strzelając w tył głowy wszystkim „wiśniowym pagonom”, czyli enkawudzistom.

Obozy wciąż podległe MBP, zwłaszcza te w Świętochłowicach-Zgodzie oraz w Jaworznie, pełnią funkcję miejsc koncentracji Ślązaków, Niemców oraz wrogów ustroju. Z czasem zasiedlą je winowcy, Ukraińcy i Łemkowie.

Okrucieństwo nowej polskiej władzy zwraca uwagę Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. To bez wątpienia wtykanie nosa w nie swoje sprawy, bo nie dzieje się nic, na co nie pozwalałoby polskie prawo. To prawo ma ułatwić wymierzenie kary tym, którzy przez pięć lat mordowali Polaków. Przypomniawszy o tym major Teodor Duda, kierownik Wydziału Więzień i Obozów w resorcie bezpieczeństwa publicznego. Komendant wszystkich komendantów. Paweł Mąka słyszał jego słowa na własne uszy. To było wystąpienie dla kadr, a więc dla kolegów. Szczere. Przede wszystkim: „Ci wszyscy zdrajcy Narodu Polskiego podlegają skierowaniu do miejsc odosobnienia na czas nieoznaczony”.

Ponadto: „Osadzeni w obozach winni pracować, albowiem praca jest powszechnym i podstawowym obowiązkiem wszystkich doprowadzonych do miejsc odosobnienia – na podstawie ustawy”.

Tu się Mące coś nie zgadza, bo w obozach podległych MBP więźniowie pracują mało albo nie pracują wcale, głównie chorują na tyfus i są narażeni na tortury. Tak słyszał. Więźniowie to zazwyczaj kompletna mieszanka: od członków NSDAP przez zwykłych śląskich cywilów do powstańców śląskich.

Mąka jest jednak przekonany, że Amerykanie nie mają prawa wtrącać się w polskie sprawy. Ale stale to robią. Najbardziej musi Mąkę boleć relatywizowanie Holokaustu. Jak można porównywać sprawiedliwość z Zagładą?

Dyplomaci brytyjscy z Berlina napisali do Foreign Office w Londynie:

Obozy koncentracyjne nie zostały zlikwidowane, tylko przejęte przez nowych właścicieli. Najczęściej kierowane są one przez polską milicję. W Świętochłowicach (Górny Śląsk) ci jeńcy, którzy nie zginęli jeszcze z głodu lub nie zostali pobici na śmierć, muszą noc w noc stać po szyję zanurzeni w wodzie, dopóki nie umrą.

Churchill powiedział w Izbie Gmin o Niemcach: „Ogromna ich liczba nie jest zupełnie brana pod uwagę. Nie jest rzeczą niemożliwą, że za żelazną kurtyną rozgrywa się tragedia na gigantyczną skalę”.

I list, i wypowiedź Churchilla pochodzą z sierpnia 1945 roku. Prawda o obozach MBP wydostała się za granicę.

Nową Polskę zdradził biskup Stanisław Adamski, ten sam, który w 1939 roku prosił Sikorskiego, by zaakceptował pomysł wpisywania się Polaków na volkslistę. Adamski poinformował Zachód.

Napisał również list do generała Aleksandra Zawadzkiego. Widnieje na nim data: 21 maja 1945 roku.

Istnieje w województwie szereg obozów, w których więzi się ludzi aresztowanych z powodów rozmaitych. Ludzie ci umierają licznie z głodu i wycieńczenia – i co u nas działo się tylko w obozach gestapo – bez zaopatrzenia religijnego.

Biskup prosi o możliwość spowiadania umierających i udzielania im ostatniego namaszczenia. Na górze listu znajduje się odręczna notatka Zawadzkiego: „Ob. Premier, minister Radkiewicz. Proszę o waszą decyzję”.

Te porównania do hitleryzmu płynące z zagranicy budzą zrozumiałą wściekłość, dlatego Paweł Mąka nie podaje ręki przedstawicielom Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Splótł dłonie za plecami. Pyta, dlaczego mili panowie w eleganckich płaszczach nie pojawili się na Śląsku dwanaście miesięcy wcześniej, kiedy piece Auschwitz pracowały pełną parą. Dlaczego w ogóle nie interesowali się obozami niemieckimi w czasie wojny, dlaczego, do jasnej cholery, nie zbombardowali torów, dlaczego – nie może przestać mówić – nie reagowali na świadectwa żydowskie o Zagładzie? Nie, nie pojedą ani do Świętochłowic, ani do Oświęcimia, ani nigdzie. Chcą na niego donieść Warszawie? Będą musieli? Taki oficjalny ton, szantaż, zastraszenie? Proszę bardzo, ale teraz won, do diabła, marsz z jego gabinetu. Że od razu do Jakuba Bermana pójdą? Szczęśliwej drogi!

*

We wrześniu 1945 roku do gabinetu Mąki wchodzi Jakub Berman i Władysław Gomułka. To nie jest dobry znak. Berman nigdy nie pofatygowałby się osobiście – sam sobie tej wycieczki na Śląsk nie wymyślił. Berman to ważna figura. Na jego biurku stoi telefon bezpośrednio łączący go z Ławrientijem Berią. Gomułka wie o wszystkim, o czym donosił Amerykański Czerwony Krzyż. O biciu, torturach, rozstrzeliwaniach, kanibalizmie, mózgach bryzgających pod sufit.

– Wszystko u was dobrze, towarzyszu?

Siadają ciężko.

Może trochę dziwić, że przedstawiciele Amerykańskiego Czerwonego Krzyża zostali skierowani do Mąki, a nie do szefa Wydziału Więziennictwa WUBP Henryka Studenckiego albo do Teodora Dudy. Ale panuje chaos, kompetencje są rozmyte, na Śląsku panuje dwuwładza – ciągle jeszcze działają tu wojenne komendantury radzieckie.

Mąka nie posłał Amerykanów do obozów podległych resortowi bezpieczeństwa, bo zdenerwowało go kłamstwo na temat rzekomych tortur. Być może byłoby lepiej, gdyby sami zobaczyli, że wszystko jest w porządku, lecz Mąka ani nie chciał, ani nie mógł podjąć takiej decyzji na własną rękę. Chyba dobrze zrobił, że posłał ich do diabła?

Berman milczy.

Gomułka bawi się sprzączką przy płaszczu.

Uśmiechnięty Mąka patrzy na dwóch urzędników państwowych najwyższego szczebla. Ich wizyta to dla niego zaszczyt. Staje przy mapie, bierze wskaźnik i zaczyna mówić, że tak naprawdę nie jest dobrze. Dotarły do niego wieści, że coś bardzo złego dzieje się w obozach dla byłych nazistów. Ponadto możliwe, że przebywają w nich ludzie niewinni. Prawdopodobne nawet jest to, że większość Niemców nie powinna w nich przebywać.

Goście kiwają głowami, mówią, że powinno się to odbywać inaczej, że Niemcom nie dzieje się w obozach wielka krzywda. Potem wypijają kilka kieliszków wódki i wracają do Warszawy. Przedtem jednak ubrany w szyty na miarę garnitur Jakub Berman powie Mące, że nigdy więcej nie wolno mu się odezwać do przedstawicieli zagranicznej organizacji tak jak do Amerykanów. Jeżeli Mąka nie rozumie, na czym polega polityka, niech siedzi cicho, grzecznie odmawia i powołuje się na konieczność wykonywania rozkazów Warszawy.

W tym samym czasie do obozów MBP na Śląsku dociera komisja ze stolicy. Na jej czele stoi Teodor Duda. Są w niej lekarze, a także prokuratorzy pod przewodnictwem Jerzego Rybakiewicza. Trzeba ukarać odpowiedzialnych za tortury. Albo przynajmniej sporządzić odpowiednie dokumenty, żeby Anglosasi się odczepili. Tak jak przewidują stalinowcy, Zachód nie będzie się więcej interesować tą sprawą.

*

Mąka ma paszport dyplomatyczny. W grudniu 1945 roku decyduje się na wyjazd z Polski. Oficjalny powód: chora na gruźlicę siostra. Alpejskie powietrze jest zbawienne dla suchotników. Powinna tam pojechać. Pociąg do Wiednia z Pawłem Mąką, który już nigdy do Polski nie wróci, rusza z Katowic w pierwszych dniach grudnia 1945 roku i dojeżdża na czechosłowacko-austriacką granicę z pięciogodzinnym opóźnieniem. Tam staje na dobre. Tory nagle się urywają, dalej biegnie już tylko płatanina szyn i podkładów pozrywanych przez „wilka szynowego”, lokomotywę z wielkim ostrzem rznącym podkłady kolejowe jak zapalki. Każdy pasażer musi radzić sobie na własną rękę.

Amerykanie, których wokół jest sporo, podwożą ich na najbliższą stację. *No problem.*

*

Podobno decyzję o tym, że nie wraca do Polski, Mąka podjął we Włoszech, w Merano. Była sylwestrowa noc. Spędził ją w towarzystwie siostry i gościnnych Włochów. Wedle słów tego, który się z nim przyjaźnił, a później historię Pawła Mąki opowiedział, Mąka poczuł, „że przez sześć lat jego dni i noce spowite były przepastną *supernocą*, były jak żarówka, która zapala się i gaśnie. (...) Nigdy więcej

nie wrócił do tej polskiej niekończącej się nocy”.

*

Przyjaciel Pawła Mąki przyjechał do dwupiętrowego domu w Stuttgarcie czterdzieści dwa lata później, żeby napisać książkę o nieznannej historii powojennej Polski

– Zabawny człowiek. Neurotyk – mówi mieszkanka tego domu, Dorota Boreczek. – John Sack. Trochę zabrakło mu talentu pisarskiego, żeby oddać grozę, prawda? No ale mniejsza z tym. Pewnej nocy słyszymy z mężem hałas w salonie. Zbiegamy po schodach, a on miota się po ciemku i powtarza: „Gdzie są moje spodnie do spania, takie z bawełny, nie zasnę, jak mnie pije, nie śpię w uwierających”. Dziwak.

Ale może właśnie dziwaka było trzeba, żeby jako pierwszy udźwignął temat Wariata.

*

Czterdzieści dwa lata po sylwestrowej nocy w Merano, podczas której Paweł Mąka zdecydował, że nie wróci do Polski, z której uciekł, bo miał podejrzenia, że nowa władza obdziera niewinnych ludzi ze skóry, jego amerykański przyjaciel pokazuje mu zeznania więźniarki z obozu MBP.

Leżałam w kałuży krwi. Ktoś krzyknął: „Wstań!”. Spróbowałam i udało mi się tego dokonać z niewypowiedzianym bólem. Wszedł jakiś człowiek z pistoletem, przyłożył go do mojej lewej skroni i zapytał: „Czy teraz się przyznasz?”. Powiedziałam mu: „Proszę mnie zastrzelić”.

Tak, miałam nadzieję, że uwolnię się od tych tortur. Błagałam go: „Proszę nacisnąć cyngiel”.

Siedemdziesięcioletni Paweł Mąka patrzy na tekst, odkłada kartkę, marszczy brwi.

– To sfabrykowane. Nie mogę w to uwierzyć.

Wstaje, chodzi nerwowo po mieszkaniu. Znowu siada. Patrzy w oczy amerykańskiemu pisarzowi. – Ty byś od takiego koszmaru nie uciekał? Dokądkolwiek? Żeby cię nie zamienili w zwierzę; drapieżne, dzikie?

Dzisiaj

Walnął pięścią w stół, bo chciał, żeby prawda wybrzmiała głośno.

To w zasadzie metafora. Nigdy by tego nie zrobił na tak wysokim dyplomatycznym szczeblu. Podniósł głos, to wszystko. Nie siedzieli nawet przy stole, tylko w kręgu, na krzesłach.

Kiedy się przerwie Zbigniewowi Gluzie, natychmiast milknie, a to uświadamia nietakt. Gluza to redaktor naczelny kwartalnika historycznego „Karta”, współzałożyciel i przewodniczący Rady Archiwów Społecznych, opozycjonista represjonowany w latach osiemdziesiątych, laureat Medalu Świętego Jerzego przyznawanego przez „Tygodnik Powszechny” za „zmagania ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym”. Przez cały okres III RP był blisko najważniejszych polityków w kraju.

Chciał, żeby prawda wybrzmiała głośno na spotkaniu z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim i szefem MSZ Włodzimierzem Cimoszewiczem, którzy powołali think tank podczas kryzysu dyplomatycznego w 2002 roku związanego z działaniami Eriki Steinbach. W istocie wszyscy obecni w Pałacu Prezydenckim doskonale rozumieli, co chce im powiedzieć Gluza i dlaczego jest tak zdeterminowany. Ale sprawy nie ujawniono. Nie było woli politycznej. Potem tej woli zabrakło w 2012 roku. Zbigniew Gluza poszedł do Radosława Sikorskiego, który wówczas był szefem MSZ, i powiedział, że należy ujawnić dokumenty. Udostępnić je Niemcom, po prostu. Trzeba wykonać gest, pokazać, że jesteśmy otwarci, cywilizowani, gotowi do dialogu. Bo ani porozumienie z 1970, ani z 1989 roku niczego w społecznych relacjach między narodami nie zmieniło. Dobrosąsiedzkie stosunki z Niemcami były i są fikcją. Zbigniewa Gluzę denerwują politycy, którzy zasłaniają się tymi datami jak skoczkami szachowymi, bo po 1989 roku tylko przyklepano relacje polsko-niemieckie. Resentymenty w społeczeństwie pozostały. Trzeba w końcu wykonać pracę, która je raz na zawsze usunie. Inne zachowanie to po prostu działanie wbrew polskiej racji stanu.

Tak właśnie powiedział Radosławowi Sikorskiemu.

Szef dyplomacji pokiwał głową i odesłał Gluzę do Władysława Bartoszewskiego, który jako minister w kancelarii premiera decydował o wszystkim, co związane z Niemcami.

Redaktor „Karty” poszedł i opowiedział o całej sprawie od samego początku.

W 1997 roku postanowiono zlikwidować kopalnię Porąbka-Klimontów w Sosnowcu, a wraz z nią wielkie archiwum. Skończył się węgiel, fedrowanie głębiej byłoby nieopłacalne.

Likwidacja zbioru dokumentów to standardowa procedura. Kierownictwo zatrudnia firmę

archiwistyczną, żeby zrobiła porządek w papierach gromadzonych przez dziesięciolecia. Ciężka, mozolna robota.

Porządek w jednym z nadziemnych pomieszczeń Klimontowa robiła Ewa Będkowska, młodziutka archiwistka, zaraz po studiach. Po wielu dniach pracy znalazła kilka zakurzonych drewnianych skrzyń z napisem „UNRRA”. To skrót od United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy. W latach czterdziestych Polacy mówili „ciocia Unra”, bo między 1945 a 1947 rokiem podarowała Polsce dwa miliony ton jedzenia, zboża, trzody chlewnej, leków, sprzętu medycznego, ubrań, samochodów ciężarowych, wagonów kolejowych, lokomotyw, cementu, cegieł, traktorów. Ciocia Unra była Amerykanką, więc w PRL raczej się o tej bezinteresownej pomocy nie wspominało. Imperialiści wydali na nas trzy miliardy dolarów nie dlatego, żeby uzyskać jakieś polityczne wpływy: UNRRA była organizacją humanitarną. Trudniej byłoby to więc rozegrać politycznie. Takie gesty są niebezpieczne.

Skrzynie były pełne dokumentów potwierdzających śmierć ludzi zwiezionych do kopalni w ramach współpracy resortu bezpieczeństwa z Centralnym Zarządem Przemysłu Węglowego. Akta osobowe ofiar. Na oko – kilkanaście tysięcy. Kartoteka w dwóch kolorach. Niebieskie fiszki zakładano zmarłym cywilom. Ci, którzy dokumenty widzieli, mówią, że było tam mnóstwo polskich nazwisk: Wilk, Król, Adamczyk, Nowak, Porębski. Znacznie więcej było jednak nazwisk niemieckich.

Na czerwonych kartkach zapisywano dane jeńców wojennych. Przy niektórych nazwiskach ktoś dopisał ołówkiem kopiowym: „płatny”. To mogło oznaczać zawodowego górnika, za którego MBP rozliczało się z CZPW po wyższych stawkach.

Obok nazwiska – powód śmierci: wypadek, tyfus, zakażenie, zastrzelenie podczas ucieczki, samobójstwo. Wiek trupów ze skrzyń Unry: od szesnastu do sześćdziesięciu trzech lat.

Ewa Będkowska zrozumiała, że znalazła coś wyjątkowego. Później Krzysztof Chojnacki, ówczesny główny księgowy Klimontowa, powiedział, że w życiu by nie podejrzewał, że coś takiego jest u nich na kopalni, bo i skąd.

Będkowska podjęła decyzję, która miała sprowadzić na nią nieszczęście. Nie powiedziała o skrzyniach ani swoim przełożonym, ani szefom kopalni. Zawiozła je wprost do siedziby Niemieckiej Wspólnoty Pojednanie i Przyszłość i przekazała znalezisko jej szefowi Dietmarowi Brehmerowi. To Ślązak, którego rodzice i dziadkowie urodzili się w Katowicach. Stowarzyszenie zajmuje się budowaniem zaufania w stosunkach polsko-niemieckich, organizuje sympozja, nakłania do przepracowania trudnej historii. Niektórym Polakom to się nie podoba. Dość regularnie przez okna budynku stowarzyszenia wpadają do środka kamienie, a raz na jakiś czas koktajle Mołotowa.

ZGODA

Czyli Salomon Morel
umiera samotnie



– Pani chciała kupić obóz koncentracyjny?

– Tak.

– Jak?

– Normalnie, złożyłam ofertę. W czerwcu 2001 roku napisałam do wiceprezydenta miasta inżyniera Andrzeja Porady pismo, w którym zwróciłam się z propozycją, że ja ten podobóz KL Auschwitz... – szuka słowa – nabędę.

– Na pamiątkę?

Wstaje energicznie, jak gdyby nie miała swoich lat. Wychodzi do kuchni. Możliwe, że robi mi w końcu tę herbatę. Siedzimy na środku salonu, po którym dwadzieścia cztery lata wcześniej miotał się w środku nocy amerykański pisarz, przyjaciel Pawła Mąki.

Cisza. Wody nie nastawia, szafek nie otwiera.

*

Komendant, który daje wycisk szwabom w obozie w Świętochłowicach, to Salomon Morel. Przystojny, postawny. Wydatna szczeka. Mimo podstawowego wykształcenia nie trafił do UB według wzorca obowiązującego do 1947 roku: jeśli jesteś tak głupi, że do niczego się nie nadajesz, nadajesz się do bezpieczeństwa.

Morel znalazł się w ścisłej grupie inicjatywnej zaprowadzającej na Górnym Śląsku powojenny porządek, razem z Zambrowskim, Ziętkiem, Studenckim i Mąką. Za kilka lat zostanie zastępcą naczelnika Wydziału Więziennictwa WUBP w Katowicach. Ocalał cudem, choć od początku wojny było widać, że nie jest kimś, kto da się wsadzić do bydłowego wagonu i pognać z rampy do komory gazowej.

Mieczysław Moczar, jego dowódca z partyzantki AL, ma o Morelu jak najlepsze zdanie. Bitny, odważny, strzela pewną ręką, nie na oślep. Nigdy nie jest zaskoczony, kiedy kończy mu się amunicja: odwraca się, ukryty za drzewem lub kawałkiem muru, sprawnie zmienia magazynek, wraca do boju. Na polecenie komórki PPR jego oddział rozbija w Generalnym Gubernatorstwie niemieckie urzędy i posterunki.

Partyzanci AL działają inteligentnie, szybko i bezlitośnie, co utrudnia akcje nadzorowane przez Obergruppenführera Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, który w SS zajmuje się zwalczaniem partyzantki na okupowanych terenach. Niemieckie obławy na Lubelszczyźnie łatwo przewidzieć. Partyzanci wiedzą, że mają do czynienia z byłymi kłusownikami po podstawowym przeszkoleniu

wojskowym, których atutami są uzbrojenie i celność. Słabości tych farbowanych esesmanów to przede wszystkim nieznanostwo terenu i konieczność wyładowania na spadochronie w lesie lub na łące. Kiedy przychodzi cynk o obławie, łatwo się przygotować, zająć pozycje, wystrzelać do nogi te frunące na prześcieradłach odpady z SS.

Salomon Morel jest odważnym i dobrym żołnierzem.

Kiedy walczy w lesie, jego rodzice ukrywają się w domu Józefa Tkaczyka w Grabowie. Za czterdzieści lat Tkaczyk zostanie Sprawiedliwym wśród Narodów Świata. Powie: „To był mój obowiązek”. Na razie, w połowie 1943 roku, grozi mu śmierć za ukrywanie Żydów. Granatowi policjanci znaleźli i zastrzelili matkę, ojca i brata Morela, teraz zastanawiają się nad Tkaczykiem: z czego go ograbić w zamian za pozostawienie przy życiu.

Zostawią go w pustych murach.

Kiedy Salomon Morel dowie się o śmierci bliskich, gdzieś w środku zacznie mu rosnać wielka bryła lodu. Jest marzec 1944 roku. Nie powie ani słowa, nastroi mandolinę i zacznie grać. Nigdy się z nią nie rozstaje – w jednej ręce instrument, w drugiej mauzer.

Po drugiej stronie Wieprza są Niemcy. Morel, na chybotliwej łódce, jest widoczny jak na dłoni. Przesuwa mandolinę na plecy, żeby oberwała, tylko gdy pocisk przejdzie przez niego na wylot. Nie czuje strachu – bryła lodu wypełnia go już wtedy całego. Z tysiąca wystrzelonych do niego pocisków tylko jeden rozdziera mu nogawkę spodni. Morel zeskakuje na brzeg. Zabiera zabitym wrogom racje żywnościowe i broń. Po pogrzebaniu poległych towarzyszy siada z kolegami i stroi instrument. Nie naciąga strun za mocno, żeby żadna nie pękła. Najwyżej mandolina nie będzie dobrze nastrojona. Wtedy dostaje przezwisko Wariat. Od pełnych podziwu kolegów, z Moczarem na czele.

*

– Na pamiątkę, proszę pana, to stadninę po wuju ułanie można nabyć. Żeby ocalić pamięć, chciałam kupić teren obozowy. Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Świętochłowic, w 1989 roku, i poszłam na teren Zgody, zobaczyłam dwie grupy ludzi: małe dzieci, które bawiły się w piaskownicy, i mężczyzn pijących piwo. Rekreacja. Piaskownica dla maluchów była w miejscu, w którym stał bunkier, karcer wielkości sławojki, z lodowatą wodą sięgającą do piersi. Stamtąd wyciągali już tylko trupy. Powiem panu: szlag mnie trafił. I napisałam do wiceprezydenta miasta. O, proszę, tu jest odpowiedź.

Świętochłowice, dnia 17 sierpnia 2001

do pani Doroty Boreczek

W odpowiedzi na pismo z dnia 30.06.2001 dotyczące możliwości wykupienia terenu byłego

Obozu Pracy „Zgoda” w Świętochłowicach informuję o braku możliwości pozytywnego rozpatrzenia sprawy. Aktualnie na terenie tym zlokalizowane są ogródki działkowe.

Przecież był pan tam, sam widział, rozmawiał pan z działkowcami.

Byłem dwa tygodnie wcześniej. Teren podoboju Auschwitz, KL Eintrachthütte, a po wojnie polskiego obozu koncentracyjnego Świętochłowice-Zgoda, ma teraz wielu właścicieli. Ogrodzili ogródki (małe, ale własne) deskami, siatką, żywopłotem i ciasno splecioną wikliną z wierzby. Teren placu apelowego to teraz ogród, altana stojąca na miejscu baraku numer 7, przy bramie głównej, to świetlica. Na drzwiach kartka.

W sobotę, 11.04.2015, w świetlicy ogrodu odbędzie się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Stowarzyszenia Towarzystwa Ogródków Działkowych „Zgoda”.

– No i właśnie dlatego chciałam to wszystko kupić, pan myśli, że kiedy zareagowałam? Od razu.

Dwa dni wcześniej Dorota Boreczek postawiła na stole herbatę i ciasto.

– Proszę to włączyć – powiedziała odważnie, wskazując głową dyktafon.

Zacząła od początku. Po raz pierwszy tak szczegółowo i o wszystkim. Nawet o tym, że koc może być ważniejszy niż życie innego człowieka. Że załoga oboju zamieniła ludzi w dzikie zwierzęta, uruchomiła instynkty. Wygasła człowieka. To jest możliwe.

*

– Od pradziadka zaczniemy, ze strony mamy, od Kazimierza Skiby. Dziś mówi się na niego: „ostatni polski sołtys Katowic”. Bo rządził wsią, zanim w 1865 roku, za jego wstawiennictwem, otrzymała prawa miejskie. Dzisiaj na ulicy imienia pradziadka stoją wille i rośnie mirabelkowy sad. No i pomnik pradziadka jest.

Bogaci byliśmy przed wojną, przyznaję. Ojciec, Jan Niesporek, miał w Katowicach siedemdziesiąt kamienic. Założył firmę, która stawiała porty na całym świecie. O, zbudował Dunkierkę, niech pan sobie wyobrazi. I kiedy w czasie wojny ewakuowali się z niej alianci, wiedział, że nie będzie im łatwo. To była skomplikowana budowla, w zasadzie scalona z miastem. Port sąsiadował z katedrą, ojciec sam nadzorował projekt, zatwierdzał sieć falochronów przecinających akwatorium, doki, keje, pirsy, no na pewno nie było łatwo się stamtąd wygrzebać tysiącom Anglików. Utyskiwał. Prychał, był zły, pamiętam, choć w tyśiąc 1940 miałam dziewięć lat. Nie przyjął volkslisty, choć był przymus, że każdy musi mieć co najmniej czwórkę. Zapłacił pewnie solidnie komu trzeba.

Brat. Młodszy. Bo o rodzinie chciałabym najpierw. Joachim Niesporek. Całą okupację był w AK, przedzierał się do nas z Generalnego Gubernatorstwa, siadał do obiadu i zapadała cisza. Wszyscy czekali,

co powie o walce, a on milczał. „Mama, rosołu, tego twojego, tego najlepszego”, mówił, a potem jadł, aż mu się uszy trzęsły. Pierwszego sierpnia był w naszym mieszkaniu na Królewskiej w Warszawie ze swoją żoną Wiesławą Kurdziel. Jak się zaczęło, poszedł i nigdy nie wrócił, nigdy się nie odnalazł, pewnie się jakaś kamienica na niego zawałiła i w proch mi brata obróciła. Szukaliśmy go po wszystkich obozach, do których Niemcy wyprowadzili ocalonych akowców. Pisaliśmy, pytaliśmy, nikt nic nie wiedział. Joachim Niesporek.

W czasie wojny mieszkaliśmy na Dąbrowskiego 3 w Katowicach, wpadał do nas taki fajny chłopak, Stefan Kujawa, wyciągali z mamą radioodbiornik ze schowka w podłodze. I pamiętam jak dziś: „Halo, halo, tu Londyn, wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe”.

„Czekaj, coś przyniosę, żeby było lepiej słuchać, drut z piwnicy”, powiedziała pewnego razu matka, wybiegła i jak wracała, to już w drzwiach wpadła na oficera SS, nie pamiętam imienia, Rathman się nazywał. Matka podbiegła do radia, wyrwała sznur z kontaktu. „Trochę późno, prawda?”, powiedział. Że esesman, to potem zrozumiałam, wtedy był panem Rathmanem. Widziałam trupa główkę na czapce, uważałam, że to nie jest ładne. Tamtego dnia Rathman powiedział: „Pani Niesporek, jeśli mi pani przysięgnie, że to był ostatni raz, zostanie to między nami, sąsiadami”.

Mama przysięgła, on poszedł, a my zaczęliśmy się pakować, szykować do ucieczki. Ale nikt nie przyszedł. Minął dzień, drugi, tydzień, osłabła w nas wola wyjazdu. I pamiętam, jak dwa lata później, w styczniu 1945 roku, słyszałam grzmienie radzieckich dział, jakby szła burza stulecia, z każdej strony. Dziwne, nie bałam się. Schodząc po schodach kamienicy, zobaczyłam Rathmana w koszuli i szelkach, jak się w popłochu z żoną pakował. Spojrzał na mnie przez uchylone drzwi. „Trochę późno, prawda?”, powiedział z gorzkim uśmiechem. Nie bałam się, mimo że propaganda Goebbelsa nieustannie bombardowała nas informacjami, co z nami, kobietami, zrobią bolszewicy. Pamiętam, że urywanie języków z więzadłem najbardziej mnie przeraziło. Gwałty jakoś nie. Kiedy weszli do Katowic, my do piwnicy nie zeszliśmy. Panowała surrealistyczna atmosfera. Ktoś biegał i mówił, że Rosjanie strzelają do wszystkich, bez wyjątku. Mama się trzęsła. Powiedziała: „Barbarzyńcy są już w mieście”. Siedziała, chodziła, gotowała, ale nie mogła przestać drzeć. Ojca nie było, pojechał do Krakowa, nie pamiętam po co. Dlaczego nie chciał być przy rodzinie w takim czasie? W naszym salonie stał fortepian skrzydło, był świetnie nastrojony, mama usiadła i zaczęła grać. Zawsze ją to uspokajało. Godzina tego jej grania mija, druga, trzęsie się, ale gra. W końcu walenie do drzwi. Ja wiem, że to, co teraz opowiem, nie pasuje do niczyjego obrazka, ale tak się naprawdę stało, i Bogu dzięki, pamiętam nazwisko. W ogóle wypisałam sobie dla pana wszystkie nazwiska, jakie pamiętam.

Tu mam, w kajecie. (pokazuje) No więc stał w tych drzwiach. Wysoki brunet. Pierwsze spostrzeżenie: inaczej wygląda, nie ma waciaka, walonek i pepeszy jak Iwany na goebbelsowskich plakatach. Nazywał się Wiktor Sałowiłow. „Pan jest z NKWD?”, spytała mama. „Nie – odparł

spokojnie. – Po pierwsze, jestem sam. Po drugie, jestem zwykłym oficerem frontowym”. Zrzucił płaszcz z ramion i pamiętam, że to był dostojny gest. Chyba nie walczył osobiście. Zdumiewające, prawda? Dostojne zachowanie czerwonoarmisty, który już za moment oniemiałym śląskim kobietom oświadcza, że siedł podwórzem, usłyszał grę na fortepianie, a sam nie grał od czerwca 1941 roku, więc jeśli byłybyśmy tak miłe, to chętnie by usiadł. Wiem, z czym się to panu kojarzy. Niejeden fortepian był wtedy w Polsce i niejeden pianista. Nie pamiętam, co grał Sałowiłow. Miał niezłą technikę, ale popełniał błędy wynikające z braku ogrania. Nie zrażał się jednak. Skończył po godzinie. Wstał. Przedstawił się, powiedział, że zawsze lubił skrzydła, w których struny idą prosto, a nie krzyżowo, i dodał, że nam włos z głowy nie spadnie. Nie spadł. To znaczy żaden Rosjanin nie brał udziału w wywlekaniu nas do obozu w Świętochłowicach-Zgodzie.

*

Salomon Morel z partyzantki trafia wprost do UB. Ma dwadzieścia pięć lat, mocne plecy i sporo luzu. Myślał, że nie przeżyje, a tu niespodzianka. Przypadek. Jak Niemiec walił z maszynowego MG 42, to koledzy kładli się jak łany zboża pod sprawną ręką chłopca z kosą. A on jakoś nie. Teraz to by sobie odpoczął.

– Nie czas na odpoczynek, Polskę nową trzeba budować – mówi mu z sympatią Mieczysław Moczar.

Więc Morel odpoczywa, budując, w więzieniu na zamku w Lublinie, gdzie zostaje strażnikiem w listopadzie 1944 roku. Akurat wtedy, gdy rozpoczynają się pierwsze egzekucje żołnierzy AK. Morel już pracuje, kiedy UB zabija Tadeusza Benesza i Franciszka Gadzałę. Ale to nie młody, dzielny partyzant do nich strzela – on pije, „śpi do południa, opierdala się”, mówi głośno komendant zamku Antoni Stolarz, a w oficjalnym piśmie donosi do Wydziału Więzień i Obozów WUBP w Katowicach, że Morel jest wśród ludzi, którzy nie wykonują sumiennie swoich obowiązków, nie starają się podporządkować regulaminowi więziennemu, obgadują komendanta i podważają jego autorytet. Morela trzeba ukarać. Ale kary nie będzie. Będzie przeniesienie do więzienia w Tarnobrzegu, gdzie Salomon Morel znowu „manifestuje swoim zachowaniem”, że ma w nosie wszelkie regulaminy i nowe porządki.

W końcu w lutym 1945 roku wymyślono, co począć ze zdemoralizowanym, ale szanowanym za partyzancką przeszłość oficerem UB. Kop w górę. Komendantem niech zostanie. Kimś ważnym. MBP utworzyło właśnie obóz w Świętochłowicach-Zgodzie.

– Wariat, gdy się o tym dowiedział, to wreszcie mu się oczy zaświeciły – wspominał potem Moczar. – Powiedział: „Dziękuję”.

Dwudziestosześcioletni przyszły komendant w ankiecie socjalnej, w rubryce „Kwalifikacje”, pisze szczerze: „Żadne”.

*

– No więc to było dosłownie kilka dni później, na początku lutego. A może kilkanaście. Sałowiłow już w każdym razie ruszył na Berlin, pożegnał się, wiedział, co to oznacza. Ta ofensywa. Pukanie. Dwóch: jeden z biało-czerwoną opaską na ramieniu, drugi w cywilu. I oni poprosili, pamiętam, grzecznie, po polsku: „Czy mogłyby panie z nami pójść na Powstańców do Urzędu Bezpieczeństwa?”.

Wielki budynek z ogromną piwnicą, w której upchano już kilkadziesiąt osób. Wszyscy mówili to samo: strasznie tu biją. „Dlaczego?”, pytamy. „No biją, i już”. Wpadali do tej piwnicy i okładali na osłep pierwszych z brzegu: starców, kobiety, dzieci, i na przesłuchanie. Nie było się gdzie położyć, także ci skatowani tak się tylko klinowali między innymi stojącymi ludźmi.

Po kilku dniach rozkaz: wychodzić. Wsadzili nas w tramwaj i zawieźli do Świętochłowic. No co pan takie oczy robi, furmankami ludzi zwozili, spędzali w pochodach, tramwajami, prywatnymi samochodami, pociągami w wagonach pasażerskich. W pierwszej klasie też, jak tylko takie akurat były pod ręką. Ale i w bydlęcych. O tym, jak jechało się do obozu, decydował los. Później był w zasadzie jednakowy dla wszystkich. Zanim trafiłyśmy z mamą do obozu w Zgodzie, mieliśmy jeszcze przystanek w świętochłowickiej hali targowej. W byłej rzeźni. Wchodzimy: tłumy. Trzech wisi powieszonych na hakach, jeden ośmiolatek, jak się dowiedziałam. Widział pan kiedyś trupa dziecięcego? Milicja niespecjalnie wiedziała, jak grozić, jakich słów używać; jeden pokazał tych wiszących i mówi, że jak ktoś będzie *nicht gut*, to zawisnie. A potem dodał, że w zasadzie i tak, bez względu na wszystko, czeka nas taki los. Po polsku mówił, a po jakiemu. To powieszony wysoko dziecko patrzyło się na nas otwartymi oczami jak Chrystus wiszący na krzyżu w wielkim kościele. Gdzie by się nie stało, miało się wrażenie, że mały trup patrzy ci w oczy. Kilka dni na betonie, a później już pieszo do obozu w Zgodzie. „Wyłazić. Wyłazić, szwaby”. To już bliźniutko było. Otworzyła się brama, patrzymy, a tam na placu czeka na nas komendant. Ikona: wyprostowany, na rozstawionych nogach, dłonie splecione za plecami, oficerki.

*

Salomon Morel w lutym 1945 roku przejmuje podobóz Auschwitz KL Eintrachthütte – kompleks zbudowany w 1943 roku przez Niemców dla więźniów pracujących w pobliskich zakładach zbrojeniowych. Dwa lata później obóz jest w idealnym stanie. Morel ma do dyspozycji teren o powierzchni trzech hektarów, na którym znajdują się: siedem baraków, murowany budynek komendantury, mieszkania dla osiemdziesięcioosobowej załogi, karcer z lodowatą wodą, umywalnie i barak na zwłoki. W każdym z pomieszczeń dla więźniów są trypoziomowe prycze. Całość otacza drut kolczasty pod napięciem dziesięciu tysięcy woltów. Co piętnaście metrów jest reflektor. Cztery wieże w czterech rogach obozu. Przez środek biegnie zwirowisko, które zwieńcza plac apelowy.

Choć Salomon Morel w latach dziewięćdziesiątych stanowczo temu zaprzeczy, a wielu więźniów nie będzie pamiętało, czy w istocie tak było, nad bramą wejściową znajdował się napis: „Arbeit macht frei”. Ocalańcy pamiętają: Polacy go nie zdemontowali. Ale często mówią „my”. „My go nie rozwaliliśmy”.

*

– Niech pan mi powie, czy to jest jakaś relatywizacja? Jan Józef Lipski, ten z KOR-u, napisał, że rozliczanie większej winy niemieckiej nie unieważni mniejszej winy polskiej. Jak można nie pamiętać, uznać ją za tabu? Morel przywitał nas słowami: „Wy hitlerowskie kurwy, Oświęcim to było przedszkole w porównaniu z moim sanatorium”. On zresztą to sformułowanie „warunki sanatoryjne” powtarzał w latach dziewięćdziesiątych całkiem serio. Może wtedy w to uwierzył?

W obozie były kobiety, dzieci, byli starsi mężczyźni – oni umierali najszybciej. Najpierw zaatakowały głód i zimno. Szybciej niż tyfus. Błyskawicznie zniknęły wszystkie kępi trawy. Kobiety biegały z kijami po baraku i polowały na szczury. Zresztą te szczury były tłuste. Żywiły się do syta w tym baraku trupiami.

Głodu się nie wytłumaczy, nikt, kto go tak naprawdę nie odczuł, nie zrozumie, do jakich czynów potrafi popychać. Co dostawaliśmy? Prawie nic nie było przewidziane dla hitlerowskich kurew. Nawet załoga miała ciężko. Kradła, kombinowała po wsiach. Nie będę mówić o objawach zagłodzenia u kobiet, o tym, że miesiączka ustaje, piersi znikają, twarz niby szlachetnieje.

Powiem, jak po kilku miesiącach pobytu w obozie spotkałam Ernsta Zuga. Jego matka sprzątała u nas przed wojną. Ślązak, Polak. Popierali Piłsudskiego. Sprzątaczką ciągle tylko o nim mówiła, pochylona nad naszymi podłogami. Stał więc Zug obok placu apelowego, pamiętam, ale jakby zupełnie bez sensu stał, patrzył przed siebie. Był przydzielony do komanda, które codziennie zabierało świeże trupy z baraku, ładowało na wóz i wiozło do lasu zakopać. Ciągnęli ten wóz jak konie. Potem kopali groby, wrzucali zwłoki do ziemi i zanim przysypali niegaszonym wapnem, odcinali ostrymi kamieniami pośladki. Załoga z białą czerwonymi opaskami na ramionach nie mogła na to patrzeć. Odwracali się ze wstrętem. Tak mówił Zug. Od razu zjadał, nie przynosił do obozu.

Jedynym wyjściem było nadawać się do pracy. Ale mało ludzi się nadawało do pracy w Hucie Świętochłowice, którą miał zasilać obóz. Ubłagałam jednego ze strażników i się zakwalifikowałam. No i tam jakiś kawałek chleba można było dostać. Jakiś porządny człowiek się zawsze znalazł. Polak oczywiście, rodak. Morel miał podobno problemy, że niby prowadzi obóz pracy, a zdolnego do niej ma jednego na dziesięciu więźniów.

Matkę szybko dopadł tyfus. Leżała tylko i głaskała mnie po głowie. Ale raz się zdenerwowała na mnie, bo jej powiedziałam, że widziałam, jak kobiety z głodu rzucają się na druty. I ją poprosiłam: „Mamusi, chodźmy”. Aż usiadła. Aż krzyknęła, że Bóg by nam tego nigdy nie darował. Wychowała

się u sióstr boromeuszek. Mówię, że przecież i tak nie wyjdziemy z tego żywe, że to śmierć rozłożona na bolesne raty. A ona, że wyjdziemy, żebym nie traciła wiary.

Kobiety szły – tak to wyglądało – pojedynczo, coraz wolniej i wolniej się do ogrodzenia zbliżały, a potem chwyciły szybkim ruchem te druty i już tak zostawały, potem wyłączano zasilanie i załoga je wyplątywała. Mężczyźni uważali, że to niehonorowe, codziennie któryś wiesział się w łaźni.

Rano przychodziła kapo, Frau Piwko. Nie pamiętam imienia. Wcześniej była w BDM. Pytała: „Ile trupów?”. I podawaliśmy liczbę. Mówiła: „Wyrzucić”. Bo nie wynosili zmarłych drzwiami baraku, tylko my musiałyśmy wypychać je przez okno i z ziemi do trupiarni zabierali je dopiero Zug i inni grabarze. A potem na wóz.

Jak wybuchł tyfus, to wyrzucałyśmy kilkanaście ciał każdego ranka. Pan wie, jak się objawia tyfus plamisty? Osłabienie, majaczenie, żuchwa opada, człowiek znika. A wcześniej jeszcze wpada na kilkanaście godzin w taką dziwną euforię. I jak szalała epidemia, to kapo Piwko nie chciała uwierzyć jednej dziewczynie, że jest chora. Biła ją pejczem, ścigała za włosy z pryczy, co nie było trudne, bo tamta, pamiętam, miała bujne, gęste blond włosy, ale ważyła ze trzydzieści pięć kilo. Piwko przeciągnęła ją do drzwi baraku, a później zostawiła, bo chyba dała wiarę. Następnej nocy ta dziewczyna – ile mogła mieć lat? osiemnaście? – umarła.

Nad ranem kobiety z jej pryczy wyrzuciły ją przez okno. Ja je rozumiem, chciały mieć choć odrobinę więcej wolnego miejsca. Bo jak się obracały na bok, to wszystkie pięć na pryczy, na komendę. Więc zwłoki to był problem. Minęła może godzina, skrzypią drzwi. Ja w ogóle nie wiedziałam, że drzwi naszego baraku skrzypią, bo zawsze były otwierane kopniakiem albo barkiem. Skrzypią te nienaoliwione zawiasy, kobiety unoszą się na pryczach, patrzą, co się dzieje, a to wchodzi ta blond dziewczyna. Zdążyli ją zabrać do trupiarni, jeszcze wóz nie nadjechał, a ona się wygrzebała i idzie. Czy przeżyła? Nie, za dzień lub dwa zmarła naprawdę. Pan może pomyśleć, że to niemoralne, że kobiety ją przedwcześnie wyrzuciły, bo nieprzytomna była.

To panu powiem, że zaraz po głodzie było zimno.

Chodziliśmy tygodniami w tych samych niepranych szmatach, w których przyszliśmy do Zgody. I pamiętam taką panią, która okazała mi serce. Nazywała się Ruth, imienia nie pamiętam. Miała koc. Zobaczyła, że się trzęsę, mówi: „Chodź do mnie”. Wskoczyłam. Jakie to było uczucie. To ciepło. Ona się do mnie jeszcze przytuliła i tak spałyśmy. I nad ranem ciepło zaczęło niknąć. Jakby ktoś wyłączył zasilanie. Kiedy byłam już pewna, że nie żyje... wie pan, jaka była moja pierwsza myśl? Będę miała koc! Własny.

A jak buchnęło na mnie ciepło z baraku, w którym gwałcili, to aż się zatrzymałam. I zaczęłam kalkulować. W otwartych drzwiach stał ktoś z załogi, patrzył, nie był zainteresowany i ja mu się wcale nie dziwię, miałam czternaście lat, wyglądałam na dziesięć, ważyłam niecałe czterdzieści kilogramów.

Pamiętam naszą sąsiadkę, Niemkę, Hildegardę Iglę. Nie wszystkie imiona zapomniałam. Wytworna kobieta, wspaniała, przyszła do obozu w pięknym futrze, solidnych butach, miała srebrno-popielaty kostium. Jak umierała na tyfus, to uniosła się na łokciach i poprosiła dziewczyny, które były się o jej ubranie, żeby jeszcze poczekały, jeszcze chwilę. Kilka godzin. Uspokajała je, że to nie potrwa długo i wkrótce będzie im cieplej.

Mężczyzn Niemców zamykano w baraku numer 7. Co noc dochodziły z niego wrzaski. Załoga tłukła ich tam pałkami.

W obozie byli głównie Polacy, mieszkańcy Śląska. I jeden Holender. Eric van Carlsen. Wiele lat później poznałam jego żonę, przyjaźniły się. Miał wtedy czternaście lat, był stuprocentowym Holendrem, tak jak jego matka i ojciec. Przeprowadzili się. Po prostu. Do obozu wzięli go wprost z ulicy ci z biało-czerwonymi opaskami. Nie mieli wątpliwości – blondyn, niebieskie oczy, słabo mówił po polsku, tłumaczył im po niemiecku, że jest z kraju także napadniętego przez Niemcy, że to nieporozumienie. Tylko kiwali głowami. Wygląd miał ikoniczny, nic nie trafiało. On pewnego dnia uciekł z obozu. Nie wiem jak, miał oko do dziur pod ogrodzeniem i pijaństwa strażników. Ale sprytu starczyło mu tylko na to, by wydostać się za druty, bo potem schował się w swoim domu w Gliwicach. To zresztą typowe dla czternastolatka, nie myśli pan? W domu!

Przyprowadzili go tego samego dnia wieczorem, odstawili do baraku siódmego, poszli. Potem mi opowiadano, że dopiero w nocy się za niego wzięli, jak popili. Weszli w pięciu chłopów, ściągnęli Carlse i zaczęli młócić, aż słychać było trzask kości. Wyrwał się i uciekł na najwyższą prycę. Zdenerwował ich, bo po pijanemu nie mogli się wgramolić. Nie dawali rady go sięgnąć. W końcu, jak już go dopadli, to z powrotem na ziemię. Wtedy wrzasnął ponoć: „Zastrzelcie mnie!”. Nie posłuchali, tłukli, aż przestał się ruszać. I jak doszedł do siebie, jak się pozrastał i stęchł, to pierwszą rzeczą, którą zrobił, to uciekł. Znowu do domu, a gdzie? No i przyprowadzili go znowu i połamali raz jeszcze.

Strażnikami byli wyłącznie Polacy. Jak przychodzili bić – a bili wszystkich mężczyzn – to pytali, ile ma spaść batów. Tyle, ile lat miał Hitler? Jakiegoś powstańca śląskiego tak pytali, starszego mężczyznę. Często więźniowie musieli bić się nawzajem. Z pistoletem przystawionym do skroni. Takiemu Józefowi Wiesiołkowi kazali bić swojego ojca. Nie uderzył. Powiedział – a miał ze dwanaście lat – że ojca się nie bije. To mu strażnik zrobił podcinke, znaczy przewrócił na żwir, kazał się wypiąć, dał bat ojcu i mówi, że ojciec syna już chyba może. I ten ojciec płakał i bił z pistoletem przystawionym do głowy.

Lekarzem obozowym namaszczonym przez Morela był doktor Głombica. Nie, nie pamiętam imienia. Bestia to była. Pomagał chorym na tyfus, przecinając kozikiem tętnice udowe. Wyraźnie to lubił. Patrzył, jak słabnie ciśnienie wyrzucanej krwi. A przecież przed wojną był w Katowicach dobrze znanym, cenionym pulmonologiem. Ludzie mówili: „Zawsze wytworny, zawsze wypachniony chodził”.

Kiedy przyjechała ta komisja z Warszawy, Głombicy kazano, żeby zorganizował coś na kształt

lazaretu dla chorych na tyfus. „Foksami byli, to tyfus się należy”, złościł się.

„Foksy” mówiono na volksdeutschów. Może dlatego moja matka przeżyła, bo akurat to wypadło na jej chorobę, ten szpital. Wtedy już było ciepło i chorym chyba dawano też coś więcej do jedzenia. Najgorsza epidemia tyfusu przyszła w lecie.

Wiść o Głombicy wyszła poza obóz błyskawicznie. Potem o nim nie zapomniano. Zadbali o to ci, którzy ocaleli. Aresztowano go w latach pięćdziesiątych w Niemczech Zachodnich i skazano. Nie wiem, na ile.

*

UB do Zgody wysyłał Ślązaków, którzy zostali wpisani na volkslistę, niektórych wprost z ulicy, bez sprawdzania. Ślązak to fok. Ale po Niesporków przyszli specjalnie jako do wrogów ludu – bogaczy, przedsiębiorców, ciemężycieli robotników. Decydował klasizm. O to, że nie będą mogli wykonać ani jednego skutecznego gestu sprzeciwu podczas wywłaszczania, komuniści byli spokojni.

Więźniowie Zgody jedli trzy razy dziennie. Rano dostawali kubek czarnej kawy, na obiad trzy czwarte litra wodnistej zupy, a wieczorem – trzysta gramów chleba. Łącznie – czterysta kalorii.

Franc Brachman, jeden z więźniów, powiedział w filmie dokumentalnym o obozie Zgoda: „Kto nie mógł się porozumieć ze swoimi najbliższymi i nie dostawał żadnego dodatkowego jedzenia, w krótkim czasie umierał z głodu”.

Salomon Morel ustanowił plan dnia. Pobudka o piątej, między piątą a szóstą godzina na wyrzucanie zwłok ludzi zmarłych w nocy i uprzątnięcie ich przez komando. Apel – między szóstą a szóstą trzydzieści, pieśń *Kiedy ranne wstają zorze* jako modlitwa, potem wyznaczenie garstki więźniów, którzy nadawali się do pracy w świętochłowickiej hucie. Reszta wracała do baraków. Do latryn można było wychodzić tylko w dziesięcioosobowych grupach.

W Zgodzie przebywało jednorazowo tysiąc trzysta osób, w tym wiele dzieci. W ciągu trzystu dni istnienia obozu – od lutego do listopada 1945 roku – zmarło w nim ponad dwa tysiące osób. Morel osobiście podpisał tysiąc osiemset aktów zgonu i te dokumenty przetrwały w świętochłowickim Urzędzie Stanu Cywilnego.

Gerhard Gruschka, były więzień, wspomina w swojej książce *Zgoda, miejsce grozy*:

W obozie koncentracyjnym Zgoda faktycznie modlono się publicznie na placu apelowym każdego ranka i wieczora. „Do modlitwy” – brzmiała komenda. W wyprostowanej pozycji śpiewano potem pieśń kościelną, a milicjanci, wśród nich również mordercy z ubiegłej nocy, zdejmowali swoje rogatki z głów, śpiewając donośnie razem z nami.

Kiedy rozwiązano obóz, ci, którzy przeżyli, musieli podpisać dokument zobowiązujący ich do

całkowitej dyskrekcji. W materiałach IPN dotyczących Zgody znajduje się takie wspomnienie jednego z więźniów:

Od naszego przełożonego strażnika dowiedzieliśmy się w miesiącu października, że obóz na Zgodzie będzie zlikwidowany, a nawet już się go powoli likwiduje. Gdy zapytaliśmy, co będzie z tymi więźniami, odpowiedzieli, że część się wykatrupi, część choroba wykończy, a z resztą zobaczymy. Tu nie śmie być po obozie śladu.

Nie było go przez niemal pięćdziesiąt lat.

Teraz przed rozpadającą się bramą stoi kamienna tablica ufundowana przez więźniów. Za nią – ogród, w którym odbywają się spotkania działkowców. Ich zdaniem ludzie z Niemiec ciągle tu przyjeżdżają i im wygrażają, straszą, że odbiorą im jedyną w zasadzie formę rekreacji weekendowej i letniskowej. Obóz był przede wszystkim hitlerowski. Polski też, ale nie można mówić, że polski, tylko ubecki. Stalinowcy go założyli. Żyć trzeba. To ma tu teraz tylu ludzi stracić ziemię z tego powodu, i co? Mauzoleum może jakieś się postawić? To ile na Śląsku tych mauzoleów będzie? Ile powinno być? Ponad sto? To mauzoleum przy mauzoleum pan by ustawiał, śmiech na sali. Ludzie tu chcą spokoju. Odpoczywają. *Pamiętajcie o ogrodach*, zna pan tę piosenkę?

*

Tuż po wojnie w okolicach Świętochłowic działały też inne obozy MBP. Dużo. Wiele na tych samych zasadach – przejęte po Niemcach, idealne, tylko wejść i więzić. Nie miały nic wspólnego z obozami CZPW przy kopalniach. Obozy MBP istniały w Bytomiu, Będzinie, Wadowicach, Tarnowskich Górach, Bielsku, Mysłowicach, Sosnowcu, Libiążu, Chorzowie, Żywcu, Siemianowicach Śląskich. I największy, jeden z czterech centralnych obozów pracy – w Jaworznie.

W Oświęcimiu działały aż trzy obozy. Między wyzwoleniem przez Armię Czerwoną 17 stycznia 1945 roku a utworzeniem muzeum 2 lipca 1947 roku funkcjonował obóz macierzysty Auschwitz I, Auschwitz II-Birkenau oraz trzeci obóz, podległy MBP, na terenie miasta.

Nie wszędzie komendantami byli sadyści. Nie wszędzie mordowano bestialsko Ślązaków i Niemców, ale wszystkie te obozy były elementami tego samego systemu – na polecenie nowych polskich władz miały dostarczać niewolników do pracy.

Kolejne kilkadziesiąt obozów MBP zostaje utworzonych na Dolnym Śląsku, blisko przedwojennej granicy. Ponurą sławę zyskują Łambinowice, przejęty po nazistach niemieckich stalag Lamsdorf zamieniony w obóz pracy. Tamtejszy komendant Czesław Gęborski okaże się większą bestią niż Morel. Dolnośląskich Niemców, czekających na wysiedlenie z utraconych ziem, Polacy więzić będą jeszcze w obozach w Opolu, Jagielnicy, Jodłowie, Głuchołazach, Grodkowie, Zdzeszowicach, Nysie,

Paczkowie, Kałkowie, Głubczycach, Błotnicy Strzeleckiej, Kamienicy i wielu innych. Wielu spośród cywilnych więźniów zostanie zamordowanych.

*

Salomon Morel mści się na Niemcach w imieniu narodu polskiego, nie własnym, bo rodzinę zabili mu granatowi policjanci, a więc rodacy. Kiedy w listopadzie 1945 roku obóz w Świętochłowicach zostaje zlikwidowany, obejmuje komendanturę największego Centralnego Obozu Pracy MBP w Jaworznie. We wrześniu 1946 roku zostaje odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W 1960 roku, kiedy najważniejsza jest normalizacja życia, a nowa władza odżegnuje się od stalinowskich mordów, Morel otrzymuje Odznakę Wzorowego Funkcjonariusza Służby Więziennej. Jak twierdzą przełożeni w oficjalnych dokumentach: „Pracę po linii więziennictwa opanował znakomicie”. Jego postawa ideowa nie budzi żadnych wątpliwości. Co więcej, koleguje się tylko z naczelnikami obozów i więzień. Na żonę wybiera sobie strażniczkę z obozu Zgoda. Po latach, kiedy będzie realnie zagrożony zarzutem o ludobójstwo, powie całkiem serio: „Więźniowie w Świętochłowicach mnie uwielbiali. Jedna strażniczka nawet za mnie wyszła”. To Wiesława Knut pochodząca ze wsi Łagisza pod Będzinem. Zostanie z Morelem do końca.

Komendant Zgody chciał się uczyć. Kiedy obejmował komendanturę w Świętochłowicach, miał dwadzieścia sześć lat i wykształcenie podstawowe. „Ambitny”, piszą przełożeni, kiedy w lipcu 1949 roku zdaje maturę. Potem idzie jak burza. Najpierw Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu w Stalinogrodzie (tak nazywały się Katowice w latach 1953–1956). Później prawo na Uniwersytecie Wrocławskim i magisterka obroniona na piątkę w 1964 roku. Tematem pracy magisterskiej była *Praca więźniów i jej znaczenie*.

W 1968 roku Morel zostaje zmuszony do odejścia ze służby. Nie wyjeżdża jednak z Polski. Wystarczy, że złoży prośbę o przejście na wcześniejszą emeryturę. Napisze w niej: „Tyle lat z elementem przestępczym zupełnie rozkołatało mi nerwy”. Trudno się dziwić: od 1945 do 1968 roku pełnił funkcje kierownicze w więzieniach i obozach. Po Jaworznie – w wielu zakładach na Górnym Śląsku. Ma dwudziestotrzyipółletni staż pracy. Przez następne dwadzieścia jeden lat będzie żył dostatnio jako emeryt. Zaraz po przełomie 1989 roku upomną się o niego Ślązacy. W nikim nie będzie złości, potrzeby zemsty, chęci odpłaty. Byli więźniowie Zgody wiedzą, gdzie mieszka komendant, na jakiej katowickiej ulicy. Włos mu z głowy nie spadnie. Pójdzie o zwyczajną sprawiedliwość. Zostanie złożony pozew.

*

– Jesień już była i mnie zwolniono. Po prostu ktoś wziął mnie pod rękę, otworzyła się brama Zgody i klepnięto mnie w pupę jak niemowlaka, mówiąc przy tym: „No, idź”. Nie poszłam, czekałam na matkę.

Nie pamiętam, gdzie nocowałam, pamiętam, że po tygodniu zobaczyłam ją wychodzącą z obozu. Podbiegłam, przytuliłam się do niej ile sił i to był moment, w którym zrozumiałam, tuląc jej bezwładną głowę, że teraz role się odwracają. Majątku już nie było, nawet nie dostałyśmy papierów wywłaszczeniowych. Ojciec zniknął, dopiero po latach miałam się dowiedzieć, że zamęczyli go w UB w Krakowie. Byłyśmy gołe i bose, a tu listopad. Poszłyśmy do naszego mieszkania, a tam już duża rodzina mieszka. W głębi widać mężczyznę w podkoszulku myjącego się w miednicy. Zobaczył nas, odrzucił ręcznik, podskoczył do drzwi, zatrzaskał. „Panie jeszcze raz nie pukają, bo to oficer”, powiedział ze schodów ktoś niewidzialny.

Poszłyśmy do mojej niani, którą zatrudnialiśmy przed wojną. Sama mieszkała w klitce, ale miała piwnicę trzy na trzy na trzy metry. Spędziłyśmy tam dziesięć lat. Szybko mnie w tej piwnicy znalazło UB. Przychodzili, żeby wzywać na przesłuchania. Jak do celi, rozumie pan, zresztą blisko mieli.

Najpierw było: „Musicie się zapisać do ZMP, żeby mieć jakąkolwiek szansę na pracę. Na wyjście z tej piwnicy”. Zapisalam się.

Potem znowu wzięli. „Niesporek, wy już w Katowicach nic nie znaczący, nic sobą nie reprezentujecie, jesteście nawozem”.

Kolejne przesłuchanie. „Zapomnijcie o studiach. O medycynie marzycie, tak? Nie ma szans”. „Dlaczego?” „Dlatego, Niesporek, że zbezczesciliście odznakę ZMP”.

Odpadła mi i nogą akurat krok robiłam, więc odbiła się od pantofla i poturlała aż pod biurko. Nasza wychowawczyni w szkole średniej doniosła, że kopnęłam ze złością.

Ciągle brali. I dotrzymywali słowa. Na stomatologię uczyłam się i płakałam, potem znowu zabierałam się do książek. Miałam wszystko w głowie. I po prostu nie było mnie na liście przyjętych. Dlaczego dentystka? No, nie po to, żeby ludziom w zmurszałe zęby zaglądać, tylko żeby nas z matką utrzymać. A za chwilę miało być z nią całkiem źle.

Skończyłam studium pielęgniarstwa, pracowałam w kopalni Wujek. Jako felczerka dołowa. Co rusz się zjeżdżało, bo górnicy ranią się, kaleczą nieustannie. A to komuś nogę przygniotło, a to sobie któryś ostrym jak nóż kawałkiem skały przedramię rozplatał.

Kilka lat później u matki zdiagnozowali guza mózgu. Od razu napisali w papierach, że nieoperowalny, a do mnie na korytarzu lekarz powiedział: „Niesporkowej taką potwornie trudną operację?”, i patrzył mi dobrotliwie w oczy.

Matka wyła, warczała z bólu, wydawała takie dźwięki jak ludzie opętani. Bo guz uciskał jej nerw trójdzielny. On odpowiada za ruch i czucie. Ja wiedziałam, co robić. Jak robot byłam, poszłam do ambulatorium na kopalnię, wzięłam igłę, strzykawkę i akonitynę. Trzy miligramy wystarczą. Ampułka miała dziesięć. Mama patrzy wielkimi oczami, mówi cicho: „Tak, córeczko”. Ale ja wiem, że wszystko się w niej buntuje, że to nie po chrześcijańsku, że w Zgodzie dała radę, a teraz jest trudniej.

Decyzja należy do mnie. Stoję nad nią, wystrzyknęłam powietrze, jestem gotowa, mierzę igłą w sufit. Tak na siebie patrzemy. Rzuciłam to wszystko w cholerę, w kąt i pobiegłam załatwić paszport dla matki. Oczywiście, że można było kupić. Po piętnastu latach w piwnicy i jedzeniu byle czego miałam jakieś oszczędności.

Zoperowali ją w Stuttgarcie. Przeżyła. Ja dostałam pracę pielęgniarki w szpitalu Feuerbach. Zaczęłam pracować z taką samą intensywnością, jak w Polsce, więc Niemcy tylko oczy ze zdumienia przecierali i bardzo byli zadowoleni. Była różnica, wie pan jaka? Płacili adekwatnie do wykonanej pracy. Obywatelstwo? Zgodził się pan Boreczek. Za darmo. Staruszek. Zmarł kilka miesięcy później. Przez szacunek dla niego noszę to nazwisko. I przez wdzięczność. Bo moim mężem jest Władysław Jurkiewicz. Człowiek, na którego parol zagięła SB. Jak utworzono archiwa Stasi, okazało się, że Polacy namawiali enerdowskich przyjaciół do zajęcia się nami, bo im było wszakże łatwiej dopaść nas w Niemczech Zachodnich. Nie zabić, nie, nie. „Zneutralizować wrogą działalność”.

Wydano dokument stwierdzający, że jestem w Polsce osobą niepożądaną, oraz przyznano mi w 1985 roku, o, proszę, to ozdobne pismo:

Prezes Rady Ministrów stwierdza, że Prezydent Rzeczypospolitej nadał Pani Dorocie Boreczek Złoty Krzyż Zasługi za jej poświęcenie i cierpienie w ofiarnej walce w imię Wolnej Polski.
Londyn, dnia 15 sierpnia 1985. Podpis.

Kto był wtedy prezydentem na uchodźstwie... Edward Raczyński.

Więc Stasi popukało się w głowę, to były dla nich polskie sprawy, nie chcieli się mieszać. No to SB musiała wziąć sprawy w swoje ręce. I zaczęło się. Już mówię, na czym polegała nasza wroga działalność. Przede wszystkim organizowaliśmy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych transporty darów do Polski. Niemcy byli bardzo chętni, zwłaszcza po wybuchu stanu wojennego.

Dostałam informację z Polski, że jest potrzebna pompa insulinowa, zwróciłam się do kliniki w Stuttgarcie o podarowanie Polsce kilku takich pomp. Za kilka dni telefon, że jest już samochód. Ja mówię: „To nieporozumienie”. A oni: „Nie, postanowiliśmy ofiarować Polakom furgonetkę pomp”. Maszynę do pisania można było po prostu opakować w styropian, kartonowe pudło odpowiedniej wielkości i dołożyć do auta pełnego tego rodzaju darów. Gorzej było z maszyną drukarską. Trzeba było rozkręcać na czynniki pierwsze i dołączać dokładną instrukcję montażu. Mój mąż musiał dokładnie tłumaczyć przez niemiecki kontakt najpierw działaczom KOR, a później Solidarności, gdzie jest sprzęt.

Najprościej było wysyłać ampułki kwasu masłowego – w podeszwach butów. Pan zna smród skunksa? Nie? To nie życzę. Do takiej małej dywersji służyły te fiolki. Wchodził człowiek na spotkanie, rozgniatał butem i za parę minut wszyscy inni musieli kończyć. Szybko nas namierzyli. Zaczęli przychodzić, że niby gasterbeiterzy i czy pracy bym nie pomogła znaleźć, bo słyszeli, że troszcę się

o Polaków za granicą. Szybko się z mężem orientowaliśmy, z kim mamy do czynienia. Później te ich rozpoznania czytałam – trochę kretyni, przepraszam. A trochę bajkopisarze, żeby zadowolić pracodawcę.

Potem przychodziły groźby i telefoniczne ostrzeżenia. Kiedy mężowi ktoś spalił warsztat stolarski na Alexanderstrasse, przyszła do nas wreszcie stuttgarcka policja. Oficer usiadł ciężko w tym fotelu i mówi: „Może byście przestali, my nie możemy was chronić”. „Boicie się?”, pytam. „Pani jest zbyt odważna, pani Boreczek. Pani wie, co to w ogóle jest aparat bezpieczeństwa krajów socjalistycznych?”

*

Katowicki oddział Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach zaczyna badać temat obozu w Świętochłowicach.

W lutym 1990 roku ruszają przesłuchania pierwszych świadków. W archiwach znajdują się dokumenty obciążające Morela. Były komendant nie ucieka. Kiedy po raz pierwszy stawia się przed Komisją w charakterze świadka, do gabinetu, w którym rozmawia z prokuratorem, wchodzi z wezwaniem w ręku Dorota Boreczek. Prosto z lotniska. Morel patrzy zciekawiony. Boreczek nie mdleje, nie potrzebuje szklanki wody, krzesła, powietrza, wie, po co przyjechała.

– Pani wie, kto to jest? – pyta prokurator.

– No naturalnie, to komendant obozu koncentracyjnego w Świętochłowicach-Zgodzie, Salomon Morel, który odpowiada osobiście lub pośrednio za śmierć wszystkich zmarłych więźniów.

Morel odwraca się do prokuratora.

– Coś się tej pani pomyliło, podejrzewam zaburzenia psychiczne, w moim obozie panowały warunki sanatoryjne.

Jako świadek zeznaje jeszcze, że więźniowie go cenili, był przyzwoity i pomocny, nigdy nie czuł potrzeby zemsty, jego obóz to była bajka. Mówi też, że może czasami mu się zdarzało zachować wobec kogoś agresywnie, ale był więźniem Auschwitz-Birkenau i przeżycia obozowe mogły odcisnąć na nim piętno. Spowodować, że czuł silniejszą potrzebę sprawiedliwości niż ci, którzy nie przeszli przez to piekło. Urosła w nim ponadto bryła lodu i się rozrastała. Dokładnie o tym opowie. To zabicie jego rodziny ją stworzyło.

Stu wciąż żyjących byłych więźniów Zgody zeznaje to, co wciąż pamięta. Mówią o torturach, głodzie, kanibalizmie, bunkrze, drutach pod napięciem.

W lipcu 1992 roku rusza oficjalne śledztwo. Cztery lata później prokuratura stawia Salomonowi Morelowi zarzut ludobójstwa.

Dopiero w 2005 roku szef MSZ Adam Rotfeld zwraca się z oficjalną prośbą do izraelskich władz o ekstradycję Morela, który już od dwóch lat jest ścigany międzynarodowym listem gończym. Były komendant wyjechał z Polski natychmiast po rozpoczęciu śledztwa. Izrael nie ma podpisanej umowy

ekstradycyjnej z żadnym państwem.

Rok po tym jak odrzucono prośbę o ekstradycję, Morel, wciąż przekonany, że jest zaszczyty przez nową, żądną zemsty władzę, umiera w domu swojej siostry w Jaffie.

Żona poznana w świętochłowickim obozie widzi go po raz ostatni kilka godzin wcześniej. W ostatnich miesiącach życia był spokojny, ale – jak wspominają ci, którzy go pamiętają z Izraela – bardzo cierpiał, że odebrano mu możliwość spędzenia jesieni życia w ojczyźnie, którą tak ukochał.

Dzisiaj

Po przejęciu skrzyń Dietmar Brehmer zorganizował konferencję prasową, na której poinformował o znalezionych archiwach. Powiedział: „To dokumenty najwyższej wagi humanitarnej, których istnienia nie wolno zatajać, bo działa się przeciw demokracji. Chodzi nam o to, by ludzie, którzy szukali latami swoich bliskich, mogli wreszcie dowiedzieć się, kiedy i jak oni umarli”.

Szef stowarzyszenia nie powiedział nikomu, skąd ma kartotekę ofiar. Następnego dnia rano na ulicę Sienkiewicza 23 w Katowicach, pod siedzibę Niemieckiej Wspólnoty Pojednanie i Przyszłość podjechało kilka samochodów. Funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa weszli bez pukania i według swojej własnej relacji „poprosili o znalezione akta, będące własnością Rzeczypospolitej”. W istocie zrobili kipisz, powywracali meble, zamknęli wszystkich pracowników w jednym pomieszczeniu i zabrali wszystko, co ich interesowało.

Brehmer poinformował media. Stąd o brutalnej interwencji UOP dowiedział się Zbigniew Gluza. Natychmiast pojechał do Katowic. Siedziba stowarzyszenia była zdemolowana. Ktoś wrzucił do środka butelkę z benzyną. W ciągu kilku dni okazało się, że UOP przewiózł zaaresztowane akta do oddziału Archiwum Państwowego w Katowicach. Kierownictwo archiwum nie miało Gluzie i Brehmerowi nic do zaproponowania. Dowiedzieli się, że państwo odebrało siłą swoją własność i to na razie tyle. Nie ma sprawy.

Była sprawa. Mimo że Brehmer nie powiedział, skąd ma akta, oficer UOP Zbigniew Nowak otwarcie przyznał, że Ewę Będkowską namierzyły służby i prowadzono wobec niej działania operacyjne. Potem Wiesław Kopciak, szef katowickiej prokuratury, oświadczył, że śledztwo w tej sprawie prowadził wyłącznie Urząd Ochrony Państwa. Później dochodzenie przeciwko Będkowskiej nadzorowały prokuratury sosnowiecka i katowicka. Postawiono jej zarzut z artykułu 276 Kodeksu karnego:

Kto niszczy, uszkadza, czyni bezużytecznym, ukrywa lub usuwa dokument, którym nie ma prawa wyłącznie rozporządzać, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

Miała proces. Skazano ją.

Wtedy, na samym początku, Zbigniew Gluza pomyślał, że może pomóc w Warszawie. Był członkiem Rady Archiwalnej przy Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych. Umówił się na spotkanie z dyrekcją. Naczelnym dyrektorem była wówczas Daria Nałęcz. Gluza dobrze zapamiętał

tamto spotkanie, bo wszyscy byli zdenerwowani tym, co się wydarzyło w Katowicach. Redaktor „Karty” powiedział, że polskiej dyplomacji zagraża międzynarodowy skandal, bo instytucje państwowe nie mogą ukrywać takich znalezisk. Zdaniem Zbigniewa Gluzy to wszystko można było porównać do sytuacji, w której Rosja znalazłaby dokumentację dotyczącą kilkunastu tysięcy Polaków zamęczonych w łagrach i nie chciała nam jej wydać. Daria Nałęcz potraktowała sprawę bardzo poważnie. Redaktor walczący o prawdę usłyszał, że z moralnego punktu widzenia ma stuprocentową rację, ale z politycznego nie. Bo jak coś takiego się ogłosi, to rodziny niemieckie mogą zażądać odszkodowań, a jeszcze tego brakuje, żeby Polska płaciła Niemcom odszkodowania za to, co się wydarzyło w 1944 i 1945 roku.

Gluz nie zaakceptował tych wyjaśnień, bo rozumiał je jako zamiecenie sprawy pod dywan. Poczul, że nadarzyła się wyjątkowa okazja na przełom w stosunkach polsko-niemieckich, polegający na zmianie strategii pamięci. Do chwili znalezienia dokumentów relacje Polski z Niemcami były próbą wzajemnego pojednania, lecz z czasem okazały się fasadą, za którą nie było ani rzetelnej wiedzy, ani nawet zainteresowania pozwalającego spojrzeć na sporne kwestie oczami drugiej strony. Pierwszy prawdziwy krok ku sobie można by wykonać, bezinteresownie przekazując Niemcom kartotekę z Klimontowa. To wielkie dobro dla rodzin ofiar – wiedza o losie bliskich, o tym, jak umarli, gdzie, kiedy, dlaczego – mogłoby stać się prawdziwym, niepolitycznym, sąsiedzkim gestem pomagającym uporać się z historią po bez mała sześćdziesięciu latach.

Być może ta praca, rozpoczęta od gestu bezinteresownego ujawnienia niemieckich ofiar pracy przymusowej, doprowadziłaby do zmian w społecznym myśleniu i ujawnianie tego typu znalezisk nie wzbudzałoby już nigdy politycznych emocji.

Gluz nie przekonał jednak ani Darii Nałęcz, ani nikogo innego z kierownictwa Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych. Zaproponował więc pomoc Ośrodka Karta w profesjonalnej archiwizacji dokumentów. To trudna praca, wymaga określonej metodologii.

Usłyszał, że zgodnie z prawem te akta nie mogą się znaleźć w rękach żadnej organizacji pozarządowej. Nie ustępował. Zaproponował doświadczonych ludzi do pracy w Archiwum Państwowym.

Naczelną Dyrekcję Archiwów Państwowych nie zamierzała jednak niczego ośrodkowi zlecać i nigdy więcej do tematu kartoteki z Klimontowa nie powrócono.

Temat wrócił sam. Przy okazji awantury, którą wywołała Erika Steinbach. Był 2002 rok. Prezydent Kwaśniewski postanowił zorganizować dyskusję z udziałem specjalistów dotyczącą tego, jak reagować na kryzys wywołany przez niemiecką działaczkę. Wtedy Zbigniew Gluz postanowił walnąć pięścią w stół. Powtórzył, że ujawnienie kartoteki jest znakomitym sposobem wyjścia z kryzysu. W ten sposób Polacy okazaliby dobrą wolę, udowodnili, że nie negują faktu istnienia niemieckich krzywd, choć jednocześnie staliby na stanowisku, że nie godzą się na sposób rozwiązywania tych spraw w stylu

Steinbach.

To byłby gest dobrej woli, wytrącający Steinbach broń z ręki. Dobry ruch.

Aleksander Kwaśniewski i szef MSZ Włodzimierz Cimoszewicz pokiwali głowami.

Że moralnie uzasadnione.

Gluza nie odpuszczał. W 2012 roku poszedł do nowego rządu z tą samą sprawą. Sikorski skierował go do Bartoszewskiego. Pan profesor w pierwszej chwili powiedział: „Jasne, sporządzę specjalną notatkę dla prezydenta, premiera i szefa MSZ”.

==L1DgTCVLIASlAw8PeUByRXRUPLlRINQZFAQZANAy1dMQ==

BRACIA

Czyli Leon Taraszkiewicz
postanawia walczyć



25 kwietnia 1945 roku w życie wchodzi okólnik nr 42 ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza i dyrektora Departamentu Więziennictwa i Obozów MBP Teodora Dudy w sprawie utworzenia centralnych obozów pracy w Jaworznie, Krzesimowie, Potulicach i Warszawie.

III Departament Więziennictwa i Obozów równocześnie reguluje sprawę segregacji volksdeutschów i oskarżonych o współpracę z Niemcami w obozach pracy. Tworzy się następujące obozy centralne: 1. Obóz pracy – Warszawa; 2. Obóz pracy – Krzesimów, pow. Lublin; 3. Obóz pracy – Potulice, woj. pomorskie; 4. Obóz pracy – Jaworzno, woj. krakowskie. (...) W kwestii uregulowania wyżywienia więźniów, osadzonych w centralnych więzieniach i obozach, oraz zaprowadzania rygoru tychże wydane zostanie specjalne zarządzenie w najbliższym czasie

Archiwum Akt Nowych,
MBP, 4/353, s. 170

*

Na wschód od Lublina chałupy we wsiach wyglądają, jakby ktoś celowo rozrzucił je tak, żeby sąsiedzi mieli do siebie daleko. Zieloną tablicę pół roku temu przewrócił biały lanos, odjechał i teraz kierowca jadący od strony Świdnika nie ma szans dowiedzieć się, że już jest w Krzesimowie, a nie Lubieńcu. Na terenie pałacu, w którym rezydowała komendantura obozu, urządzono ośrodek pomocy społecznej. Parking dla pracowników, chlewnia, komórka, dwie stodoły i śmietnik na żelastwo to pozostałości po Centralnym Obozie Pracy Krzesimów. W ogóle by o nim nie pamiętano, gdyby w 1996 roku nie zalało szosy. Trzeba było zbudować nową, bo jeździć się już nie dawało, nawet traktorem. Piach pod drogę miał być z pobliskiej górki i już pierwszego dnia operator koparki zobaczył, że mu kość z łyżki wystaje. Najpierw myślał, że końska, ale okazało się, że udowa, przymocowana do miednicy. Tak się zaczęło.

*

Bardzo niebezpieczna trzynastolatka ma trafić do Centralnego Obozu Pracy w Krzesimowie. Niebezpieczną należy skuć z tyłu i przewieźć na furmance razem z chorymi, którzy kilkudziesięciominutowej podróży na trzaskającym mrozie nie przeżyją.

Kilkanaście tygodni wcześniej, 18 grudnia 1944 roku, do domu państwa Taraszkiwiczów we Włodawie przychodzi UB. Pierwszy wchodzi funkcjonariusz Pajączkowski. To nazwisko trzynastolatka zapamięta, bo będzie zdumiona, że obcy mężczyzna w mundurze grzebie w szufladach, zagląda do szaf,

wertuje osobiste papiery. Dziewczynka powie: „Jak Gestapo”.

Potem, kiedy cała rodzina będzie już wyprowadzana, jeden z funkcjonariuszy UB burknie: „Ale to dziecko to może zostawmy, co?”. I wtedy Pajączkowski szepnie mu na ucho: „To siostra”.

Bo aresztowanie całej polskiej rodziny wiąże się z nieobecnym bratem – Leonem. Będzie z nim większy problem, niż przypuszcza lubelski UB. Już wkrótce cała Lubelszczyzna będzie mówiła o Jastrzębiu. Kiedy bezpieka profilaktycznie zamyka całą rodzinę, Leon Taraszkiewicz jeszcze nie pokazał, jak dobrym jest partyzantem i jak skutecznie potrafi sterroryzować matecznik stalinowskiej Polski – Lubelszczyznę.

Na razie mamy złą decyzję Pajączkowskiego, bo gdyby nie zezłościł się na trzynastolatkę za porównanie do gestapowca, być może nie wyedukowałby jej politycznie i nie zdarzyłoby się to wszystko.

*

Dziewczynka trafia najpierw na lubelski Zamek, potężny, piękny, piętrzący się na wzgórzu jak Monte Cassino. Jego potencjał jako więzienia odkryto dawno, a w pełni wykorzystano w latach wojny. Po wypchnięciu z Lublina Niemców Zamek stał się głównym więzieniem MBP. Wygoda. Dużo przestrzeni, mnóstwo cel, zwłaszcza w podziemiach, w lochach. I łatwy transport do jednego z centralnych obozów pracy – w położonym kilkanaście kilometrów dalej Krzesimowie, zapadłej wsi.

Najpierw jest szybkie dojrzewanie. Trzynastolatka musi zrozumieć, że nie ma wyboru ani ucieczki – w jednoosobowej celi musi stać na baczność razem z kilkadziesiątorgiem innych, znanych sobie z widzenia ludzi. UB wyłapuje rodziny wielu byłych akowców. Rozalia Taraszkiewicz rozpoznaje w celach adwokatów, lekarzy, dziennikarzy, urzędników.

Zamek mimo swoich rozmiarów pęka w szwach. Obóz w Krzesimowie ma rozładować jego cele, po to powstał, pracy tam w zasadzie nie ma i nie będzie, poza bezsensownym dźwiganiem urobku z kamieniołomu w Dominowie. Na każdego więźnia przypadnie jeden wielki kamień i dziesięć kilometrów spaceru do obozu. Kilka razy dziennie. Do dziś leżą pod młynem, bez sensu, jak gdyby zrzucił je z wywrotki pijany kierowca.

*

Aresztowanie rodziny Taraszkiewiczów to sam początek walki ze zbrojnym antykomunistycznym podziemiem. Nowa władza nie ma jeszcze wypracowanych metod. Nie ma też za bardzo kogo przeciwstawić dobrze wyszkolonym żołnierzom, okrzepłym w leśnych walkach z Niemcami. A stalinowcy wkrótce się dowiedzą, jak trudnym przeciwnikiem są żołnierze niepodległościowego podziemia. Bezpośredni powód aresztowania rodziny to rozmowa Leona Taraszkiewicza

z Pajączkowskim kilka dni wcześniej. W swoich opublikowanych wiele lat później wspomnieniach Rozalia Taraszkiewicz przywołuje tę rozmowę:

– Wróciliście z oddziału partyzanckiego i nie zapisaliście się do partii. To znaczy, że wy jesteście wróg. Widzicie, władzę trzeba umacniać, a nie stać na uboczu, trzeba likwidować wrogów Polski Ludowej.

– Ja z moim szefem, u którego uczyłem się zawodu w masarni, panem Dajerem, prowadzę spółkę, wyrób i sprzedaż, i myślę, że to żadne przestępstwo, ktoś przecież musi pracować, przecież żyjemy wśród ludzi cywilizowanych.

– Bo wam pachnie być kułakiem, a tu, jak widzicie, kułaków trzeba niszczyć – powiedział Pajączkowski.

Popełnił jednak błąd, wypuścił Leona, który do domu już nie wrócił, słusznie przewidując aresztowanie. Poszedł od lasu i po pewnym czasie związał się z oddziałem Tadeusza Bychawskiego, Sępa. Kiedy się dowiedział, że jego rodzina jest w rękach UB, zdecydował się walczyć. Kilkudziesięciu znakomicie wyszkolonych, doświadczonych i niezłe uzbrojonych akowców będzie uderzało bardzo boleśnie.

Pierwsza akcja to napad na posterunek MO w Wytycznie. Dyskretnie otoczyć. Wysłać jednego człowieka w cywilnym ubraniu z bronią za paskiem, niech wejdzie i bez słowa wystrzela, ile się da, choćby i z przyłożenia, w głowę i pierś. W tym czasie pod mur posterunku podbiegną ci, którzy będą potrzebni do akcji na piętrze, kiedy wystraszeni milicjanci, którzy nie przeszli nawet zajęć na strzelnicy, zabarykadują się na kilkadziesiąt minut. Wtedy egzekutor tych z dołu wycofa się do czekających kolegów. Wejdą na półpiętro i będą czekali na eksplozję wrzuconego przez okno granatu. Jeśli któryś milicjant nie wie, że w tak nietypowych sytuacjach nie wolno podchodzić do okna, zginie od kuli czekającego w lesie snajpera uzbrojonego w zdobyczny radziecki karabin Mosin.

Czerwiec 1945 roku okaże się na Lubelszczyźnie miesiącem pogromu dla stalinowców. Powiększający się oddział Sępa przeprowadzi pod koniec miesiąca rajd, który zakończy się objęciem dowodzenia przez Leona Taraszkiewicza, Jastrzębia. Zaczną dwunastego o ósmej rano we wsi Lubowierz. Dwudziestu dobrze uzbrojonych partyzantów bez trudu przejmie wojskową ciężarówkę. Zostawiając za sobą cztery trupy, pojadą do Dubeczna i rozerwą na strzępy dobrze obsadzony posterunek MO. Tam jednak Sęp dostanie kulę w płuco. Ciężko ranny będzie walczył jeszcze dwie godziny. Umrze z wykrwawienia około piętnastej, kiedy jego koledzy będą odnosili błyskotliwe zwycięstwo bez strat nad milicjantami w Sosnowicy.

Leon Taraszkiewicz pokieruje oddział na ostatni tego dnia cel, placówkę „samoobrony obywatelskiej” we wsi Pieszowola. Samoobrona to poprzedniczka ORMÓ, ludzie mają tylko hełmy

radzieckie i pałki, nie trzeba więc do nich strzelać, wystarczy ich związać, a potem wrzucić na pakę ciężarówki broń, jedzenie, alkohol, sprzęt drukarski i kilkanaście maszyn do pisania.

– Jaki ty masz właściwie pseudonim? – spyta Taraszkiewicz Jarosław Piechociński, niespełna dwudziestoletni winowiec.

Dziarski, pali papierosa, patrzy w oczy.

– Jastrząb.

*

Teren dawnego obozu zachował się całkiem nieźle. O przeszłości informują małe tablice, ogólnikowe, wyblakłe, jedna się zapadła, postawiono je dla świętego spokoju po tym incydencie z miednicą podczas budowy drogi. Mówią, że znajdował się tu pierwszy polski COP. Mało kto wie, co to znaczy. Bo wszyscy koncentrują się na lubelskim Zamku, a nie na największym miejscu kaźni. A to była ważna wieś, mieszkał tu sam Rola-Żymierski. Dla niego miał być ten pałac.

W kwietniu 1945 roku, kiedy trzynastoletnia Rozalia Taraszkiewicz trafia do obozu w Krzesimowie, a Jastrząb, jej brat, szykuje się do walki, naczelny dowódca Wojska Polskiego i minister obrony narodowej Michał Rola-Żymierski stoi przed pałacykiem i obserwuje transport, który w tak zimny dzień przywiózł przede wszystkim trupy. Tych, którzy przeżyli, załoga obozowa wpędzi do obór bez okien, z trzypiętrowymi pryzmami. Wiele lat później we wspomnieniach Rozalia Taraszkiewicz nie powie o niczym, czego nie znalazłbyśmy z innych obozów MBP.

Obóz był przeznaczony do celowej zagłady ludzi. W końcu lutego przygnano czterdziestu trzech więźniów z numerami, bez nazwisk i imion. Nie było miejsca, gdzie można ich wsadzić, kazali więc otworzyć warsztat stolarski i tam wszystkich zamknęli. (...) Więźniowie pochodzili z krakowskiego, radomskiego, kieleckiego i zamojskiego. Na ubraniach namalowano im białą farbą hakenkroje. Dano im rano trochę chleba i polewkę z otrębów, ale kilkoro już nie żyło. (...) W oborach było pełno więźniów, były właścicielki zakładów meblowych, prokuratorzki, sędziny, właścicielka kina „Wenus” w Lublinie, bardzo ładna, w ciąży. Byli także wysiedleńcy z Besarabii, byli to osadnicy niemieccy, niektóre z tych rodzin przypominały raczej Cyganów niż czystych „aryjczyków”. Opowiadali, że było im dobrze, dopóki Stalin nie zajął Besarabii.

Besarabia leży w granicach dzisiejszej Mołdawii. Region zawsze słynął z wielokulturowości. Ludność Besarabii tylko w połowie składała się z Mołdawian. Drugą część stanowiło wiele mniejszości. Niemców było kilkadziesiąt tysięcy. Po ataku na ZSRR 21 czerwca 1941 roku hitlerowcy błyskawicznie zajęli kraj graniczący z sojuszniczą Rumunią i wprowadzili swoje prawa rasowe oraz narodowościowe. Trzy lata później Stalin postąpił tak samo, ze szczególnym uwzględnieniem Niemców, których wygnano

na zachód, „do siebie”. Krzesimów najprawdopodobniej był niechcianym, dość przypadkowym przystankiem podczas ich długiej podróży do domu, przez pola bitew.

*

W obozie rządził Wiercioch, pseudonim Bestia. Niezależny, prawdziwy oberkapo, nie starali się na niego wpływać kolejni komendanci: Aleksander Trzcinka, Tadeusz Krawczyk, Alojzy Stolarz i Michał Rozwadowski. Sporo ich było, mimo że obóz działał tylko do sierpnia 1945 roku, bo nikt tego Krzesimowa nie chciał, każdy obejmował go jak nagrodę pocieszenia zamiast lubelskiego Zamku. A Wiercioch nie miał parcia na karierę w UB. On lubił ludzi rozgniatać drewniakami, które zawsze miał na nogach.

„Skąd pochodził, nie wiem, ale więźniów katował, bali się go okropnie, to był człowiek czynu, nosił polski mundur, ale ten w ogóle do niego nie pasował, powinien raczej nosić mundur SS”, powie po latach Rozalia Taraszkiewicz.

Wiercioch robił obchód po oborach. Nie codziennie, jak ochotę miał. Brał wygodną, nie za długą pałkę i wypatrywał chorych, słabych, niezdolnych do pracy, takich, którzy i tak by umarli. Bystrość mu się wtedy w oczach zapalała, bezbłędnie odróżniał, kto śpi, a w kim już coraz mniej sił. W im gorszym stanie więźniów, im bliżej nad grobem stał, tym mocniej Wiercioch go do tej mogiły wpychał, zamieniając jego głowę w krwawą miazgę. Pochylał się nad zwiniętym w kłębek chorym człowiekiem i rąbał kilkadziesiąt sekund.

Któregoś dnia po śniadaniu zmiana. (...) Mama do kamieniołomów. Ja oraz inne dzieci też zostałyśmy przydzielone do kamieniołomów. Panowie stali w rozkroku i patrzyli na nas, nędzarzy. Oni wypasieni unrowskim prowiantem „tylko dla orłów” i nagle przyprowadzono pod rękę więźnia, który, jak mówili, nie chciał iść do pracy. Na naszych oczach kapo zaczął go okładać szuflą po głowie, zaczęła lać się krew. Nagle z tłumu padły słowa piosenki rewolucyjnej z Francji zanuconej przez panią profesor z Radomia. Kto nie umiał śpiewać po francusku, ten nucił. Tłum zbliżał się do leżącego, ucho wisiało, włosy zlepione krwią, nie dawał oznak życia. Ten człowiek był chory i dlatego nie był w stanie iść do pracy. „Kwadraty” [załoga obozu] cofnęły się, tłum nędzarzy obozowych zbliżał się do kapo. W oczach więźniów było coś wrogiego, jakaś mściwość, zaczęli pluć, popychać, może i kopać. Nagle padły słowa starszyny „rozejść się”.

Wtedy jeszcze nie przyszedł czas na Wierciocha, jego śmierć nie miała być linczem, łatwo go było obronić, wystarczyło wyjąć z kabury mauzera i strzelić w powietrze. Bestia z Krzesimowa zginie kilkanaście dni później. Znajdą go zastygłego na krześle, opartego o stół, z wkrętakiem w oczodole,

wbitym aż po rękojeść. Zabrakło mu kilku tygodni, żeby doczekać likwidacji obozu.

*

W ostatnich dniach kwietnia 1945 roku po Rozalię Taraszkiewicz przyjeżdża do obozu ojciec chrzestny, znajomy matki. Ma kartę zwolnienia, dziewczynka może opuścić obóz. Urząd Bezpieczeństwa liczy na to, że Rozalię przygarnie brat, który wciąż jest poszukiwany, choć jeszcze nie uważa się go za najgroźniejszego bandytę leśnego Lubelszczyzny. Stanie się nim po czerwcowym rajdzie, po którym milicjanci masowo będą rzucać robotę. Dobrze płatna, ale o kulkę od Jastrzębia łatwiutko.

W drugiej połowie 1945 roku do oddziału Jastrzębia dołącza jego rodzony brat, Edward Taraszkiewicz. Odtąd będą działali we dwóch i szybko stworzą legendę „braci wyklętych”.

Od początku wojny Edward myślał o tym, by iść do lasu. Nie zdążył. W kwietniu 1940 roku do jego rodzinnego domu weszło dwóch oficerów Gestapo i na oczach całej rodziny – w tym Rozalii, która zapamięta tę rewizję i kilka lat później porówna do niej ubecką – znalazło pistolet. Właściwie to była zabawka, bez iglicy, miała dodawać animuszu, zanim w lesie dadzą prawdziwą broń, ale Edwarda aresztowano i wysłano na przymusowe roboty do fabryki w Querfurcie. Doczekał amerykańskiego wyzwolenia, natychmiast wrócił do Polski i zanim Urząd zdołał się zorientować, że przybył mu niebezpieczny wróg, dołączył do oddziału Jastrzębia. Gotowy do walki, nienawidzący komunistów, pewien zwycięstwa. Pseudonim: Żelazny.

Z ówczesnej perspektywy żołnierzy z lasu walka zbrojna z komunistami mogła wydawać się sensowna. Dzisiaj, oceniana na zimno, jest absurdem – początkowa słabość i brak wyszkolenia LWP oraz KBW szybko przeminęły. Gdyby utrzymywała się zbyt długo, zapewne za akowców i winowców wzięliby się ci, którym porządek jałtański był najbardziej na rękę. Niektórzy spośród Żołnierzy Wyklętych liczyli na starcie z Armią Czerwoną. Płonęło w nich pragnienie zemsty za akcję „Burza”. Widzieli także autentyczną szansę na rozpętanie trzeciej wojny światowej pomiędzy Zachodem, który ich wesprze, a Sowietami właśnie.

Winowcy, choć dziś wydają się straceńcami, starali się kalkulować na zimno. Między 1945 a 1947 rokiem dysponowali znakomitym wywiadem. Szybko się zorientowali, że do UB trafić może prawie każdy chętny. Wystarczyło wysyłać ochotników udających ocalonych z piekła wojny, bez dokumentów.

*

Alojzy Bruski to nie ocalony bez dokumentów, to intelektualista, porucznik Wojska Polskiego, uczestnik wrześniowych walk z Niemcami. Dzień przed sowiecką inwazją odznaczył się w walkach o Miłosną, w pojedynkę ucinając załogę karabinu maszynowego. Podszedł od tyłu, poczekał, aż polski oddział zwiąże Niemców potyczką. Przez całą wojnę walczył w jednym z największych partyzanckich

oddziałów AK, a w lutym 1945 roku ujawnił się przed sztabem 1. Samodzielnej Brygady Zaporowej I Armii Wojska Polskiego. Bruski powiedział, że walczył z Niemcami, tak jak było można i gdzie było można, a teraz chciałby przysłużyć się nowej ojczyźnie. Porucznik AK został przyjęty do LWP i zachował stopień z 1939 roku. Inteligentny, twórczy, charyzmatyczny, bezlitosny dla wrogów socjalizmu. Przynajmniej w wygłaszanych opiniach. Idealny na komendanta, stwierdził Teodor Duda, kiedy poznał go osobiście.

Były akowiec dostaje dość trudne pierwsze zadanie. Ma zostać komendantem obozu w Zimnych Wodach pod Bydgoszczą. Adres: ulica Uroczą 1/3. To strategiczne miejsce, przedwojenne pogranicze polsko-niemieckie. Bruski szybko się orientuje, że nie ma żadnej pracy dla więźniów, że dowodzi zwykłym obozem koncentracyjnym dla Polaków, niemieckich cywilów z terenów należących przed wojną do Rzeszy oraz volksdeutschów. Zimne Wody to teren dawnego obozu pracy Kaltwasser-Bauleitung.

Bruski widzi, jak ma działać obóz, czego wymagają od niego przełożeni, i nie ma zamiaru być bierny. Na bieżąco informuje antykomunistyczną partyzantkę o warunkach panujących w tym oraz w innych obozach na terenie byłego pogranicza polsko-niemieckiego. Opowie, jak młodej polskiej dziewczynie przydzielono przesiąknięty krwią płaszcz po Niemce, którą kilka minut wcześniej zabił dziewiętnastoletni oficer Urzędu Bezpieczeństwa: „Kopał ją po brzuchu i piersiach. Kiedy leżała na wpół przytomna, poszedł do latryny, ubrudził swoje wysokie buty fekaliami i kazał je oblizywać. Kiedy przestała, bił ją i kopał tak długo, aż zabił”.

Coraz gorzej u Bruskiego z wykonywaniem obowiązków wobec socjalistycznej ojczyzny. Kiedy może, nie pozwala bić ani głodzić więźniów, domaga się dodatkowej aprowizacji dla obozu w Zimnych Wodach. To ryzykowne, grożące dekonspiracją decyzje, które nie mogą umknąć uwagi delegatury WiN na Pomorzu. Bruski ma wypełnić rozkaz: przekonać jak najwięcej uzbrojonych polskich chłopów z KBW do dezercji i utworzyć z nich oddział WiN. Ciepłą nocą z 29 na 30 kwietnia Alojzy Bruski ucieka z trzydziestoma pięcioma żołnierzami służącymi wcześniej w komunistycznej formacji, których przez ostatnie dwa tygodnie w obozie po cichu wcielał do niepodległościowego wojska.

Za to, że był tak przekonujący, wyrok zmieni mu Bolesław Bierut. Bruski wpadnie w zasadzkę dwa miesiące później, w domu fałszywych przyjaciół. Nie będzie się stawiał ani próbował ucieczki. Nowa władza skaże go na dziesięć lat więzienia za dezercję, ale bezpośrednio namaszczony przez Stalina przyszły prezydent zainterweniuje osobiście i 17 września 1946 roku Alojzy Bruski, pseudonim Drwal, dostanie kulę w głowę na schodach piwnicznych więzienia we Wronkach. Miejsca jego pochówku nie udało się ustalić do dziś.

Inny Żołnierz Wyklęty, porucznik Edward Wasilewski, pseudonim Wichura, ma w 1945 roku zupełnie inne zadanie niż Bruski. Jest typowym oficerem frontowym, uwielbia dowodzić na polu bitwy.

W czasie wojny walczył z Niemcami w obwodzie AK Mińsk Mazowiecki. W sierpniu 1944 roku, kiedy dymy z palonej Warszawy było czuć kilkadziesiąt kilometrów dalej, Wichura nie ulegał emocjom, słuchał rozkazów, nie rzucał się na odsiecz stolicy ze swoim dużym, stu pięćdziesięcioosobowym oddziałem. Wpada w pułapkę podczas akcji „Burza”, ujawniając się przed wkraczającymi Sowieci. Bo w założeniu było to porozumienie między polską armią podziemną a Armią Czerwoną. Połączenie sił. Naprawdę chodziło o wyłapanie i wyeliminowanie wrogiej czerwonoarmistom partyzantki operującej na terenie przedwojennej Rzeczypospolitej.

Wichura od razu trafia do obozu na Majdanku, przerobionego w całości na więzienie NKWD. Muzeum powstanie tu – podobnie jak w Auschwitz – dopiero w 1947 roku. W 1944 i 1945 roku prowadząca największą wojnę w historii ludzkości Armia Czerwona nie ma zamiaru cackać się z takimi prezentami od Niemców i organizować miejsca poświęconego pamięci pomordowanych Żydów oraz obywateli Związku Radzieckiego.

Tyle że strażnicy są wiecznie pijani, obóz pilnowany jest słabo, a Wasilewski młody i dobrze wyszkolony. Po dwóch tygodniach ucieka bez trudu.

Osiemnastego maja 1945 roku, dziesięć dni po kapitulacji Trzeciej Rzeszy, Wichura dostaje do pomocy cały oddział dywersyjny podporucznika Edmunda Świdorskiego. Akcja AK jest wymierzona w jeden z najlepiej strzeżonych obozów NKWD, w Rembertowie pod Warszawą. Przetrzymani są w nim głównie Polacy z AK, WiN oraz niemieccy oficerowie. Wichura wie, czego się spodziewać, ma plan obozu z zaznaczonymi polskimi barakami, bo Niemców odbijać nie zamierza. Zna słabe punkty w ogrodzeniu, zaciemnione miejsca, godziny zmian strażników. Uderza precyzyjnie i boleśnie – 21 maja o trzeciej w nocy czterdziestu winowców zaczyna działać jak dobrze wyszkolony oddział komandosów. Z zimną precyzją, żadnego hurra. Na bramie trzech strażników, trzy strzały, szczypcy do przecięcia łańcucha, pojedyncze wejście i każdy od razu biegiem do odpowiedniego baraku. Na terenie obozu padają nieliczne strzały. Ginie piętnastu Rosjan. Zaskoczenie jest całkowite. Ucieka pięciuset więźniów, oddział Wichury wychodzi z akcji bez strat, ale nie ma pomysłu na to, co zrobić z tymi, którzy właśnie odzyskali wolność. Puszczają ich wolno, „idźcie żyć”, mówi, a to błąd. Już za kilka dni cała Polska będzie mówiła o akcji odbicia z Rembertowa. Informacje o brutalnej obławie NKWD i UB, która doprowadziła do rozstrzelania ponad dwustu uciekinierów, już się do opinii publicznej nie przedostaną.

Wichura wpadnie kilkanaście dni później. Nie zostanie zastrzelony na miejscu. Nie odbędzie się pokazowy proces zakończony karą śmierci.

Wychodzi po dwóch latach więzienia. Umiera dopiero w 1968 roku. Skacze z okna swojego dużego mieszkania na Kruczej. Gazety napiszą, że zmarł zasłużony dziennikarz, pracownik redakcji „Przyjaciółki”. Wichura nie dostał kuli w 1945 roku, bo przez dwa lata zeznawał całą znaną mu prawdę na temat antykomunistycznego podziemia. A wiedział bardzo dużo. W 1989 roku historycy dowiedzą

się z akt bezpieki, że okazał się jednym z najskuteczniejszych agentów, który doprowadził do zatrzymania i stracenia mnóstwa swoich ważnych kolegów ze struktur AK i WiN. Wypuszczony, nie wzbudzał podejrzeń. Legenda. Wrócił do lasu. Ufali mu Jan Kmiołek – pseudonim Wir, Kazimierz Kamiński – Huzar, Jan Taborowski – Bruzda, Jan Sałapatek – Orzeł i inni, których szczątki zidentyfikowano na powązkowskiej „Łączce”. Albo wciąż jeszcze nie wiadomo, gdzie są pochowani.

Legendarny dowódca akcji rembertowskiej dalej dowodził, radził i wysyłał oddziały winowskich przyjaciół wprost pod karabiny LWP i KBW. Sam nigdy nie brał udziału w tych akcjach. Nikt go jednak nie podejrzewał, żołnierze podziemia antykomunistycznego ginęli przecież codziennie. SB wykreśliło go z listy współpracowników w 1960 roku, kiedy nie był już potrzebny, bo do złapania został już tylko Józef Franczak, pseudonim Lalek, ostatni wyklęty. Wasilewskiemu dano w nagrodę mieszkanie i etat w „Przyjaciółce”. Kiedy kompletnie pijany skakał na warszawską ulicę, miał czterdzieści pięć lat.

*

Rozalia Taraszkiewicz się boi, bo od ojca chrzestnego zaraz po wyjściu z obozu usłyszała: „Uważaj, bo oni chcą cię teraz zabić”.

Po kilku dniach do jej tymczasowej kryjówki w środku nocy wejdzie Jastrząb. Powie tylko, stojąc na środku pokoju, wiedząc, że mała siostra nie śpi: „Chodź, bo do Włodawy nie możesz już wrócić”.

Pojadą w las, nie za głęboko, do leśniczówki, gdzie ludzie Jastrzębia przejmą Rozalię i zobowiążą się pilnować jej jak źrenicy oka. Ale to tylko tymczasowe schronienie. Leon Taraszkiewicz wie, że siostra musi się przeprowadzać raz po raz i że nie wolno mu się pokazywać w jej pobliżu.

Pośrednicy będą wskazywali dziewczynce co kilkanaście dni kolejne mieszkania, wszystkie należące do zaufanych ludzi, poza ostatnim. Po latach Rozalia Taraszkiewicz wspominała:

Ze wsi Olszowa zawieźli [mnie] do wsi Grabniak do pana Zielińskiego, stamtąd ponownie zawieźli koło Białki do pana Kosińskiego. Miałam mały pokoik z kuchnią do gotowania, pan Kosiński się z nami kontaktował, dostarczał nam żywność. (...) Zaznaczam, po nas miał przyjechać 15 listopada 1946 Heniek Wybranowski i zabrać nas ze Stępkowa do Elbląga. (...) Dnia 11 listopada 1946 poszłam do Parczewa po odbiór spódnicy do krawcowej i po drobne zakupy. Kiedy wracałam z Parczewa, jechały samochody, na jednym z nich byli bracia Kazik i Tadek Mazur. Mazurowie już wcześniej podpisali współpracę z SB, bo ich szwagier też poszedł do SB. (...) W samochodach było dużo aresztowanych mężczyzn. (...) Przyprawdzili Mazura, pytają, czy go znam, mówię: „Nie znam tego pana”. A pytają jego, czy on zna mnie, on mówi: „No to jest siostra Jastrzębia”.

*

W listopadzie 1946 roku, kiedy Rozalia Taraszkiewicz wpada w ręce UB, jej brat jest już legendą. Pół roku wcześniej, w upalne popołudnie, na żwirowej szosie Jastrząb i Żelazny zatrzymują elegancki citroën avant. Są bez mundurów, udają brudne, obdarte, potrzebujące pomocy ofiary szabrownictwa. Samochód jest ubecki, to na pierwszy rzut oka widać, pół resortu takimi jeździ, blachy warszawskie, czysty, znaczy myty często. Wszystko ma się odbyć jak zwykle, trzeba zdjąć kierowcę i ochronę, zobaczyć, co wiozą, zabrać broń, może wiozą jakieś przydatne dokumenty.

– Szef – szepcze Leon.

– Tylko który? – pyta Edward.

Wiadomo to z relacji Stanisława Pakuły, jednego z ocalałych żołnierzy, który wtedy przycupnął na poboczu z bronią gotową do strzału.

Trudno powiedzieć, co samotny samochód Urzędu Bezpieczeństwa robi w miejscu, w którym istnieje niemal pewność spotkania ludzi z lubelskich lasów. A może wcale nie jest samotny? Może za nim za kilka chwil na drodze pojawi się ciężarówka?

Potem wszystko będzie działo się bardzo szybko. Samochód stanie, Jastrząb i Żelazny poczekają na odpowiedni moment, sięgną po broń. Oddział ruszy w kierunku pozostającej z tyłu ciężarówki. Winowcy na razie nie strzelają, patrzą, jak kilku uzbrojonych kabewiaków zeskakuje z paki i ucieka w popłochu, w pola, przyciskając czapki do głów.

Przy citroënie pod Jastrzębiem ugną się nogi, ale na twarzy nie drgnie ani jeden mięsień. Zamiast szychy z UB z tyłu siedzi kobieta. Śmiało wysiada z auta, staje przed braćmi, pyta, o co, do cholery, chodzi i dlaczego jakieś oprychy zatrzymują samochód.

Pakuła pamięta, że powiedziała: „Tak traktujecie siostrę prezydenta?”.

*

– Tak traktujecie siostrę prezydenta?

– Jakiego prezydenta? – Jastrząb zdębiał.

Ta zaś odpowiada, że nazywa się Zofia Malewska i jest siostrą Bolesława Bieruta.

Jastrząb na to:

– A my chłopcy z lasu!

Ona zbladła. Spodziewała się najgorszego. W samochodzie jechała cała jej rodzina: mąż, syn, synowa i ojciec synowej.

Pakuła:

Wsiedliśmy do swoich samochodów i pojechaliśmy ukryć się w Lasach Parczewskich. „Jastrząb” przewidywał, że teraz UB zacznie szaleć, szukając rodziny Bieruta. (...) Nie zamierzaliśmy rodziny Bieruta dłużej przetrzymywać. Gdyby sam Bierut jechał w samochodzie, to zaraz poszukalibyśmy dla niego gałęzi. Sam „Jastrząb” powiedział, że gdyby Malewska nie przyznała się do tego, że jest siostrą prezydenta, to od razu puścilibyśmy ją z rodziną wolno. Skąd bowiem mieliśmy wiedzieć, kim ona jest. Włos im z głowy nie spadł. Zachowywali się bardzo kulturalnie. Przez dwa dni, jak ich przetrzymywaliśmy, śpiewali z nami pieśni religijne i modlili się. Siostrę Bieruta traktowaliśmy na pewno lepiej niż ubowcy piętnastoletnią Rozalię Taraszkiewicz, siostrę „Jastrzębia” i „Żelaznego”, którą przetrzymywali w swoich siedzibach.

Urząd Bezpieczeństwa i tak zaczął szaleć. Od 1947 roku wzmocniono posterunki, wysłano do lasu kabewiaków bez mundurów. Mieli udawać antykomunistyczną partyzantkę. Obławy odbywały się dwa-trzy razy w tygodniu.

Jastrząb głupio dostał kulę, żadna obława, żadna próba wyrwania się z żelaznego pierścienia zawodowców z UB. Atak na garnizon KBW w Siemieniu na początku stycznia 1947 roku, trafienie w brzuch, śmierć po kilku godzinach, ale za to własny grób.

Spektakularnie ginie Żelazny, dowodzący oddziałem aż do 1951 roku. Dom jego kuzyna, w którym był z trzema kolegami z lasu, okrążyły dwa bataliony uzbrojonych po zęby żołnierzy KBW i LWP. Żelazny połapał się przed ich atakiem, bo zobaczył w oknie poruszające się cienie. Wyprzedził uderzenie, kazał dużo strzelać, żeby ubecy myśleli, że mają liczniejszego przeciwnika. Biegnąc przed siebie, przedarł się przez pierwszy pierścień okrążenia i nagle stanął, trafiony w czoło przez zastępcę dyrektora Departamentu III MBP, pułkownika Stanisława Wolańskiego, który od dwóch lat poszukiwał „Żelaźniaka”. Znalazł. Tamtej nocy Edward Taraszkiewicz wybiegł wprost na jego samochód.

*

„No, to jest siostra Jastrzębia, więc wsadźcie ją na tył i skujcie”, słyszy Rozalia Taraszkiewicz, zatrzymana przez patrol UB 11 listopada 1946 roku. Trafia od razu przed oblicze Teodora Dudy, szefa Departamentu Więziennictwa i Obozów. Przez wiele lat nie będzie świadoma, że rozmawiała ze zbrodniarzem odpowiedzialnym za stworzenie sieci polskich obozów, w tym krzesimowskiego, który Rozalia Taraszkiewicz dwukrotnie w swoich wspomnieniach nazwie „obozem zagłady”.

Będzie krótko, pytanie i odpowiedź.

- Gdzie Jastrząb ma magazyny z bronią?
- Jastrząb magazynów z bronią nie ma, ma to, co zdobędzie.
- Gdzie twoja matka mieszka i mały brat?

- Wszędzie, gdzie się da.
- Dlaczego Jastrząb poszedł do lasu?
- O to pan spyta Pajączkowskiego, który nie dał mu po wojnie spokojnie pracować.
- Żebyś nam pomogła zlikwidować bandę Jastrzębia, nie jego osobiście, tobyśmy cię puścili.
- Ja nie należę do żadnej organizacji, a dwa, nie mam żadnej wiedzy, bo Jastrząb mnie nie naraża.
- To wiesz co, my już sobie faktycznie sami poradzimy.

*

Sąd wojskowy skazał Rozalię Taraszkiewicz na pięć lat pozbawienia wolności. W więzieniu spędziła niecałe trzy lata.

Dzisiaj

Dla Gluzy notatka Bartoszewskiego była dużym rozczarowaniem. Kiedy ją przeczytał, zrozumiał, że profesor Bartoszewski ma takie samo zdanie na ten temat jak inni – patrzy przez pryzmat bieżącej polityki międzynarodowej, a nie prawdy historycznej. W języku dyplomacji to, co napisał Bartoszewski, oznaczało: „odłożmy sprawę na później”. Było ogólne, bez słowa o naszych obozach dla Niemców, gdzie zamęczono sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Tak o tym myśli dzisiaj Zbigniew Gluza.

Po kilku miesiącach wrócili do rozmowy. Bartoszewski powiedział: „Wie pan, no naturalnie z moralnego punktu widzenia należałoby ujawnić, tak jak pisałem w notatce, ale za rok są w Niemczech wybory parlamentarne i ktoś mógłby wykorzystać nasz gest dobrej woli do celów politycznych”.

Gluza odpowiedział, że nigdy nie będzie dobrego momentu, jeśli nie spojrzy się na sprawę z innej perspektywy niż polityczna bieżączka.

W końcu profesor powiedział wprost: „Proszę pana, ja na to pieniędzy nie dam”.

*

Trzy lata później minister kultury i dziedzictwa narodowego powiedział, że to, co się wydarzyło siedemdziesiąt lat temu, odbiera Niemcom prawo do wypowiedania się na temat Polski jeszcze przez wiele pokoleń. Odpowiedzieli mu użytkownicy Facebooka.

Użytkownik 1: Bóg dał Niemcom szwargoczący język i szwarccharaktery.

Użytkownik 2: Na wchód od niemiec niemiec znaczy ZBRODNIARZ.

Użytkownik 3: Żaden yebaniec nazistowski nie będzie nam wymachiwał paluszkami. Ścierwa WON!

Użytkownik 4: Myślę że Niemcy stracili okazję by siedzieć cicho.

Użytkownik 5: Niemcy nas mordowali a my teraz im liżemy duuuupę.

Użytkownik 6, Krystyna Pawłowicz: NIEMCY! Zanim obejmiecie Polskę „za karę” swymi sankcjami gospodarczymi, za to, że przepędziliśmy w wyborach reprezentantów WASZYCH interesów w NASZEJ ojczyźnie, SPŁAĆCIE najpierw swoje historyczne rachunki wobec Polski.

(...)

Zbigniew Gluza milczy, kiedy czytam mu te opinie. Zgadza się, że resentymenty są płyciutko, tuż pod powierzchnią. Nosi je w sobie już trzecie pokolenie. Kiedy walczył o przekazanie Niemcom archiwum, bywało, że odpowiadano mu wprost: „Zbyszek, co ty mówisz, ujawnienie jest niebezpieczne, bo naruszy chwiejną równowagę między społeczeństwami”.

No ale wygląda na to, że ona jest bardziej chwiejna, niż się wówczas wszystkim wydawało.

==LHqTCVLIASGaw9PeUByRXRUPELxRINGZFAQZANfAy1dMQ==

ANTIFA

Czyli punkt widzenia
Heinza Grischke



– Niech pan idzie po dokumentach, dowie się pan niewygodnej prawdy o powojennych obozach w Warszawie.

– To ile ich było?

– Źle pan stawia pytanie. Było kilka, ale kluczowe jest: gdzie postanowiono zorganizować centralny obóz pracy. Nigdy by pan nie zgadł.

– Bo warszawiacy słyszeli tę nazwę wielokrotnie?

– Co najmniej raz.

*

Z dniem 1 czerwca 1945 r. ogłasza się stworzony – w wykonaniu uchwały Krajowej Rady Narodowej – obóz pracy na terenie Warszawy – jako otwarty „Centralny Obóz Pracy w Warszawie”, a mający na celu odbudowę stolicy. (...) Kierownik działu personalnego winien w ciągu dni 3 przeprowadzić formalności związane z przeniesieniem części personelu z więzienia mokotowskiego do Centralnego Obozu Pracy. (...) Do czasu ustanowienia Naczelnika Centralnego Obozu Pracy w Warszawie upoważnia się inspektora por. Aleksandra Trzcinkę do podpisywania w imieniu obozu (...)

**2 czerwca 1945 roku, Rozkaz nr 41
dyrektora (...) Teodora Dudy o utworzeniu
Centralnego Obozu Pracy w Warszawie**

Archiwum Akt Nowych

MBP, 10/3, s. 201

*

– Mogę napisać, z kim rozmawiam?

– Może później. Obóz w Warszawie działał do 1949 roku, później go zdemontowano deska po desce i dzisiaj prawie nikt nie wie, że stał niemal w samym centrum miasta. Wspomniany Aleksander Trzcinka był pełniącym obowiązki komendanta do 1947 roku, kiedy wybrano na komendanta porucznika Stanisława Soińskiego, a później Stanisława Nowaka. W Warszawie jednak nie męczono ludzi, ten Nowak jest ciekawy z innych powodów. Niemcy z warszawskich obozów naprawdę mieli pomagać w odbudowie stolicy. To byli głównie jeńcy z Wehrmachtu, uwięzieni wcześniej w kotłach podczas sowieckiej operacji nadodrzańskiej. Niedobitki po Grupie Armii „Środek” Walthera Modela.

Odgruzowywali więc miasto spalone na popiół przez swoich kolegów.

– Powiedział pan, panie profesorze, że w mieście było dla nich kilka obozów, nie tylko Centralny Obóz Pracy.

– Wszystko jest w archiwach. Proszę czytać po kolei.

*

Obóz Warszawa-Agrykola, działał od 1946 do 1948 roku (...). Jeńcy pracujący na potrzeby Kancelarii Cywilnej prezydenta, np. przy pracach porządkowych w parku Łazienkowskim oraz okolicach Belwederu.

Obóz Warszawa-Górnoślaska, 1946–1949, początkowo bezpośrednio podlegał Przedsiębiorstwu Budowlanemu MBP przy Górnośląskiej 2/4. Latem 1948 roku stał się podobozem COP Warszawa.

Obóz Warszawa-Boernerowo, 1946–1949, podlegał bezpośrednio Ministerstwu Obrony Narodowej.

Obóz Warszawa-Koszykowa, 1946–1947, obóz jeniecki Departamentu Kwaterunkowo-Eksploatacyjnego MON.

Obóz Warszawa-Okęcie, 1945, jeniecki obóz pracy na Lotnisku Okęcie, w strukturach MBP.

Obóz Warszawa-Pole Mokotowskie, 1946–1949, obóz pracy Warszawa 22 przy Filtrowej 57; na jego bazie utworzono 1 (niemiecki) Batalion Budowlany.

Obóz Warszawa-Narbutta, 1946–1948, obóz jeniecki w strukturach MBP.

Obóz Warszawa-Podchorążych, 1945–1948, obóz podległy KBW, lokalizacja: Podchorążych 13, obóz podległy Samodzielnemu Pułkowi Ochrony Rządu (JW 2179).

Obóz Warszawa-Rakowiecka, 1948, obóz pracy „komando”, podległy Kierownictwu Budowy Domów Departamentu Więziennictwa MBP.

Obóz Warszawa-Służewiec, 1946–1950, od 1948 działa samorząd jeniecki.

Obóz Warszawa-WKS „Legia”, 1947–1948, Myśliwiecka 4.

Obóz Warszawa-Puławska, 1946–1948, podobóz Centralnego Obozu Pracy Warszawa.

*

– A gdzie znajdował się główny Centralny Obóz Pracy?

– Po kolei, dojdzie pan i do niego, kartkując to, co jest w Archiwum Akt Nowych. Coś pana dziwi?

– Obóz na Okęciu.

– Bo?

– Jeńców niemieckich wykorzystywano do noszenia bagaży podróżnych?

– Przeciwnie. Wśród schwytanych jeńców byli wojskowi nie tylko z Wehrmachtu, ale także z Luftwaffe, pomagali serwisować sfatygowane samoloty, którymi dygnitarze PKWN latali w tę i w tę do Moskwy. Komuniści szybko się połapali, że może się to skończyć sabotażem, i przydzielali ich do innych obozów. Ale zwlekano z tym, bo nie było fachowców poza Niemcami. Nasi najlepsi lotnicy byli na Wyspach i we Francji, potem tych, których wracali, nie kierowano, by zastąpili Niemców, tylko strzelano im w tył głowy jako zdrajcom ojczyzny. Natomiast kilka lat wcześniej, kiedy tam, pod Berlinem, niedobitki Luftwaffe wykrwawiały się w beznadziejnej walce ze szturmowikami, tutaj niemieccy mechanicy i lotnicy naprawiali dla stalinowskiego rządu samoloty, żeby nowi szefowie mogli latać i ustalać detale jałtańskiego porządku. Ani jeden się nie zepsuł. Porządna robota. Coś jeszcze pana dziwi?

– Obóz na ulicy Podchorążych, dla ówczesnego BOR-u.

– Nie, nie, bez przesady. Jeńcy z Wehrmachtu nie byli ochroniarzami Minca, Fejgina czy Bieruta. Samodzielny Pułk Ochrony Rządu to była elita intelektualna UB, jeśli w ogóle można użyć takiego sformułowania. No ale założmy, że stwierdzenie „niegłupi ubek” nie jest oksymoronem, tylko oznacza właśnie ludzi skierowanych do ochrony Bieruta. Oni mieli baczenie obserwować tych jeńców. Niemcy mieli im zmieniać olej w Citroënach avantach, czyścić buty i prasować mundury. A jeśli jakiś jeńiec zachował się nieodpowiednio, to się z nim nie patyczkowano. Ale fakt, Polacy musieli czuć się bardzo pewnie, bo nie widzieli problemu w tym, że frontowi żołnierze wroga chodzą swobodnie po uzbrojonej jednostce.

– Obóz pracy „komando” na Rakowieckiej...

– Budowali domy dla UB i ludowego wojska w ramach GAM [Garnizonowej Administracji Mieszkań], z Wydziału Więziennictwa. Przecież to jest napisane w tym, co pan cytuję. Ponadto nie mieli nic wspólnego z więzieniem na Mokotowie. Nie siedzieli za kierownicami ciężarówek wywożących zwłoki do dołów na powązkowskiej „Łączce”.

– Gdzie odbudowywali?

– Wokół „getta dla Niemców”. Okolice placu Unii Lubelskiej były nietknięte, bo tam w czasie wojny mieszkała administracja nazistowska. I tam właśnie wprowadzili się później dygnitarze z UB. Komando budowało dla tych niższych rangą, dla których nie wystarczyło przedwojennych mieszkań. Głównie w okolicach ulicy Puławskiej. Budowali także więzienia i obozy, bo wszystkie wymienione przez pana warszawskie obozy, z wyjątkiem Centralnego Obozu Pracy, były nową, polską infrastrukturą. To je wyróżniało na tle całego kraju.

– Ilu łącznie Niemców zamkniętych w obozach odbudowywało Warszawę?

– Około dziesięciu tysięcy. Przez pięć lat. Wspomniałem, że porucznik Nowak był ciekawym człowiekiem.

– Ostatni komendant Centralnego Obozu Pracy.

– Pod jego nadzorem w 1947 roku powstał samorząd jeniecki. To była grupa antyfaszystów z Wehrmachtu, którzy w COP Warszawa utworzyli w 1947 roku Blok Antyfaszystowski działający przy samorządzie jenieckim, który, z racji lokalizacji obozu w stolicy, nazwał się „samorządem niemieckich jeńców wojennych w Polsce”.

– Jakie miał uprawnienia?

– Przede wszystkim miał obowiązki. Antifa to było kilkaset osób, głównie ochotników. Ich zadaniem była indoktrynacja współwięźniów. Pogadanki, prywatne rozmowy, dyskusje panelowe w świetlicy o tym, jak bardzo się mylili co do Hitlera, ale jak skutecznie mogą teraz zmazać swe winy, jeśli zaufają Stalinowi i reprezentowanemu przez niego w Polsce Bierutowi. Mogli liczyć na wcześniejsze zwolnienie. Mieli szczęście, naprawdę wracali do domu szybciej niż inni. Gdyby dostali się do sowieckiej niewoli kilkaset kilometrów wcześniej, dajmy na to podczas operacji „Bagration”, podczas walk na Białorusi, trafiliby na Syberię, skąd w latach pięćdziesiątych powróciło do RFN kilka procent wziętych do niewoli.

– Gdzie był w Warszawie główny obóz?

– Akta...

*

W związku z uruchomieniem więzienia centralnego w Mokotowie i Centralnego Obozu Pracy w Warszawie na terenach b. getta przed Departamentem Więziennictwa i Obozów stanęły następujące zadania (...) Zabezpieczyć ochronę zewnętrzną więzienia w Mokotowie i ochronę obozu w Warszawie.

15 czerwca 1945 roku, wyjaśnienia

dyrektora Departamentu

Więziennictwa Teodora Dudy

Archiwum Akt Nowych, MBP, 4/162, s. 181

*

Budowa obozu na terenie ul. Gęsiej; wykonano: 1) barak drewniany 12,5 × 34; 2) fundamenty z gruzobetonu pod drugi barak; 3) rozbijanie fundamentów pod duży barak (68 × 22); 4) doprowadzono dopływ wody z sieci miejskiej; 5) segregacja materiałów przybyłych baraków; 6) opracowanie przez firmę „Inż. Preobrażeński” ogólnego planu obozu, projektów baraków gruzobetonowych, opracowanie orientacyjnych kosztorysów i zestawień materiałowych (...).

3 lipca 1946 roku, sprawozdanie z pracy

Wydziału Techniczno-Budowlanego
Departamentu Więziennictwa i Obozów
MBP za II i III dekadę czerwca 1946 roku
Archiwum Akt Nowych, MBP, 3/89, s. 104

*

– COP Warszawa mieścił się na terenie Gęsiówki? W więzieniu wyzwolonym w czasie powstania?

– Batalion „Zośka”, piąty sierpnia, brawurowa akcja, każdy zna.

– Więc tam?!

– Gęsiówka była tylko budynkiem zewnętrznym niemieckiego, nazistowskiego obozu koncentracyjnego KL Warschau. Przed wojną budynki te należały do koszar artylerii konnej. Konzentrationslager Warschau jest dziś całkowicie zapomniany, ale ocalał, przetrwał powstanie, i świetnie nadawał się na obóz w strukturach MBP. COP Warszawa funkcjonował w kwietniu i maju 1945 roku oraz od listopada 1945 aż do 1949 roku. Polacy nazywali go także Centralnym Obozem Pracy dla Odbudowy Warszawy; potocznie mówiono: obóz pracy Gęsia lub obóz pracy Ghetto. Mieścił się na Anielewicza 26, zamknięty pomiędzy dzisiejszymi Miłą, Zamenhofs i Jana Pawła II. Dokładnie tam, gdzie teraz znajduje się Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. W czasie wojny KL Warschau był obozem przede wszystkim dla Żydów. Został utworzony w 1943 roku w celu „posprzątania po powstaniu w getcie”. Przywieziono do niego więźniów żydowskich z Auschwitz, którzy nie mówili po polsku. Chodziło o to, by nie mogli się porozumiewać z ludnością pozostałą w mieście po likwidacji getta. Sortowali gruz, wyburzali do końca teren getta, przeszukawszy wcześniej dokładnie każdy dom, podwórko i rumowisko w poszukiwaniu wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Potem część z nich Niemcy zamordowali w tutejszym obozie, a część odwieźli z powrotem do Auschwitz. Obóz zamknięto po upadku powstania warszawskiego, kiedy zapadła decyzja o ewakuacji wszystkich mieszkańców stolicy.

– Ze sprawozdania technicznego z lipca 1946 roku dowiadujemy się o wznoszeniu kolejnych baraków na potrzeby polskiego obozu.

– Bo KL Warschau był częściowo zburzony, ale w niewielkim stopniu. Po szybkiej odbudowie był on, w latach swojego funkcjonowania w ramach MBP, jednym z największych obozów jenieckich w Europie. Później, po zamknięciu COP Warszawa, obóz przeszedł na siedem lat w ręce Romana Zambrowskiego i jego Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. Po 1956 roku stał pusty. Aż do 1963 roku, kiedy podjęto decyzję o jego rozebraniu i zatartiu wszelkich śladów. Zapewne decydował sam Gomułka.

– Jak „zacierano wszelkie ślady”?

– Przede wszystkim zbudowano na tym terenie budynki mieszkalne, zmieniono całkowicie architekturę krajobrazu, powstał park.

– Dlaczego nie ma tam żadnej tablicy upamiętniającej ludzi pomordowanych w KL Warschau przez Niemców?

– Nie mam pojęcia. Bo tę funkcję spełnia Pawiak, który przylegał do obozu? Nie wiadomo także, gdzie podzieli się zmarli w COP Warszawa jeńcy niemieccy. Zapewne umierali z powodu chorób i, mimo wszystko, niedożywienia.

– Gdzie, pana zdaniem, oni teraz są?

– Domyślam się, że pod podwórkami gdzieś pomiędzy Anielewicza, Miłą, Okopową i Jana Pawła. Fakt istnienia KL Warschau nie był aż taką tajemnicą. W 2009 roku „Życie Warszawy” napisało, że inwestycja POLIN może napotkać pewne trudności ze względu na były niemiecki obóz koncentracyjny. Przestrzegano przed możliwością wykopania szczątków ludzkich. Nikt jednak na nie jeszcze nie trafił.

*

(...) Wśród ruin dawnego Getta przy ul. Gęsiej, dziś nazywanej imieniem bohaterskiego przywódcy powstania żydowskiego, M. Anielewicza, wysoki mur odgradza nas od obozu pracy. W tym obozie mieszkają jeńcy wojenni (...), którzy służyli w wojsku niemieckim. (...) W obozie jest w tej chwili około 1500 więźniów. Wszyscy prawie – oprócz niedołączonych – pracują. Mają tu warsztaty: stolarski, ślusarski, krawiecki, szewski, elektroniczny, hydrauliczny i inne. Wychodzą stąd porządne meble dla naszych urzędów, solidnie uszyte garnitury na zamówienie instytucji wojskowych i cywilnych, materiały budowlane dla odbudowy Warszawy. Niemcy odbudowują zniszczoną przez nich Warszawę. Oszczędza to państwu miliardy złotych, gdyż wszystko tu prawie oprócz cegły, części drewnianych, elektrotechnicznych – stanowi pracę więźniów. W południe tragarze dźwigają na miejsce pracy olbrzymie kotły z zupą. O zmierzchu jeńcy wracają z roboty. (...) 1 maja 1947 z inicjatywy jeńca Heinza Grischke, członka niemieckiej partii komunistycznej, powstał na terenie obozu oddział Bloku Antyfaszystowskiego. W ramach tego bloku odbywa się szkolenie wychowawczo-polityczne jeńców.

Archiwum Akt Nowych,

MBP, 4/331, s. 38

*

– To wewnętrzny dokument MBP?

– Tak.

– Brzmi jak artykuł prasowy: „Jeńcy wracają z roboty”.

– Bo politycy byli wypełnieni tego rodzaju narracją, otaczała ich zewsząd. Dodatkowo dochodził *pluralis maiestatis*: „my, towarzyszu”, „wy, towarzyszu”, i efekt jest taki, że wewnętrzny dokument wygląda jak artykuł z „Trybuny Ludu”.

– Wróćmy do Antify. Kto to był Heinz Grischke?

– Chciał być warszawskim Paulusem. Zna pan historię dowódcy niemieckiego ze Stalingradu? Najpierw jego Szósta Armia parła na wschód, miażdżąc pod gąsienicami wszystko, co napotkała na swojej drodze, a generał Friedrich Paulus był zagorzałym nazistą i pupilem Hitlera. Później dał się zamknąć w stalingradzkim kotle i na kilka chwil przed kapitulacją otrzymał od Hitlera awans na feldmarszałka. To był jasny sygnał: miał popełnić samobójstwo, żaden niemiecki marszałek polowy nie dał się nigdy wziąć do niewoli. Jednak Paulus miał inne plany – nie dość, że osobiście, tak jak chcieli Sowieci, podpisał przed kamerami akt kapitulacji Szóstej Armii, to jeszcze w niewoli przekonał czerwonarmistów, że mu się z tym nazizmem pomyliło i tak naprawdę jest zagorzałym komunistą. Oni doceniali konformizm. Po wojnie Paulus, jako VIP, ze wszystkimi honorami przeprowadził się do NRD, gdzie wiódł spokojne, dostatnie życie jako członek partii komunistycznej, aż do śmierci w 1957 roku. W willi pod Dreznem.

– A Grischke?

– Założył Blok Antyfaszystowski i dowodził nim, współtworzył samorząd jeńców COP Warszawa, powołał do istnienia wewnętrzne sądy, wszystko w porozumieniu z naczelnikiem Nowakiem. Grischke był prawdziwym królem szczurów warszawskiego obozu dla Niemców. Oraz indoktrynerem.

*

W połowie czerwca zacząłem wygłaszać w poszczególnych barakach odczyty polityczne. W każdej sali umieściłem wypróbowanego marksistę, którego zadaniem jest udzielanie jeńcom opieki moralnej, wskazówek i wyjaśnień politycznych oraz stworzenie grup dyskusyjnych. Na czele tych grup stoi przodownik, zbierający pisemne sprawozdania poszczególnych kandydatów do wstąpienia do czynnej akcji w Bloku. W lipcu rozpocząłem systematyczne szkolenie polityczne jeńców młodocianych. Wykłady te odbywały się dwa razy tygodniowo. Prowadziłem także specjalny kurs dla starszych marksistów, przyszlých funkcjonariuszów politycznych i partyjnych. Opracowaliśmy następujące tematy: *Manifest komunistyczny, Powstania i przyczyny wojen, Zakulisowe przyczyny podziału Niemiec, Obowiązek odszkodowań wojennych (Kwestia winy i odpowiedzialności narodu niemieckiego), Terror hitlerowski 1933–1945 (...)*. W dniu 22 XII 1947 naczelnik obozu doręczył nam sztandar – symbol Bloku Antyfaszystowskiego. Został on ustawiony w świetlicy (...). Uzyskałem dla marksistów od ob.

Naczelnika pewne przywileje, które ułatwiły moją pracę i co uznać należy za wielki plus.

**10 marca 1948 roku, Sprawozdanie
funkcjonariusza samorządu jenieckiego
Heinza Grischke z działalności
politycznej Bloku Antyfaszystowskiego
(„Antifa”) w OP Warszawa**

Archiwum Akt Nowych,
MBP, 4/331, s. 34–35

*

– On to pisał po niemiecku?

– On to po niemiecku dyktował. Na stojąco, w pomieszczeniu, w którym byli jeszcze tłumacz i maszynista. Czuć styl tępego uboła. To spisano na terenie obozu KL Warschau.

– „Systematyczne szkolenie jeńców młodocianych”. Chodzi o zbłąkanych żołnierzy z Hitlerjugend?

– Możliwe, ale raczej o Volkssturm, pospolite ruszenie dzieci i starców, rzucone przez Hitlera do walki w ostatniej fazie wojny.

– Grischke miał pewnie twardy orzech do zgryzienia, żeby przekonać kolegów do tego, że Hitler był zbrodniarzem, a naród niemiecki jest za to współodpowiedzialny.

– Niekoniecznie. Proszę pamiętać, że oni już byli indoktrynowani, teraz po prostu trzeba było na nowo zaorać i zasiać to pole. Im większy ugór, czyli skłonność do konformizmu i bezkrytycznego przyjmowania ideologii, tym lepiej. Co zwraca pana uwagę?

– Zaangażowanie Grischkego, jego neofityzm.

– Typowe nazistowskie zachowanie, dobre pole do zaorania nową ideologią. Na końcu wspomina, że „uzyskał pewne przywileje” i od razu nam się wydaje, że dlatego udawał konwersję. A może nie do końca udawał, może nowa ideologia trafiła po prostu na stare koleiny.

– Po co ta Antifa była Urzędowi Bezpieczeństwa?

– Żeby Niemcy za obietnicę wolności i lekkie życie kontrolowali się sami. Bardzo dobrze im to wychodziło.

*

(...) W obozie przy ulicy Gęskiej sytuacja i świadomość jeńców wojennych pozwalała na wybór samorządu i likwidacji części posterunków zewnętrznych uzbrojonych. W dniu pierwszego maja stwierdziłem, że milicja porządkowa wyłoniona spośród grupy antyfaszystowskiej w dostateczny

sposób pilnowała porządku, gwarantując bezpieczeństwo i uniemożliwiając ucieczki, o ile takowe były próbowane ze strony jeńców wojennych.

**4 maja 1949 roku, sprawozdanie naczelnika OP
w Warszawie Stanisława Nowaka**

Archiwum Akt Nowych, MBP, 4/331, s. 14

*

– Powołali milicję. UB osiągnęło to, czego chciało.

– W stu procentach. Posterunki i strażnicy polscy całkiem przestali być potrzebni pod koniec funkcjonowania obozu.

– Wokół miasto wracało do życia, można było nawiać i wtopić się w tłum, a oni woleli się wzajemnie pilnować?

– UB nie było takie głupie, doskonale wiedziano, że nikt z nowych warszawiaków nie pomógłby Niemcowi, nie mówiąc o możliwości ucieczki na Zachód. Pierwszą granicą była radziecka strefa okupacyjna, przyszłe NRD. No ale przede wszystkim Polska była wtedy krajem szczelnie zamkniętym. Poza obozem ci Niemcy byli po prostu skazani na śmierć. Czekając na lepsze czasy, świetnie się zorganizowali. Działał sąd koleżeński, ale przede wszystkim samorząd, który czuwał nad dyscypliną i kontrolował terminowe wykonanie planu robót oraz dbał o wydajność. Kierował także pracą polityczną wśród jeńców polegającą na nieustannej indoktrynacji w duchu marksistowskim. Tam mieli życie, poza drutem obozu, w ruinach miasta, nie.

*

Zgłosiło się dzisiaj kilku jeńców wojennych z komanda majątku Strzykuły i podają do wiadomości: „Przez znęcanie się nad nami i bicie jesteśmy zmuszeni następujące podać do wiadomości: Kilka razy już zwróciliśmy administracji naszej, wartownikom i cywilom uwagę na to, by zaniechali bicia, gdyż takowe jest zabronione. Pomimo tego wczoraj, w niedzielę, jeniec wojenny Walter Neumann bez powodu wyjątkowo pobity został. Jeniec Walter Neumann leżał w ogrodzie na trawie. Doszedł do niego cywil i bez słowa uderzył go czymś (podobne do pałki gumowej) przez czoło, tak że on krwią zalany biegł do kwatery do opatrunku. Wartownik, który za naszym uważaniem jest do naszego bezpieczeństwa, popiera jeszcze owe wypadki i często już osobiście bił. (...) Usłyszała to kobieta, która należy do naszego komanda i włada językiem polskim. Widzimy z tego, że tu nawet życia nie jesteśmy pewni, i prosimy o ściągnięcie do obozu lub zapewnić nam, by wypadki takie nie powtarzały się”. (...)

14 czerwca 1948 roku,

*

– „Zwróciliśmy uwagę, by zaniechali bicia”.

– Niemcy byli zdumieni tym, że UB nie pilnuje, aby cywile w majątku nie łamali zasad, które obowiązywały w obozie. W zamian za dyscyplinę, brak uciezek i niewolniczą pracę w majątku w Strzykułach, gdzie zapewne miał willę jakiś wysoko postawiony aparatczyk, obiecano im przyzwoite warunki i traktowanie. A tu ich ludzie ze wsi spontanicznie biją, bo komendant nie widzi. Nie tak się umawiali. Myślę, że to nie była gra, oni autentycznie szanowali każdą władzę, bo byli tego nauczeni, jak psy, pamięta pan odzywki Stroopa z książki Moczarskiego? Ten sam mechanizm.

– Nie rozumieli, dlaczego dostawali pałkami po głowach od cywilów?

– Nie rozumieli, bo działali regulaminowo, a bicie było dramatycznym tego regulaminu pogwałceniem. Z innych dokumentów wynika, że nie rozumieli także, dlaczego ten wybitny system, który sławią i o którym codziennie słyszą same superlatywy, nie potrafi sobie poradzić z zapewnieniem podstawowej aprowizacji. Ani im, zamkniętym w obozie, ani, jak się dowiadywali, nikomu w powojennej Warszawie. Nie było nawet przyzwoitych szczoteczek do zębów, a za okupacji na czarnym rynku, po stronie aryjskiej naturalnie, było dostępne w zasadzie wszystko.

Co się z nimi stało po zamknięciu obozu?

– COP Warszawa zlikwidowano w końcu 1949 roku, a jeńców wysiedlono do NRD.

– Ile odbudowali? Dom, osiedle, pół dzielnicy?

– Na pewno mieli wkład w Muranów i Wolę. Na początku pierwszego lub drugiego odcinka serialu *Dom* słyhać na ulicach język niemiecki. Niemcy zamiatają ulice, wytrząsają kubły na śmieci. Prawda była jednak taka, że nie mieszano ich z polskimi aktywistami odbudowującymi stolicę z zapalem, pieśnią na ustach i, trzeba przyznać, w rekordowo szybkim tempie. Na tym tle, na tle tysięcy Polaków ochotników, komando jeńców, byłych żołnierzy ocalałych z zagłady Wehrmachtu podczas operacji „Bagration”, kiedy to Rokossowski przekonał Stalina do uderzenia w pozornie najmocniejszy punkt niemieckich umocnień na Białorusi, słusznie przewidując, że Hitler skupi się na wzmocnieniu Południowej Grupy Armii, otóż kilka tysięcy weteranów wojennych mogło pomóc jedynie symbolicznie. Nie o symbole jednak chodziło. Dla funkcjonariuszy MBP, którzy wydawali pieniądze na utrzymanie obozu, miała być to pomoc jak najbardziej realna. Kłopot w tym, że władza, owszem, mogła

się otoczyć Niemcami jako pariasami prasującymi mundury i przecierającymi reflektory samochodów – ale trudniej było osiągnąć konkretne wyniki w budownictwie. A Duda i Radkiewicz liczyli, że COP Warszawa będzie pomocny podczas podnoszenia miasta z gruzów.

– Grischke złożył na koniec oświadczenie, w którym wyraził radość, że choć w małym stopniu pomógł w naprawianiu krzywd wyrządzonych przez swoich rodaków, nazistów. Powiedział, że po tym, jak widział ofiary swoich rodaków, jego noga nigdy już nie postanie w Niemczech Zachodnich.

– Ofiary, które widział? Na początku 1945 roku największym wyzwaniem dla warszawiaków był pochówek tysięcy zmarłych w czasie powstania warszawskiego, głównie przysypanych cywilów. Według zeznań świadków miasto było jedną wielką trupiarnią. Kiedy nadeszła odwilż, całą lewobrzeżną Warszawę objął odór nie do wytrzymania. To był wyścig z czasem, wszystkim zagrażały epidemie. Niemcy z COP zajęli się wydobywaniem zwłok z terenów nieodległych od obozu, a więc z dawnego getta; chodziło o to, by odbudowa Muranowa i Woli odbyła się na gruzach, bo Niemcy wypalający Warszawę po powstaniu nie zostawili tam ani jednej całej cegły, która mogłaby się przydać gdzie indziej. Moc symboliki Niemca pomagającego chować pomordowanych dwa lata wcześniej Żydów w ogóle do komunistów nie przemawiała. Nie myślano w taki sposób. I nie nagłaśniano tego. A pomijając podatność na indoktrynację i konformizm, może słowa Grischkego nie były wcale całkowicie nieszczerze, myślał pan o tym w ten sposób? Bo czy człowiek po czterech latach ciężkiej pracy nie ma prawa czuć, że coś po sobie pozostawił?

– Miał się pan na końcu przedstawić.

– Chyba pan żartuje. To jest temat, który parzy w ręce, zwłaszcza teraz, kiedy władza gra na fobii antyniemieckiej, zamiast z nią walczyć. A ja, widzi pan, jestem związany z uczelnią wyższą, na którą nowy rząd ma szczególne baczenie.

Dzisiaj

W czerwcu 1998 roku Ewa Będkowska zostaje uznana za winną usunięcia dokumentów, którymi nie miała prawa rozporządzać. Sąd skazuje ją na dotkliwą grzywnę i pokrycie kosztów procesu.

Zdaniem profesora prawa Witolda Kuleszy, współtwórcy ustawy o IPN, byłego dyrektora Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, zapadł niesprawiedliwy wyrok. W opinii profesora musi jeszcze zaistnieć zła wola. Sprawczyni natomiast działała w przekonaniu, że ratuje akta przed zniszczeniem. „Odpowiedzialność karna byłaby więc niewspółmierna do zamiarów i rzeczywistej sytuacji. Trudno bowiem dopatrzeć się w tym przypadku szkodliwości. Skoro zadaniem archiwum jest ochrona dokumentów, a oskarżona działała właśnie z takich pobudek, prokuratura pominęła bardzo istotną przesłankę. Znikoma szkodliwość czynu i usprawiedliwiona nieświadomość tego, że jest on niezgodny z prawem, w tym przypadku działa moim zdaniem na korzyść sprawcy, a doprowadzenie do procesu to przejaw nadmiernego instynktu oskarżycielskiego”, powiedział wówczas profesor Kulesza.

Matka Ewy Będkowskiej prosiła, żeby nie dzwonić, nie pytać, do sprawy nie wracać, bo córka miała wielkie kłopoty w pracy i z prasą rozmawiać nie będzie. Zwłaszcza w takich czasach jak dzisiejsze. Trzeba uważać. Służby nie śpią.

Po odebraniu Niemieckiej Wspólnocie Pojednanie i Przyszłość znalezionych przez Ewę Będkowską dokumentów UOP przekazał je katowickiemu oddziałowi Archiwum Państwowego. Po dwóch tygodniach pracownicy Wspólnoty dowiedzieli się, że państwowi archiwiści ustalili wielkość kartoteki na 10 613 nazwisk zamęczonych Niemców i Ślązaków. Przedstawiciele stowarzyszenia, Izabela Pischka i Dietmar Brehmer, twierdzą, że zanim zorganizowali konferencję, policzyli akta wraz z innymi pracownikami. Dokumentów było o ponad trzy tysiące więcej. „Dlaczego i gdzie zniknęły?”, pytają pracownicy archiwum.

Brehmer miał własną teorię, przy której się nie upierał. Powiedział, że możliwe jest, iż służby specjalne PRL korzystały z personaliów zmarłych w kopalniach Niemców, by tworzyć tożsamości agentów operujących na terenie RFN.

Zbigniew Nowak, wówczas rzecznik katowickiej delegatury UOP, nie zaprzeczył tej teorii.

– Znając życie dawne i współczesne, nie byłoby nic dziwnego w wykorzystaniu tego typu informacji w taki właśnie sposób. Służby potrafią wszystko, jeśli chcą – mówi doktor Andrzej Biernat, pełniący obowiązki naczelnego dyrektora Archiwów Państwowych. – Żeby była jasność, nic mi nie wiadomo na temat zniknięcia tych trzech tysięcy. To są wielkie liczby: zarówno trzynaście, jak i dziesięć

tysięcy. Nie da się tego znaleźć przeliczyć ot tak, na szybko. Z tego, co pamiętam, sprawa z przejściem dokumentów przez UOP rozgrywała się w ciągu kilku dni. Byłem już wtedy w Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych.

W latach siedemdziesiątych Departament I MSW faktycznie nadawał tożsamość tak zwanym wtórnikom. Były to osierocone niemieckie dzieci oraz młodzi mężczyźni, którzy nigdy nie wrócili do swojego kraju po wojnie. Teraz mieli z ich tożsamością „wracać” szpiedzy PRL. Najbardziej spektakularna jest historia polskiego porucznika wywiadu Jerzego K., który przyjął tożsamość Heinza Arnolda. Zachodniemiecka rodzina zaginionego w czasie wojny, namierzona wcześniej przez Stasi, przyjęła agenta z otwartymi ramionami. Jerzy K. przez kilkanaście lat żył w Bremie i pracował w siedzibie kontrwywiadu RFN, informując o metodach jego działania wobec przesiedleńców z Polski. Pracował, żeby na terenie Niemiec znalazło się jak najwięcej takich jak on. Niemcy zdemaskowali go w 1985 roku, odnajdując prawdziwego Arnolda mieszkającego w Lęborku. Kartoteka ze skrzyń Unry mogłaby się wpisywać w metodę działań wywiadu wojskowego PRL.

Były pracownik służb: „Wybaczy pan czarny humor. Nawet Kiszczak nie byłby w stanie tego potwierdzić”.

==LUDQTEVLIASIAm9PqUByRKRUPPLRINOZFAOZARAVIUMQ==

JAWORZNO

Czyli surowa lekcja
Antona Makarenki



...POLAKÓW, UKRAJNCÓW, NIEMCÓW
I INNYCH OBYWATELI I DEUTSCHEN,
JAKO ŻYWIENIOWYCH OFIAR
KOMUNISTYCZNEGO TERRORU
DURCH DEN JAHREN 1945-1956
IM ZENTRALARBEITSLAGER
IM ÖFFENTLICHKEITSSCHUTZMINISTERIUM IN JAWORZNO
GEFANGENGEHALTEN UND GETÖTET WURDEN
UND GESTORBEN SIND.
ALS ZEICHEN DER VERURTEILUNG - NACHWEIS.

PAMIĘCI POLAKÓW, UKRAJNCÓW, NIEMCÓW
I WSZYSTKICH, KTÓRZY CIERPIELI TU NIEMILNIE
JAKO OFIARY TERRORU KOMUNISTYCZNEGO,
WIEZIONYCH, ZAMORDOWANYCH, ZMARŁYCH
W LATACH 1945-1956
W CENTRALNYM OBOZIE PRACY
MINISTERWA BEZPIECZYSTWA PUBLICZNEGO
W JAWORZNE
W HOR DZIE POTOMNI

...POLAKÓW, UKRAJNCÓW, NIEMCÓW
I INNYCH OBYWATELI I DEUTSCHEN,
JAKO ŻYWIENIOWYCH OFIAR
KOMUNISTYCZNEGO TERRORU
DURCH DEN JAHREN 1945-1956
IM ZENTRALARBEITSLAGER
IM ÖFFENTLICHKEITSSCHUTZMINISTERIUM IN JAWORZNO
GEFANGENGEHALTEN UND GETÖTET WURDEN
UND GESTORBEN SIND.
ALS ZEICHEN DER VERURTEILUNG - NACHWEIS.

Teren Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie to dziś osiedle Stałe, dla tych, którym nie brakuje pieniędzy. Z jednej strony zamyka je droga szybkiego ruchu Kraków–Katowice, z drugiej park. Dwie tablice pamięci – jedna przy szosie, postawiona w latach sześćdziesiątych: ofiarom hitlerowskiego terroru. Druga głębiej, już na terenie byłego obozu: „Wolność można odzyskać, młodości nigdy”. Bo najpierw był tu obóz niemiecki, potem COP, a później polscy komuniści przeprowadzili na Stałym eksperyment, który miał zmieniać ludzkie dusze.

*

Nie ma złej młodzieży, są tylko źli wychowawcy. Tak powiedział Anton Makarenko i towarzysz Radkiewicz wierzył w te słowa w stu procentach, bez zastrzeżeń. Makarenko to twórca słynnego systemu pedagogicznego w ZSRR. Wedle jego założeń każdego można nawrócić na nową komunistyczną wiarę, jeśli tylko odpowiednio wcześnie zacznie się obróbkę. Można podbić umysł człowieka do tego stopnia, że nawet prowadzony na śmierć będzie kochał wielkiego wodza, socjalistyczną ojczyznę i stąpających za nim krok w krok podoficerów z mauzerami w dłoniach. To nie bohaterowie Orwella, to Makarenko jako pierwszy uważał, że nawet najbardziej zaniedbany moralnie i społecznie człowiek może ulec przeobrażeniu. Wizja była realistyczna, tytuł tezy Makarenki na temat budowy nowego człowieka to jednak „Hipoteza optymistyczna”.

Człowieka, który ma zostać przeobrażony, należy odizolować od szkodliwych zewnętrznych wzorców. Trzeba go włączyć w kolektyw, w którym jednostki będą się indoktrynowały poprzez wzajemne oddziaływanie. Połączenie wysokich wymagań kadry wobec przemienianych z wzajemnym zaufaniem i szacunkiem spowoduje wytworzenie więzi społecznych opartych na przekazywanej teorii komunistycznej.

Należy indoktrynować, inwigilować i na każdym kroku oddziaływać na jednostkę, nie dając jej chwili wytchnienia. Kolektyw przeobrażanych w nowych ludzi można nawet do pewnego stopnia oprzeć na wzorcach wojskowych. To jednoczy. Daje wspólnotę, bractwo. Do tego, by powstał nowy człowiek, niezbędne jest miejsce, w którym stworzy się niezbyt uciążliwe warunki bytowania.

Stanisław Radkiewicz i Teodor Duda, główni zbrodniarze odpowiedzialni za stworzenie w powojennej Polsce obozów, uznali, że nowy polski człowiek będzie powstawał od wiosny 1951 roku w Jaworznie. Do tej śląskiej miejscowości mieli trafiać nastolatki ukarani za działalność wywrotową. To na nich zamierzano wypróbować nowy system odbiegający od zbrodniczych reguł zwyczajnego ubeckiego więzienia. Idea Makarenki miała unosić się nad kolektywem młodzieżowym połączonym

zaufaniem i swobodą, wspólnymi zajęciami plastycznymi, dyskusjami i seansami filmowymi.

„To ważne – podkreślał w prasie Kazimierz Koźniewski, publicysta i zapalony zwolennik pomysłu – żeby nieustannie politycznie, moralnie i historycznie rozmawiać z młodzieżą. Prawie bez przerwy”.

Potem dodał, że chodzi o to, by myśl mogła odbiec tylko do spraw technicznych, związanych z codzienną pracą.

„To jest kwestia zapanowania nad myślą, zdominowania myśli, wejścia w myśl” – powiedział.

*

– Progresywne, eksperymentalne więzienie dla młodocianych, tak się nazywał ten obóz – mówi Bogdan Pyka, przewodniczący stowarzyszenia Jaworzniacy. – Tam nas mieli przerobić na miazgę, z której będzie można ulepić wzorcowego donosiciela, bez reszty oddanego sprawie socjalistycznej.

Wcześniej było tak.

Przyszli po mnie 18 września 1948 roku. Wtedy w Jaworznie nie było jeszcze więzienia dla młodocianych. Ktoś doniósł, że moja organizacja, złożona z kilku nastolatków, ma rozklejać ulotki na śląskich płotach. To w ogóle nasza pierwsza akcja miała być. Bardzo ładną, długą nazwę mieliśmy: Polska Tajna Armia Wyzwoleńczo-Demokratyczna. Sąd wojskowy w Katowicach przybił mi sześć lat więzienia za usiłowanie obalenia legalnie wybranego rządu i próbę zagarnięcia władzy.

Najpierw rok we Wronkach. Spanie na betonie, jedzenie wodnistej zupy z dziurawych misek. Później Centralny Obóz Pracy w Potulicach, gdzie w większości trzymano niemieckich cywilów. Miałem nawet pryczę. Po pewnym czasie zbiórka, ustawiać się. Załadowali nas do wagonów z klatkami, jakby dla jednego większego zwierzęcia, świni albo owcy, tak pospawane były. Cztery osoby na stojąco tam wsadzali. Ścisk. Ktoś to przemyślał. Dużo upchać, możliwość ucieczki sparaliżować. I przez całą Polskę, ponad doba na baczność, na Śląsk, do Jaworzna. Wysadzili nas na wolnych torach i zagnali do obozu. Baraki akurat likwidowali, demontaż trwał, stukot młotków, pokrzykiwania. Część już była całkowicie rozebrana. No i te bloki betonowe dla nas wznoszono. Był 1951 rok.

*

Kiedy Pyka idzie wraz z innymi wzdłuż drutów pod napięciem, widzi demontaż infrastruktury hitlerowskiego podobozu SS-Lager Dachsrube, zamienionego w 1945 roku w największy ze wszystkich obozów działających po wojnie na terenie Polski.

W ciągu sześciu lat, od lutego 1945 do marca 1951 roku, umarło w nim osiem tysięcy osób, głównie niemieckich cywilów.

Dwanaście murowanych wież strażniczych obsadzonych uzbrojonymi po zęby żołnierzami KBW przez sześć lat będzie strzegło prawie dziesięciu tysięcy więźniów: Niemców, Ukraińców, Łemków

i Polaków. Do 1947 roku trafiało się do niego za złe słowo o nowej władzy, wygląd lub śląską volkslistę.

Anna Piątek, krawcowa, uwięziona tam w 1945 roku, powie po latach:

Matka na stacji w Krakowie sprzedała przygodnej osobie chustę, by kupić bilet kolejowy do Ozimka. Rozmawiała wówczas z osobą kupującą i dwoma kobietami o nowych rządach komunistycznych w Polsce i ich zbrodniach. To wystarczyło (ktoś doniósł) (...), wsadzono nas do Jaworzna bez sądu i wyroku na rok.

Franciszka Buczek, aktorka amatorka z Ciesznowa:

W końcu maja 1947 r. bez podania jakiegokolwiek przyczyny aresztowano nasz zespół podczas przygotowywania się do wieczornego spektaklu. (...) Domyślam się, iż dlatego, że graliśmy sztuki o treści religijnej i patriotycznej. Zawieziono nas autem do Krakowa, rzekomo dla sprawdzenia dokumentów. Tam zrobiono nam zdjęcia, wzięto odciski palców (...). Następnie wywieziono nas do Jaworzna, mówiąc, że „graliśmy im na nerwach”.

Warunki były straszne. Drewniane baraki, pchły. W zimie śnieg leżał na kocach.

*

Warunki były znacznie gorsze. Większość kobiet, dzieci, mężczyzn i starców szybko zamieniała się w żywe szkielety. Za podwójnym ogrodzeniem i pasem śmierci, na który szperacze patrzyły od zmierzchu do świtu, bito, gwałcono i mordowano. Załoga, złożona z mieszkańców Jaworzna i okolicznych wsi, nie znała litości. Według profesora Piotra Madajczyka, historyka prowadzącego badania na temat obozu, bicie zaczynało się już pod prysznicem, kiedy nowo przybyli byli nadzy. Więźniów rażono prądem, wystawiano nagich na mróz, zanurzano w bunkrach z wodą – tę tortur nazywano *Wasserzellen*, Lepiej było, kiedy śmierć przyszła w czasie zanurzania, oszczędzało to dodatkowych cierpień. Polacy często krzyczeli: „Utoń, szwajne, oszczędź nam roboty!”.

Pierwszy komendant Eryk Karaś strzela po pijanemu do ruchomych obiektów. Każe ludziom biegać, żeby nie było za łatwo. Lubi gwałcić. Zapewne dlatego zostaje odwołany już w czerwcu 1945 roku.

Kapitan Franciszek Bednarek, zobaczywszy, w czym ma wziąć udział, odmawia przejęcia obozu po Karasiu. Mimo bezpośredniego rozkazu Teodora Dudy z 11 czerwca 1945 roku po prostu nie zgadza się na objęcie funkcji komendanta. Wkrótce potem zostaje naczelnikiem znacznie mniej ważnego dla kariery w MBP obozu w Łodzi-Sikawie. Jaworzno przejmuje porucznik Włodzimierz Staniszewski, a po nim Stanisław Kwiatkowski. Od lutego 1949 do listopada 1951 roku komendantem jest Salomon Morel. Odejdzie po prawie roku zarządzania Progresywnym Więzieniem dla Młodocianych. Radkiewicz i Duda

dojdą do wniosku, że nie nadaje się do wdrażania idei Antona Makarenki.

W COP Jaworzno, zwłaszcza na początku, w 1945 roku, więźniowie niemal nie jedzą. W raportach UB padają delikatne sugestie, że to złe rozwiązanie.

W dniu inspekcji na śniadanie otrzymali herbatę z ziół i 20 dag chleba, na obiad zupa, która według zeznań kierownika kuchni zawierała mięso, mąkę, kaszę, ziemniaki, buraki, marchew, sól. Ze swojej strony mogę dodać, że w zupie nie znalazłem nawet jednego kartofla, była to zawsze czysta woda.

Więźniowie chorują. Naczelnym lekarzem jest doktor Mieczysław Miklaszewski. W obozowym szpitalu używa zdekompletowanych narzędzi pozostawionych przez uciekającą załogę SS. Brakuje wszystkiego: lekarstw, opatrunków, aparatury rentgenowskiej, szczególnie ważnej dla ciężko pracujących. Często trzeba operować, ale Miklaszewski ma narkozę tylko dla dziesięciu osób miesięcznie. Reszcie składa otwarte złamania bez znieczulenia. Brakuje igieł i nici, opatrunki robi się z papieru toaletowego. Poważna kontuzja podczas pracy to śmierć na stole lub w wyniku zakażenia.

Najczęstsze choroby to: dur brzuszny, tyfus plamisty, czerwotka, róża i gruźlica. Zespół Miklaszewskiego leczy je wapnem oraz aspiryną – do wyczerpania zapasów, czyli przez pierwszy tydzień każdego miesiąca.

Więźniowie COP pracują przede wszystkim w kopalniach i hutach na zasadzie wypożyczenia. Tam umieralność jest największa. Praca jest także na terenie obozu, przy produkcji pasów skórzanych, butów, kozuchów i mundurów na potrzeby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Fachowców murarzy i cieśli zatrudnia się do rozbudowy elektrowni Jaworzno, zasilającej między innymi obozowe druty. Więźniów zmuszano do pracy także jako służących, szoferów i ogrodników u funkcjonariuszy MBP.

Augustyn Sidelko, mieszkaniec Jaworzna, który podszedł najbliżej ogrodzenia z drutu kolczastego:

Wydaje mi się, że nikt w tym nie wiedział tak do końca, co się za drutami dzieje. Ludzie bali się, żeby nie być skazanymi z artykułu za „szeptankę” [„szeptana propaganda”, rozpowszechnianie fałszywych wiadomości mogących zaszkodzić interesom państwa]. Mogli sami przecież trafić za druty. Kiedyśmy podchodzili, strażnicy gonili nas. Czasem widzieliśmy, jak zmarłych chowano w pobliskim lesie, również pod murem cmentarnym w Jaworznie-Pechniku.

To półprawda. Bogdan Pyka poświęcił lata na zbadanie, ile w istocie wiedzieli mieszkańcy Jaworzna i jak reagowali na pochówek zamęczonych Niemców na katolickim cmentarzu w Jaworznie.

W 1947 roku obóz w Jaworznie stanie się symbolem polskiej polityki narodowościowej. Trafia do niego cztery tysiące Ukraińców i Łemków.

28 marca 1947 roku w Bieszczadach ginie Karol Świerczewski, Walter. Jego uzbrojony po zęby konwój KBW został zaatakowany przez oddział UPA. Kompletnie pijany Walter, przyzwyczajony do ran, które nigdy nie okazują się śmiertelne, nie chowa się za samochodem, żeby przeczekać potyczkę, która nie trwałaby długo i zakończyła się wygraną Polaków. Wychodzi z auta, staje przy strumieniu i wygraża banderowcom pistoletem. Mają go jak na dłoni, ale strzelają nieudolnie. Świerczewski klnie na czym świat stoi, chwieje się, kiedy trafiają go kolejne kule, w pośladek, udo i klatkę piersiową; padnie dopiero po kilku minutach. Jego śmierć wpłynie na losy tysięcy Ukraińców i Łemków.

Przygotowanie akcji „Wisła” trwa miesiąc. Decyzja zapada na samej górze, podejmuje ją Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej. Dokładnie miesiąc po śmierci Karola Świerczewskiego, nad ranem 28 kwietnia, siedemnaście tysięcy żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego sformowanych w grupę operacyjną „Wisła” rusza, żeby oczyścić krakowskie, rzeszowskie i lubelskie z mieszkających tam Ukraińców, Białorusinów i Łemków.

Pretekstem jest walka z UPA, prawdziwy powód to świadomość komunistów, że monoetnicznym społeczeństwem rządzi się znacznie łatwiej. Chodzi o odebranie małej ojczyzny, oderwanie od korzeni, przrzucenie na Ziemię Odzyskane, gdzie sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi objętych akcją albo całkowicie się spolszczy, albo wyjedzie na nowe ziemie należące do ZSRR.

Kilka godzin przed rozpoczęciem akcji „Wisła” Biuro Polityczne podejmuje decyzję o utworzeniu na terenie COP Jaworzno „przejściowego obozu dla podejrzanych Ukraińców”. UB zamierza wyłuskiwać spośród tłumu przesiedlanych domniemanych żołnierzy UPA.

– Stawał pociąg w Oświęcimiu, bo tu był węzeł kolejowy. Otwierano bydłące wagony. Ubecy i żołnierze polscy szli wzdłuż pociągu i zagadywali do wybranych po polsku. Jak któryś był zarośnięty, brudny, duży i słowa nie rozumiał, wyciągali i do obozu. Bo na pewno banderowiec. Tak wyglądała selekcja – mówi Piotr Setkiewicz, kierownik Centrum Badań Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Według niepełnych danych dostępnych w krakowskim oddziale Archiwum Państwowego przez węzeł oświęcimski przeszło dwieście sześćdziesiąt dziewięć transportów przesiedleńców z akcji „Wisła”. Pierwszy pociąg z wyselekcjonowanymi Ukraińcami trafił do Jaworzna 17 maja 1947 roku. Wśród czterech tysięcy domniemanych banderowców, powyciąganych na rampie w Oświęcimiu, było kilkaset kobiet, kilkadziesiąt dzieci i kilkanaście noworodków. Powstał dla nich osobny, specjalny podobóz w ramach COP Jaworzno. Warunki nie były tam ani trochę lepsze.

Można się domyślić, że poza przypadkowo wyselekcjonowanymi do ukraińskiego podobozu trafiali także ludzie, których dotyczył rozkaz specjalny numer 002 z 24 kwietnia 1947 roku:

Poleca się natychmiast przystąpić do wykonywania spisów inteligencji ukraińskiej oraz jej rozpracowania, zwracając szczególną uwagę na kler grekokatolicki jako trzon działalności ukraińskiego podziemia. Bezwzględnie wykryć Ukraińców podszywających się pod narodowość polską, przeprowadzić tajny dokładny spis ludności w swoich rejonach odpowiedzialności przy ścisłym porozumieniu z miejscowymi organami UB i MO.

*

Obóz w Jaworznie miał swój podobóz w Chrustach. Powstał on specjalnie dla więźniów skazywanych przez Komisję Specjalną do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. To ważny, ale zapomniany już organ stalinowskiego terroru. Komisja miała „zwalczać patologie w odbudowującej się ze zniszczeń wojennych polskiej gospodarce”. Na jej czele stanął Roman Zambrowski, który otrzymał od zwierzchników nieograniczone uprawnienia, co w praktyce oznaczało, że do Chrustów mógł trafić każdy, nawet uliczny handlarz szczoteczkami do zębów.

Komisja rozpoznawała wnioski nadsyłane z biura wykonawczego i delegatur założonych w każdym powiecie. Ścigano rzemieślników, kupców, rolników, właścicieli fabryk i nieruchomości i tych wszystkich, którzy opierali się wywłaszczeniu, gdyż przyzwyczajeni do rynkowych zasad, uznawali je za systemową grabież. To ich właśnie władza zamykała w Chrustach. Trwała „bitwa o handel”, a w istocie – o złamanie woli oporu Polaków przed całkowitym upaństwowieniem każdego sektora gospodarki. W Chrustach warunki były nieco lepsze niż w jaworznickim obozie macierzystym. W 1947 roku Komisja Zambrowskiego zamknęła tam 4335 osób, rok później – 5186, a w 1949 roku – 9134.

Zambrowski w piśmie do naczelnika Mariana Kantora pisał wprost: obóz ma być wzorowany na systemie sowieckich łagrów, a „każdy opuszczający obóz winien mieć wdzięczność dla komisji. Obóz powinien uczynić z więźnia jednostkę lojalną i chętną do pracy nad dalszym utrwalaniem i udoskonalaniem praktycznych idei demokracji ludowej”.

Obóz w Chrustach działał krótko, bitwę o handel komuniści wygrali w ciągu trzech lat, strach bez trudu łamał wolę oporu. Nikt, kto stawał przed wyborem: oddać świnie czy iść do obozu, nie zastanawiał się długo.

Członkowie komisji wraz z żołnierzami KBW wpadali do wsi i robili rewizję we wszystkich gospodarstwach – dom po domu, stodoła po stodole. Widłami na dwumetrowych trzonkach szukali ukrytych w stogach siana worków ze zbożem. Jeśli znaleźli – obóz. Jeśli nie znaleźli – głód.

– Ukryłem świnie pod podłogą. Niewielką. Miałem schowek. Było to niemądre, bo jak Komisja weszła, to się maciora wystraszyła stukotu oficerek i zaczęła tak kwiczeć, że tamci tarzali się ze śmiechu. A potem przestali się tarzać i złamali mi kolbą szczękę. I zabrali na pół roku do obozu w Chrustach – mówi mi Paweł Jędrzejczak.

*

W 1951 roku Bogdan Pyka wysiada w Jaworznie z pociągu po podróży w klatce. W ciągu kilku najbliższych miesięcy zmieni się całe jego życie. Jaworzno w nim zostanie.

Młodych więźniów najpierw poddawano kwarantannie, dopiero po tygodniu golono ich, odwszawiano, nadawano im numer, wpisywano do ewidencji i posyłano do pracy z innymi osadzonymi.

Najpopularniejsza praca to wypalanie trylinki, sześciokątnych płyt betonowych, które do lat dziewięćdziesiątych będą leżały na chodnikach wszystkich polskich miast.

– Coś mi tak przeskoczyło trzeciego dnia w plecach, zaboląło, jakby ktoś wkłuł się w kręgosłup grubą igłą. Rano nie mogłem wstać. Słyszę, idzie komendant. „Bumelant!”, wrzeszczy, a mało nie padnie, twarz mu poczerwieniała jak baretko medalu. Tłumaczyłem, ale nie pomogło, dostałem trzydzieści sześć godzin karceru, odsiedziałem czterdzieści osiem. Cały ten program pogadank i wychowywania w duchu Makarenki szybko im szlag trafił, bo młodych ludzi w takiej opresji łączy silna, solidarna więź wspólnego cierpienia. Wie pan, ja się kiedyś zapytałem na ulicy w Jaworznie jednego spotkanego po latach strażnika, czy naprawdę wierzył, że przemocą, katorżniczą pracą i wykładami o socjalizmie wtłoczą w nas nową komunistyczną wiarę.

– Co odpowiedział?

– Że nie wie, o co mi chodzi, i chyba go z kimś pomyliłem. A ręce mu zaczęły drżeć, o tak. Wszyscy, cała załoga, mieszkali w Jaworznie po zamknięciu obozu. W ramach gomułkowskiej odwilży go zlikwidowano. Widywałem ich do lat dziewięćdziesiątych. Może nawet dłużej. A gdzie mieli mieszkać? Stąd byli, tu zostali.

*

Ryszard Z., były oficer kontrwywiadu PRL:

Dobra, opowiem po kolei. Wieczorem byłem już w Katowicach. Zgłosiłem się do dowódcy jednostki wojskowej. Dowiedziałem się od szefa kontrwywiadu na okręg śląski, że mamy przygotować wyjazd młodego rocznika do Związku Radzieckiego, a później do Korei. Sądziłem, że chodzi tu o żołnierzy będących w katowickiej jednostce. Następnego dnia dowiedziałem się na odprawie, że tymi żołnierzami mają być więźniowie z Jaworzna. Ja mam ich w ciągu trzech miesięcy przeszkolić. (...) Jeden z moich przełożonych, kiedy wyraziłem wątpliwość, czy więźniowie nadają się na wojsko, bez ogródek powiedział: „Tu nie chodzi o ich siłę bojową, ale o to, by zobaczyli, jak ci Amerykanie strzelają do nich jak do kaczek. Niech giną z rąk tych, których tak bardzo kochają”. Pierwsze ćwiczenia zaczęliśmy bodaj w listopadzie 1951

roku.

Jerzy Prószyński, „jaworzniak”, o ćwiczeniach:

Kiedy zaczęto nas szykować na wojnę, rozpoczęły się ćwiczenia na bruku. Wyglądało to żałośnie, bo chodziliśmy w drewniakach. Zmuszano nas do śpiewu piosenek chwalcących socjalizm i ZSRR. Bojkotowaliśmy ich, ryczeliśmy jak barany i nigdy nie udawało się nam ustawić dobrze w czwórki. Wyżywienie się jednak poprawiło. Zaczęto nas łagodniej traktować. Nie było stawania twarzą do ściany, kiedy wchodził strażnik czy wychowawca. (...) My już wtedy wiedzieliśmy od jednego z magazynierów, że w magazynie odzieżowym jest zdeponowanych kilka tysięcy wojskowych mundurów.

Zbigniew M., oficer kontrwywiadu przygotowujący młodocianych „jaworzniaków” do walki:

Tak naprawdę nie wiem, dlaczego tę operację odwołano. Przydzielono mi inne zadania i nigdy już do tej misji nie wracano. Nie poniosłem z tego powodu żadnych konsekwencji, przypuszczam więc, że „na górze” podjęto decyzję o odwołaniu akcji, ale nie dlatego, że Zachód się o tym dowiedział. Ze światową opinią wtedy się nie liczone.

*

Od wschodu osiedle Stałe w Jaworznie zamyka mały lasek – Park imienia Lotników Polskich.

Leży tam w nieoznaczonych, masowych mogiłach sześć tysięcy ludzi. Chodzą po nich grzybiarze, spacerują turyści. To jedyny skrawek zieleni w tej części górniczego miasta. Przy ścieżce dla uprawiających jogging stoi kamień ze słowami w trzech językach – polskim, ukraińskim i niemieckim. Jest mowa o ofiarach reżimu komunistycznego, ale nie o masowych mogiłach kilkadziesiąt metrów dalej. Grobów nie oznaczono ani nie upamiętniono, jednak bardzo łatwo i szybko można by ustalić, gdzie konkretnie znajdują się ciała. Świadców, którzy żyją i pamiętają świeże mogiły, wciąż jest sporo, ponadto musi o tym wiedzieć nadleśnictwo.

– Dzwoniłem. Ściana. Jak gdyby nie rozumieli, o czym mówię – twierdzi Pyka.

Kiedy funkcjonował COP, trupy zwożono każdego dnia do centrum miasta na cmentarz w Pechniku. Parafia i mieszkańcy szybko się jednak zbuntowali przeciwko chowaniu Niemców i innych obcych wśród Polaków, katolików. Wtedy w MBP podjęto decyzję o zakopywaniu ludzi w lasku za obozem. Radkiewicz i Duda, którzy zapewne osobiście podjęli decyzję o tym, by pomordowanych chować w masowych mogiłach, poszli parafii na rękę. Prawdziwy cel był jednak inny i z punktu widzenia władzy sensowny. Należało chronić miasto przed epidemią, która przy takiej liczbie zmarłych,

chowanych w płytkich dołach na terenie cmentarza w centrum miasta, mogłaby wybuchnąć bardzo szybko. Niedożywienie mieszkańców Jaworzna w pierwszych latach po wojnie osłabiło ich odporność, narażając na częste zachorowania.

Pyka, który od lat jest we władzach Związku Młodocianych Więźniów Politycznych „Jaworzniacy”, postanowił upomnieć się o zabitych w stalinowskim obozie Niemców, Polaków i Ukraińców. Odwiedził Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, parafię przy Grunwaldzkiej oraz urzędy miejskie. Wszędzie trafiał na mur milczenia. Tak jest do dziś. Można dzwonić do woli. Nikt nic nie wie o kilku tysiącach pomordowanych więźniów leżących w lesie przy osiedlu Stałym.

– Pierwszą słuchawkę podniosła żona i myślała, że nie dosłyszy. „Chyba do ciebie!”, krzyknęła. A to było milczenie. Drugi i trzeci głuchy telefon odebrałem już sam. Cisza. Proszę pana, nie bałem się i nie boję – kwestia godnego pochowania ofiar Centralnego Obozu Pracy to jest sprawa, której poświęciłem dużą część dorosłego życia.

Można ekshumować leżących w masowych grobach i ponad wszelką wątpliwość ustalić, że sześć tysięcy ciał spoczywa w parku przy osiedlu Stałym, piętnaście minut spacerem od centrum Jaworzna. Kłopot w tym, że gdyby chcieć odnaleźć wszystkie zbiorowe mogiły po obozach MBP na terenie województw małopolskiego i śląskiego, trzeba by ekshumować latami. Wystarczy dokładnie, według danych z archiwów, ustalić miejscowości, w których znajdowały się obozy bezpieki: w Wadowicach, Żywcu, Mysłowicach, Libiążu, Będzinie, Sosnowcu, Tarnowskich Górach, Głubczycach, Chorzowie i Bytomiu. Nie licząc obozów Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego. Rów z trupami musiał się znajdować przy każdej kopalni CZPW, bo Niemcy zwiezieni z innych regionów kraju i zmuszeni do niewolniczej pracy padali jak muchy.

Możliwe, że w części tych miast trupy z obozów pochowano na miejscowych cmentarzach. Zdecydowana większość jednak wciąż leży w nieodkrytych grobach, co wpływa na problemy niektórych historyków z oszacowaniem, ilu niemieckich cywilów zameczył aparat bezpieczeństwa. Szacunki mówią: od sześćdziesięciu do stu tysięcy w latach 1945–1950.

– Można ustalić dokładnie, gdzie są te doły z kobietami i dziećmi na osiedlu Stałym, i je upamiętnić. A, jeszcze jedno. Zanim oni zaczęli zwozić trupy do lasu, to jednak mnóstwo ludzi na tym cmentarzu w Jaworznie-Pechniku pochowano. W końcu się doprosiłem – mówi Pyka. – Wie pan, ile grobów z niemieckimi nazwiskami jest datowanych na okres 1944–1951? Cztery.

Dzisiaj

– To było brutalne przejęcie. UOP inwigilował Ewę Będkowską, prowadził dochodzenie, wyręczając policję. Zaskakująca aktywność służb, nie uważa pan?

– No tak to zazwyczaj wygląda. Stowarzyszenie pana Brehmera nie chciało oddać czegoś, co nie było ich własnością – mówi Biernat. – Służby działały normalnie.

– A Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych nie chciała i nie chce udostępniać stronie niemieckiej tej dokumentacji?

– Przecież pan wie, że to zależy od MSZ. Proszę spojrzeć na bieżące rozgrywki. Na formułowanie narracji o dwóch wrogach: Niemcach i Rosji. Ewentualne udostępnienie w żadnym wypadku nie wpisuje się w tę opowieść.

– Zostawmy antyniemieckie zachowanie dzisiejszej władzy na boku. Nigdy nie było woli politycznej, żeby udostępniać to znalezisko, zarówno za rządów AWS-u, SLD, jak i PO. Mówiono: tego by tylko brakowało, żebyśmy musieli Niemcom odszkodowania wypłacać.

– Byłoby to dość kuriozalne: wypłacać. Rozumiem to myślenie. Istnieje obawa, że środowiska niemieckie mogą się zjednoczyć i wysuwać roszczenia. Ponadto Niemcy nie zapłacili do końca za drugą wojnę światową. Za tę hekatombę.

– To są dwa odrębne zagadnienia jednej niezłatwionej sprawy: relacji między naszymi narodami.

– Wciąż nieuregulowane prawnie. Nie ma mowy o odszkodowaniach ani w traktacie o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy z 1991 roku, ani w żadnym dokumencie unijnym. Szczerze? Nie ma jak tego dotknąć.

– Więc lepiej nie dotykać, bo śmierdzące gównem omija się z daleka?

– Z tego na pewno by wybuchła jakaś awantura polityczna. To mi podpowiadają intuicja i doświadczenie.

– A przyzwoite zachowanie jakie by było?

– Proszę pana... Są dwa spojrzenia. Poza politycznym jeszcze humanitarne. I my zawsze udostępniamy ewentualnym rodzinom dokumenty. Bo rozumiemy. Czasami zgłaszający się nie znają nawet nazwiska poszukiwanej osoby. Tylko imię i jakieś daty, skrawki faktów. Szukamy i tak. Sprawdzamy, ile się da.

– Gdzie jest w tej chwili kartoteka, którą przejął UOP?

– Wciąż w Katowicach. W wolnym dostępie. Każdy może przejrzeć te nazwiska. A już na pewno ewentualni spadkobiercy zamężonych Niemców i Ślązaków.

==4LUigTCVLIAS1Am9PeUByRXRUPEkRINOZPAQZAbiAy1dMQ==

POTULICE

Czyli obawy
Karla Mocke



Wąsko się specjalizować, patrzeć tylko na to, co trzeba, wypowiadać wyłącznie konieczne słowa, bo jeśli człowiek zajmuje się pracą sumiennie, to inni to widzą i nie biją, nie głodzą, dają przetrwać. A więc najpierw polizać ołówek kopiowy, zanotować imię, nazwisko i numer obozowy nadany świeżo przyjętej więźniarce, później powiedzieć, żeby się rozebrała do naga. Ostatnie słowo wymówić z lekkim naciskiem, bo jest zdziwienie, czasami trzeba powtarzać kilka razy, a jak człowiek ma sto klientek dziennie, to i kilkaset razy dziennie musi potwierdzać z kamienną twarzą, bez cienia uśmiechu: „*Nackt*”, a to z początku męczy, potem złości. W końcu człowiek obojętnieje. Stres i zmęczenie zaciskają dłoń na narzędziach, kiedy jakaś gruba, stara Niemka gramoli się na wysoki blaszany stół do golenia. To jest cholernie precyzyjna robota i warto by mieć wiele dobrych brzytw, ale ostrzenie jest raz w miesiącu i Karl nie odpowiada za to, że szczęście ma pierwszych sto kobiet, a reszta musi cierpieć i krwawić ze wszystkich miejsc, zwłaszcza z załamań ciała, gdzie ostrze potyka się o fałdy skóry.

Naturalnie, gdyby to od niego zależało, goliłby dokładnie, regulaminowo, całe ciało, najpierw kobiety młode i ładne, ale musi po kolei i ma na to ograniczony czas, więc nie może być tak, że starej i brzydkiej poświęci dwie minuty, a młodą i ładną, której przed chwilą uciął metrowe warkocze, będzie trzymał na stole kwadrans z rozchylonymi nogami, udając że jest taki dokładny, profesjonalnie precyzyjny i stosuje się do wytycznych komendatury obozu, a zwłaszcza doktora Cedrowskiego, który osobiście zresztą powiedział, że włosy mają być ogolone na całym ciele. Na głowie odrastać mogą maksymalnie na centymetr, jeśli więźniarkę zakwalifikowano do pracy fizycznej na terenie obozu lub w którymś z gospodarstw, i na cztery centymetry, jeśli do biurowej.

Stół Karla stoi w baraku cyrulicznym, który już tu był, nietknięty tak jak narzędzia, fartuchy, kubki i sztuce, wszystko faszyści zostawili. W obozie jak w pudełeczku, na biurku komendanta do połowy napełniony kałamarz, to wzbudzało szacunek, uświadamiało, z jaką prędkością poruszała się Armia Czerwona, Karl użyłby porównania, że była jak zmieniający zdanie wskaźnik paliwa w jego toyocie, który przelicza bieżące spalanie na zasięg i nieustannie skraca dystans. Człowiek widzi, że ma jeszcze czas, i nagle, zupełnie bez powodu, okazuje się, że zostało mu ropy na pięć kilometrów. Skokowo się Sowietci poruszali i ten ostatni skok musiał zupełnie zaskoczyć załogę obozu przesiedleńczego Lebrechtsdorf-Potulitz.

Ale o tym wszystkim fryzjer Karl dowiedział się wiele lat później, kiedy rozpadło się NRD i nagle mógł mówić o tym, że w czasie wojny mieszkał w Grabowie, maleńkiej wsi, która należy teraz do Polski. Zobaczył, że nie trzeba myśleć tak jak Erika Steinbach, żeby znaleźć ludzi, którzy są w identycznej sytuacji, cierpią, tęsknią i mówią o tym otwarcie. W NRD nie było szans, by temat

obozów i wysiedleń w ogóle poruszyć. Od razu Stasi wsiadała na kark i pytała, czy naprawdę chce się uchodzić za nazistę w socjalistycznych Niemczech.

Opowiedziałem Karlowi o tym, jak wielkie problemy ma polska dyplomacja i jak kolejne ekipy mierzyły się z kwestią przyznania się do zbrodni stalinowskich tuż po wojnie, zwłaszcza do zamykania tysięcy Niemców w obozach, i on doskonale rozumie ten nierozzerwalny klincz, rozumie oddzielenie kwestii moralnej od dyplomatycznej, przecież każdy polityk widzi jak na dłoni, że można zbrodnię niemiecką i polską rozdzielić, wystarczy do tego minimalne powściągnięcie emocji, niewielki wysiłek, by nie zaślepiły, a przecież najwybitniejsi ludzie władzy potrafią uczynić go bez problemu, jeśli chcą. Obozy powojenne to była zbrodnia mniejsza, która wydarzyła się zaraz po największej Zbrodni w historii ludzkości. „Wasze cierpienie jest po prostu lekkie”, usłyszał Karl od pewnego Polaka i dziś uważa, że nie sposób nie przyznać mu częściowo racji.

W maju 1946 roku na podwórko osiemnastoletniego Karla wjechał wóz z koniem, a na nim polski chłop, który zsiadł, podkręcił węża i powiedział, że przyjechał pomóc im się pakować, chętnie weźmie na wóz, co tam mają – walizki, meble, dywany, i podwiezie ich, nawet dwadzieścia kilometrów, do szosy na Poznań. Ojciec Karla nie odezwał się do chłopca ani słowem, tylko z wyższością spojrzął, splunął i kazał rodzinie wracać do domu; rozumiał, co tamten mówi, z Polakami na pograniczu żył przed wojną normalnie.

Po dwóch dniach przyjechał samochód z uzbrojonymi po zęby funkcjonariuszami UB, ojciec usłyszał, że cała rodzina ma wszystko zostawić i jechać z nimi. Od razu trafili do obozu w Potulicach, a tak między nami, to mieli bardzo dużo szczęścia, bo ich sąsiad, pan Gustaw Werner, odmówił opuszczenia domu i spadając z drabiny z przestrzelonym brzuchem, oberwał pięć ostatnich szczebli.

– Polacy uważają, że za zbrodniami hitleryzmu stał cały niemiecki naród, i to jest takie samo uproszczenie, jak kłamliwa teza, że winna jest tylko grupka nazistów z Hitlerem na czele, jak by chciała to widzieć chętna do rozgrzeszenia niemiecka skrajna prawica – mówi Karl Mocke, zdejmując grubą książkę do historii, kartkuje ją kilka minut z miną pilnego studenta i zaczyna mówić, że NSDAP w momencie dojścia do władzy liczyła dwa miliony członków, a wybory z marca 1933 roku wygrała, owszem, ale na partię Hitlera głosował co trzeci uprawniony Niemiec. Niemcy jako naród zawinili czym innym: konformizmem, który nadszedł później. Takimi właśnie konformistami byli jego rodzice.

Karl pamięta z późnego dzieciństwa w latach trzydziestych, jak ojciec wyłączał radio, dopijał herbatę i mówił: „Będzie, jak ma być”. A potem jako gorliwy niemiecki obywatel stosował się do wszystkich praw i zasad. Kilka miesięcy przed wybuchem wojny wyrzucił nawet na kompost jeden jedyny album malarski, jaki mieli w domu, bo był poświęcony puentylistom. Miejsce bazgrołów, wymiocin naniesionych na płótna tysiącami kolorowych dotknięć było w gnojówce.

Karl dopiero wiele lat później dowiedział się, że obóz w Potulicach był porzucony przez hitlerowską

załogę w stanie najlepszym z możliwych. Z tą golarnią to było tak, że nie od razu funkcjonowała, a on nie od razu był taki szybki i fachowy. Najpierw w Potulicach więźniom i więźniarkom malowano na plecach swastyki, ale który Polak chciałby patrzeć dzień w dzień na tysiące swastyk zaraz po wojnie, więc przerzucono się na literę N, ale komu by się chciało zużywać tyle wapna, obóz wciąż się rozrastał, więc w końcu komendant Witold Chudecki zdecydował, że to ogolona głowa będzie świadectwem hańby.

Wszedł żołnierz w rogatywce do baraku i przeczytał z kartki dwa niemieckie słowa: „*Barbier, Friseur*”, a Karl podniósł rękę, bo w gospodarstwie rodziców pod Złotowem godzinami obserwował rękę ojca precyzyjnie prześlizgujące się po owczych grzbietach, zamieniające w kilka sekund puchate damy w gołe beczące koziołki, jak gdyby wraz z wełną opadało z nich całe dostojeństwo. Wiedział, za co siedzi – za wojnę. Wiedział, że wcześniej obóz nazywał się Lebrechtsdorf i został wzniesiony niewolniczą pracą polskich więźniów. Później Karl dowiedział się, że obóz w Potulicach, mimo że początkowo był podobozem KL Stutthof, nie służył Niemcom do zabijania, tylko do przesiedlania Polaków z ziem, które po zwycięskiej wojnie z Polską Hitler przyłączył do Rzeszy. W styczniu 1945 roku załoga otworzyła bramy, a sama zajęła się niszczeniem dokumentacji, na zabranie jakichkolwiek przedmiotów obozowych nie starczyło już czasu. Centralny Obóz Pracy uruchomiono sześć miesięcy później.

– Słabo idzie golenie dzieci. Boją się stalowego stołu, płaczą, a adrenalina nie działa na ból uśmierzająco. Co brzytwa zatnie jakiegoś nastolatka, to chlupanie albo pisk. Dzieci stanowiły czwartą część obozu: sześć tysięcy, w każdym wieku. Jeśli były na tyle duże, by pracować, wypożyczano je do polskich folwarków wokół Potulic, wraz z innymi więźniami. W większości jednak były za małe, ponad cztery tysiące nie miało sześciu lat, za małe, żeby je golić, i za małe, żeby mogły pracować, więc jeden z baraków nazywano sierocińcem. W obozie dowiedziałem się, że po raz pierwszy kilkaset dzieci siłą odebrano matkom w maju 1945 roku. Załoga obozu trzymała rozwierzgane kobiety, a pracownice domów dziecka z Inowrocławia, Szubina, Bydgoszczy i Świecia pędziły dzieci na paki ciężarówek. Kiedy zamykano obóz, nie było mowy, żeby oddać je matkom, rozpoczął się już proces polonizacji, kilkulatek lub kilkulatka wierzyli z pełnym przekonaniem, że fakt, iż są pochodzenia niemieckiego, to powód do kary. Tym chętniej odrzucali swoją wcześniejszą tożsamość. Potem matki latami jeździły po Polsce i szukały swoich dzieci – kiedy już jakimś cudem je znalazły, okazywało się, że one, po pierwsze, nie wierzą nikomu z kraju faszystów, po drugie, nie można mieć dwóch matek.

Karl zdejmuje z półki książkę i zaczyna czytać wspomnienia osiemnastolatka o zdarzeniu z początku lat sześćdziesiątych:

Nie poznałem matki, ona za to mnie poznała od razu. Nie umiałem ani słowa po niemiecku. Po

półgodzinie przyszedł też ojciec. Byłem onieśmielony, mówiłem do rodziców pan i pani, oczywiście po polsku, i płakałem.

– To historia Günthera, nie było mu łatwo wrócić z rodzicami, mimo że tego naprawdę chciał. Karl przerywa, zerka na mnie, czy nie czuję się urażony, czyta dalej:

Gospodarz nie miał zamiaru pozbywać się wieloletniego pracownika i zaprzeczał, że wziął dziecko z obozu w Potulicach, a władza powiatowa uwierzyła mu na słowo.

– Wie pan, kiedy udało się Güntherowi wrócić? – pyta mnie, jak gdyby retorycznie, a ja nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek daliśmy Niemcom zielone światło do wyjazdu. – Za socjalizmu zielone światło? Wielokrotnie, ale nigdy za darmo. Pamięta pan klęknięcie Willy’ego Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta? On przyjechał wtedy upomnieć się o Niemców zatrzaśniętych w Polsce. To był główny cel jego wizyty. Gomułka złagodził dla nich później tryb paszportowy nie za akceptację wschodnich granic niemieckich, ale za miliard marek nieoprocentowanej w zasadzie pożyczki oraz za odszkodowania dla mieszkających na Śląsku wdów po żołnierzach Wehrmachtu. To było prawie dwieście tysięcy kobiet. RFN wypłacał w markach, według taryfy niemieckiej, a Polacy wypłacali tym kobietom szóstą część, wychodząc z założenia, że wdowy po żołnierzach niemieckich nie mogą dostawać więcej niż wdowy po Polakach.

Jeżeli miałyby się zastanowić, tak pomyśleć porządnie, to Karl Mocke chciałby, żeby w Potulicach, w których spędził dwa lata, stanęła tablica upamiętniająca trzy tysiące ludzi, którzy zmarli tam po wojnie, aż do zamknięcia COP Potulice w 1950 roku.

– Bo tak się składa, że ich ciał już się raczej nie znajdzie. Tutaj – Karl znowu kartkuje jakąś książkę – tutaj jest napisane, że świadek z tamtych lat, mieszkaniec Bolesław Rosada powiedział, iż ich „groby zostały zniwelowane”. Ale i tak nie wszyscy tam leżeli, na cmentarzu, może połowa, reszta była grzebana w nieznanym mogiłach na skraju wsi.

– Panie Mocke, w Jaworznie w centrum miasta leży sześć tysięcy trupów pod parkiem dla biegaczy. Na terenie Górnego Śląska, jak zakładają niektórzy, znajduje się trzydzieści tysięcy ciał niemieckich cywilów w nieoznakowanych masowych mogiłach.

Karl Mocke milczy długą chwilę.

– No to niech najpierw może upamiętnią tam, gdzie więcej, naturalnie, naturalnie.

Dzisiaj


Doktor habilitowany Piotr Greiner, od 2006 roku dyrektor oddziału Archiwum Państwowego w Katowicach:

– Oczywiście, że pamiętam sprawę. Ta kartoteka istotnie jest w wolnym dostępie, ale mało kto się nią interesuje. Kiedy wybuchła ta afera, to owszem, przyjechało kilku dziennikarzy, ale później sprawa całkowicie ucichła. Z tego, co wiem, nikt, ani z Niemiec, ani z Polski, nie posłużył się tymi dokumentami, żeby wnioskować o odszkodowanie. Powiem panu więcej. Podczas likwidowania archiwum kopalni Kleofas trafiło do nas kolejne dziesięć tysięcy nazwisk ludzi zamęczonych przez władze tuż po wojnie. Podobna kartoteka: podstawowe dane i okoliczności śmierci. Ale w tych archiwach znajdują się także szkice zbiorowych mogił! Prowizoryczne cmentarze obok niektórych kopalń. Zainteresowanie jest jednak znikome. Jeden historyk przyjechał i żywcem przepisał tę listę z Kleofasa do książki. Nie wywołał żadnego rezonansu. Pan też będzie te nazwiska spisywał? Radziłbym przyjąć jakąś metodologię. Umieścić je w kontekście... Trzy tysiące martwych dusz, o których mówi Dietmar Brehmer? To nonsens. Kwestia polityczna udostępnienia całego archiwum Niemcom w geście dobrej woli? To nie moja działka.

Listę pomordowanych w kopalniach udostępnił doktor habilitowany. Kazimierz Miroszewski w niskonakładowej książce *Obozy pracy przymusowej na terenie Katowickiego i Chorzowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego (1945–1950)* wydanej w 2002 roku.

SZCZUR

Czyli królestwo
Czesława Gęborskiego



DEUTSCHEN
NIEMCOM
UND POLEN
I POLAKOM
OPFERN
OFIAROM
DES LAGERS
O B O Z U
LAMSDORF
LAMBINOWICE
IN DEN JAHREN
W LATYCH
19

Jedem

Ostatniego dnia sierpnia 1957 roku w szpitalu Zakładu Karnego we Wrocławiu głodówkę zaczyna trzydziestoletni mężczyzna. W pierwszej chwili można pomyśleć: to oznaka zmian, manifestacja, która jeszcze dwa lata wcześniej umknęłaby uwagi miażdżącej maszynie stalinowskiego terroru; w najlepszym wypadku gest ten zostałby uznany za ekstrawagancję: zamknięci i tak cierpieli nieustanny głód, jeśli zaś trafiali do szpitali, ich stan był zazwyczaj tak ciężki, że nie byli w stanie decydować o swoim losie, nie mówiąc o podejmowaniu prób oporu.

Ale w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy wydarzyło się wiele. Głodujący, który w czterdzieści dni zamieni się w żywy szkielet, jest kimś szczególnym dla Władysława Gomułki. Towarzysz Wiesław, po zyskaniu zaufania Chruszczowa, rozpoczął właśnie bezwzględne rozliczenia z okresem błędów i wypaczeń według swojej własnej logiki, osobistej listy osób, ale również w zgodzie ze ścierającymi się w partii interesami.

Kłopot z głodującym porucznikiem Czesławem Gęborskim nie jest nowy. To pierwszy komendant Łambinowic, najstraszniejszego obozu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Śląsku Opolskim. Na korytarzach więzienia we Wrocławiu mówią o nim: polski Amon Göth, porównują go do zbrodniarza hitlerowskiego, który jako komendant obozu w Płaszowie lubił strzelać do ludzi z domowego tarasu.

– Bzdura, nonsens, hańba. – Osiemdziesięciosześcioletni Andrzej Jurkowski aż się podnosi z wersalki. – Głodował czterdzieści dni, pan wie, co się dzieje z człowiekiem, który przez tyle czasu pije tylko wodę? Zanika. Pan sobie o tym w Biblii poczyta. Nikt, kto byłby naprawdę winny tego, co tamci zarzucali Czesławowi, nie zdecydowałby się na taki gest. Wrobił go Zawadzki, dobrze umocowany w nowym aparacie stalinowiec. Potrzebowali kozła ofiarnego, bo sprawa zaczęła wylewać się za granicę. Niech pan przeanalizuje fakty.

*

Kłopot z porucznikiem Czesławem Gęborskim rozpoczął się zaraz po likwidacji obozu w Łambinowicach, w październiku 1946 roku. Wydział IX do spraw Funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach wszczął przeciwko niemu dochodzenie, zarzucając mu, że 4 października 1945 roku, będąc komendantem obozu, wydał strażnikom rozkaz strzelania do cywilów osadzonych w obozie. Zginęło czterdzieści osiem osób. Sprawa ciągnęła się do marca 1947 roku i zakończyła prokuratorskim umorzeniem. Uznano, że komendant działał w myśl obowiązujących przepisów i „nie jest winien zabójstwa czterdziestu ośmiu Niemców, którzy podpalili barak i usiłowali

zbiec z obozu”.

Na tym sprawa zapewne zostałaby zamknięta na zawsze, i tak była rozgrzebana *pro forma* – pożar baraku naprawdę wywołał zainteresowanie, nie można było udawać, że wielki dym, ogień i pogorzelnisko z trupami rozerwanymi przez pociski ciężkiego karabinu maszynowego to norma, nawet jeśli to niemieckie truchło.

Być może po okresie stalinizmu nie wrócono by do płonącego baraku i Gęborski żyłby spokojnie w socjalistycznej Polsce, gdyby odwilżowych rozliczeń nie potraktował poważnie Antoni Końca – prezes powiatowego Związku Weteranów Powstań Śląskich i burmistrz Niemodlina w latach 1946–1947.

Na Dolnym Śląsku naprawdę uwierzono, że Gomułka to reformator, i 9 listopada 1956 roku, w antystalinowskim uniesieniu, na zjeździe działaczy przyjęta została rezolucja, która w stu procentach popierała nową politykę pierwszego sekretarza. Obok używania bezkrytycznie entuzjastycznego tonu wobec jego planów w rezolucji domagano się także, aby:

praworządność zapanowała w aparacie państwowym, sądowniczym, gospodarczym, aby naprawiono popełnione krzywdy w stosunku do ludności rodzimej i usunięto tych ludzi, którzy pod jakimkolwiek pozorem dopuścili się nieprawości na ludności autochtonicznej. Niech ci ludzie znikną z oczu tych, których krzywdzili i okradali. Usunąć tych wszystkich, którzy są odpowiedzialni za martwość polityczną i gospodarczą Ziemi Odzyskanych. Na ich miejsce dać ludzi doświadczonych w walce o polskość tych ziem, ludzi mających pełne zaufanie ludności rodzimej, repatriantów, przesiedleńców.

Ta rezolucja była rewolucyjna, bo takie były czasy. Stalinizm walił się z hukiem, Bierut nie żył, otwierała się nadzieja na socjalizm z ludzką twarzą i Ślązacy naprawdę zaangażowali się w rozliczenia – bez wyraźnego klucza frakcyjnego, chodziło o sprawiedliwość. Postulowali, aby na Śląsku do władz państwowych weszli Niemcy i przesiedleńcy, i naiwnie liczyli, że mają do czynienia z całkiem nową, sprawiedliwszą Polską.

Wierzył w to też Antoni Końca, który brał udział w konferencji, a zaraz po niej napisał list do Ministerstwa Sprawiedliwości. W marcu 1947 roku jako burmistrz Niemodlina przyjął delegację mieszkańców wsi Kuźnica Ligocka. Ludzie narzekali na trudne warunki życia i wyrażali swoje rozczarowanie w stosunku do Polski. Mówili, że wynikają one przede wszystkim z przesiedlenia znacznej liczby mieszkańców do obozu w Łambinowicach. Opowiedzieli Końcy o tym, że wyrządzono im szczególną krzywdę, dlatego że czuli się Polakami, i szczególnie upokarzało ich to, że dano im sztandary ze swastyką, kazano śpiewać *Boże, coś Polskę* i popędzono do obozu. Bardzo ich rozczarowało, że nowa władza, wobec której byli neutralni, a nawet której byli przychylni, potraktowała

mieszkańców wsi Kuźnica Ligocka z takim okrucieństwem. W obozie bowiem panowały głód i choroby, znęcano się nad uwięzionymi, strzelano ludziom w głowę i ich gwałcono. Mieszkańcy nie mieli wątpliwości, że bardziej ludzcy wobec nich byli czerwonoarmiści, którzy skupiali się na kradzieżach.

Po spotkaniu z delegacją wsi Końca zwrócił się od razu do ministra sprawiedliwości o wszczęcie postępowania wobec ludzi odpowiedzialnych za rzeź w Łambinowicach. Jednak przed VIII Plenum KC PZPR nie było możliwości rozpoczęcia śledztwa, a i teraz prosi o to z pominięciem powiadamiania o sprawie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Niemodlinie. Dodał, że boi się represji, szykan, a nawet zabójstwa.

– Nie chodziło wcale o to, nie dlatego Czesława wydali na pastwę tych ludzi – mówi Andrzej Jurkowski, przyjaciel byłego komendanta.

*

Ministerstwo Sprawiedliwości natychmiast zajęło się sprawą. Końca nic tu nie znaczy, ale trafił na idealny czas. Podczas październikowej odwilży w RFN ukazała się książka Heinza Essera pod tytułem *Die Hölle von Lamsdorf. Dokumentation über ein polnisches Vernichtungslager*, co można tłumaczyć jako „Piekło Łambinowic. Faktografia polskiego obozu zagłady”. To jedyna książka o polskich obozach, która pojawiła się w zachodnich Niemczech tak szybko. Zapewne wydarzenia październikowe miały wpływ na publikację, nie ma jednak wątpliwości, że horror, który wydarzył się w Łambinowicach, był nieporównywalny do zdarzeń mających miejsce w innych obozach MBP, nawet w Świętochłowicach. Ludzie, którzy przeżyli, wszystkim opowiadali o okrucieństwach, jakich doznali lub byli świadkami.

Polacy zareagowali ostro. Postanowiono książki Essera nie przemilczać, zapewne wychodząc z założenia, że ludność Śląska i tak ją przeczyta. Dano więc odpór. Dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce Czesław Pilichowski napisał:

Odwetowe i rewizjonistyczne oraz prawicowo-chadeckie i neonazistowskie ugrupowania w NRF podjęły określoną prowokację antypolską, a mianowicie prokuratura w Hagen wszczęła śledztwo w sprawie rzekomych zbrodni, które mieli popełnić Polacy w obozie przejściowym dla wysiedlonych Niemców w Łambinowicach.

Prokuratura w Hagen wykonała pusty gest polityczny. Gęborskiego mieli Polacy. A Służba Bezpieczeństwa w dwa miesiące po ukazaniu się książki Essera zaarrestowała siedemset egzemplarzy. W samym Opolu.

Porucznik MO Czesław Gęborski został aresztowany w swoim domu w Opolu 18 czerwca 1957 roku. Sąd postanowił zastosować wobec zatrzymanego areszt tymczasowy z uwagi na ciężar czynu oraz na to, że zatrzymany mógłby próbować się ukrywać. Groziła mu bardzo wysoka kara.

Po dwóch tygodniach Gęborski rozpoczął głodówkę.

Najpierw był to protest przeciwko bezprawnemu osadzeniu w areszcie.

Po tygodniu głodujący zażądał spotkania z przewodniczącym Rady Państwa Aleksandrem Zawadzkiem. Prośba trafiła w próżnię.

Po dwóch tygodniach głodowania Gęborski zwrócił się na piśmie z prośbą o przybycie delegacji składającej się z przedstawicieli KC PZPR i Ministerstwa Sprawiedliwości, której zamierzał dać list do przewodniczącego Rady Państwa.

Komendantowi odmówiono, a trzy tygodnie później gotowy był akt oskarżenia.

Na dzień przed jego ogłoszeniem Gęborski zaczął jeść.

Prokuratura Wojewódzka w Opolu po przesłuchaniu siedemdziesięciu świadków zarzuciła Czesławowi Gęborskiemu, że będąc komendantem obozu przejściowego w Łambinowicach, między majem 1945 a październikiem 1946 roku dopuścił się wielu morderstw na niewinnych cywilach, osadzonych w celu wysiedlenia. Szczególnie zaś:

- miał poddać śmiertelnym torturom Józefa Gancera, który powrócił z obozu jenieckiego;
- w drugiej połowie 1945 roku śmierć poniosła kobieta będąca w dziewiątym miesiącu ciąży. Następnie Gęborski zastrzelił jej dwuletnią córkę, gdy składała kwiaty na grobie matki;
- w drugiej połowie 1945 roku Gęborski wraz z pomocnikiem obcięli piłą chorą nogę nauczycielowi Wolfowi z Bielic. W wyniku tego zmarł;
- w drugiej połowie 1945 roku w pomieszczeniu stołówki dla administracji obozu Gęborski polecił strażnikom mordować codziennie dziesięć osób;
- 17 sierpnia 1945 roku Gęborski przyzwolił jednemu ze swoich ludzi na to, by przejechał ciężarówką po głowie mężczyzny, któremu wcześniej kazał się położyć na asfaltowej drodze obozowej.

W akcie oskarżenia to były jednak w zasadzie incydenty. Głównym zarzutem było podpalenie niezamieszkanego baraku. Później Czesław Gęborski pod pretekstem pacyfikowania buntu miał własnoręcznie wystrzelać czterdzieści osiem osób, które miały ugasić pożar. Podobno spacerował w bezpiecznej odległości od płomieni i „zatrzymywał” przerażonych i rozbieganych ludzi jednym strzałem. Śledztwo wykazało, że nie było potrzeby użycia broni, gdyż nie było żadnego buntu ani prób ucieczki. Ludzie zostali posłani do gaszenia dużego pożaru. Co ciekawe, prokuratura nie domagała się konkretnej kary, nie wносиła o określoną sankcję. Zdawała się na sąd.

Czy Gęborski dostanie karę śmierci, czy nie, miał zdecydować osobiście generał Aleksander Zawadzki.

*

Odnaczony dziesięcioma stalinowskimi medalami Aleksander Zawadzki spełniał kryteria, które pozwalały mu nie tylko uniknąć sądu, ale i zachować urząd przewodniczącego Rady Państwa. Po pierwsze, nigdy nie był w ścisłej grupie kierowniczej, która zdecydowała o aresztowaniu towarzysza Wiesława. Po drugie, był całkowicie posłuszny przełożonym. Niewielu miał ich Zawadzki nad sobą, a wśród nich Stalina, ale nigdy nie wykazał się cieniem ambicji politycznej. Nie knuł, nie budował frakcji, unikał konfliktów. Po trzecie, od listopada 1952 roku był przewodniczącym Rady Państwa, urząd ten zachował aż do śmierci w 1964 roku, bo jego znaczenie było marginalne, tak jak i samego ciała powołanego, by stwarzać pozory, że najważniejsze decyzje zapadają poza gabinetem pierwszego sekretarza otoczonego członkami Biura Politycznego. Zawadzki pełnił wiele funkcji, przede wszystkim jednak był wojewodą śląsko-dąbrowskim w latach 1945–1948. To on odpowiadał przed władzami w Warszawie za powołanie, organizację i kontrolowanie obozów na Górnym i Dolnym Śląsku. Wiedział o wszystkim i można śmiało napisać, że ponosił główną odpowiedzialność za śmierć wszystkich więźniów w obozach. Aleksander Zawadzki osobiście zlecił budowanie Łambinowic, wydając zarządzenie w tej sprawie staroście niemodlińskiemu Władysławowi Wędziszce.

W oddziale Archiwum Państwowego w Katowicach można znaleźć dokument:

Zebrani postanowili na podstawie danych przedstawicieli Starostwa Powiatowego (...) w obliczu niemożności rozwiązania innymi drogami problemu osiedlenia na terenie naszego powiatu – stworzenie obozu koncentracyjnego dla Niemców.

Obrano były obóz karny jeńców wojennych w Łambinowicach, mogący pomieścić bez trudności około 20 000 ludzi.

Komendantem obozu zaproponowano ob. Członka M.O. Gemborskiego Czesława.

(...) Opieramy się o instrukcje Wojewody Śląsko-Dąbrowskiego nr. 88 L.dz. Nr. W-P--r-10-2/45 z dnia 18.06.1945.

Podpisano: starosta powiatowy wraz z zastępcą, sekretarz powiatowy PPR, komendant powiatowy MO, komendant komisariatu MO oraz rejonowy inspektor osadnictwa.

Założenie obozu zlecił Zawadzki i sprawa Gęborskiego (błędnie nazywanego w piśmie Gemborskim) mogła spowodować, że towarzysze, nie widząc innego wyjścia, nie chcąc też za wszelką cenę bronić kogoś związanego z poprzednią ekipą, poświęciliby generała Zawadzkiego, sprawiedliwie czyniąc go jednym z głównych odpowiedzialnych za okres błędów i wypaczeń. Zacytowany dokument

nie był problemem, gdyż ujrzał światło dzienne dopiero w 1990 roku, problemem był zapędzony w kozi róg Gęborski.

Nowa ekipa postanowiła spełnić oczekiwania Ślązaków popierających Gomułkę i wytoczyć mu proces. Możliwe, że był to element gry o wpływy z Zawadzkim, który na skutek aresztowania Gęborskiego i postawienia mu tak makabrycznych zarzutów znalazł się w głębokiej defensywie politycznej.

W Wikipedii można znaleźć przychylną Zawadzkemu notę biograficzną. Napisana na pierwszy rzut oka rzetelnie, poprawnym językiem, porusza jednak gniazdo os:

W sierpniu 1945 roku jego interwencja u marszałka Konstantego Rokossowskiego doprowadziła do uwolnienia 12 tys. Górnos Ślązaków przetrzymywanych na terenie dawnego obozu Auschwitz przed wywózką na wschód.

To tylko częściowo prawda.

*

Proces komendanta rozpoczął się w marcu 1958 roku i trwał rok. Sąd wojewódzki w Opolu zapoznał się z dowodami, zeznaniami świadków zebranymi przez prokuraturę, wysłuchał gorączkowych zaprzeczeń głodującego w areszcie komendanta i po dwudziestu posiedzeniach wydał wyrok na młodego porucznika MO, którego przystojna twarz budzi dziś skojarzenia z Grigorijem Saakaszwilim, jednym z bohaterów serialu *Czterej pancerni i pies*.

*

Czesław Gęborski nie miał łatwego życia. Urodził się w czerwcu 1924 roku w Dąbrowie Gómiczej. Jako osiemnastolatek trafił do jednego z niemieckich obozów pracy na Śląsku. Poznał tam dowódcę 2. plutonu IV Okręgu Grupy „Norwid”, partyzanta Armii Ludowej, porucznika Jana Sulczyńskiego, którego zeznania będą miały zasadniczy wpływ na wyrok. Porucznik powie:

Razem z Gęborskim uwolniliśmy w kwietniu 1943 szesnastu jeńców sowieckich pracujących na kopalni „Wirek” i przenieśliśmy się do lasu, gdzie Gęborski pod moim dowództwem brał udział w walkach partyzanckich w okolicach Olkusza. W 1944 wpadł w ręce Niemców i osadzony został w obozie w Mysłowicach. W czasie transportu do Oświęcimia został odbity przez oddział „Czarnego”. Musiał ukrywać się, gdyż był wyczerpany i chory oraz nie mógł przez jakiś czas znieść trudów leśnego życia. Przez cały czas brał udział w walkach z niemieckim najeźdźcą, był dzielny i odważny. Mimo młodego wieku uzyskał stopień sierżanta. Z chwilą wyzwolenia

przystąpił natychmiast do służby w MO, tępiąc Niemców na terenie Śląska.

Gęborski musiał być ważny dla partyzantki, skoro go odbito, a może pociągiem do Auschwitz razem z nim jechali jeszcze inni żołnierze Armii Ludowej. Ani AK, ani AL nigdy nie organizowały akcji, w których chodziło o powstrzymanie Zagłady. Ataki na pociągi do Auschwitz zawsze wiązały się z odbiciem ściśle określonych osób i w świetle wszystkich transportów były tak incydentalne, że nie wymagały od Niemców przeprowadzających akcję „Reinhardt” nawet jednego strzelca wśród załogi pociągu. Nigdy. Również w połowie 1944 roku, kiedy krematoria pracowały powyżej swojej mocy przerobowej, spalając setki tysięcy Żydów, przede wszystkim węgierskich.

Najlepiej było zatrzymać pociąg do Auschwitz w jednym z małopolskich wąwozów. Długich, z widocznością na kilometr, lekko wygiętych w łuk. Kiedy maszynista widział z dala partyzantów rozstawiających na torach ckm, od razu zaciągał hamulce, jak gdyby wiedział, że to konieczne, że postój nie potrwa długo, a cenny pociąg, który dzięki wytrwałości i wpływowi Eichmanna miał pierwszeństwo nawet przed amunicją i lekami jadącymi na front wschodni, ruszy po kilkunastu minutach. Partyzanci biegali wzdłuż składu i wykrzykiwali nazwisko kolegi, starając się przekrzyczeć tysiące łkań, jęków i błagań.

Czesiek Gęborski, Polak z krwi i kości, usłyszał, odkrzyknął i podczołgał się do przesuwanych drzwi, żeby wyskoczyć, gdy tylko się uchylą.

*

Mimo opinii przełożonych z Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach, którzy nazwali Gęborskiego „wybitnym funkcjonariuszem”, proces zaczął się dla niego źle.

Ignacy Szypuła, współoskarżony oraz podwładny komendanta, na jednej z pierwszych rozpraw zeznał, że faktycznie bił więźniów kolbą pistoletu maszynowego i gumowym biczem oraz kopał. Jak twierdził, dopuszczał się tego za zgodą i wiedzą komendanta, który przekonywał go, że to jedyna sprawiedliwa kara za zbrodnie dokonane przez Niemców. „Ponadto obiecano mu za to awans na plutonowego. To kopał”.

W notatce sporządzonej wspólnie przez prokuratora wojewódzkiego prowadzącego śledztwo oraz wiceprokuratora z Prokuratury Generalnej napisano, że wyliczone przestępstwa w zasadzie nie budzą wątpliwości.

Zeznawało stu byłych więźniów Łambinowic.

Większość spośród nich widziała, jak Czesław Gęborski przystawia broń do głów zdeorientowanych pożarem więźniów i pociąga za spust, w jednej chwili „jak gdyby naciskając przełącznik” pozbawiający tych ludzi wszelkiej energii.

Gęborski zaprzeczał. Twierdził, że wszystkie przedstawione zarzuty to „szowinistyczna prowokacja popaździernikowa” wymierzona w niego przez tych Ślązaków, którzy doszli do władzy czy też uzyskali pewne wpływy, a w epoce minionej byli wrogami systemu. A więc odwet. Zemsta.

Osiemnastego kwietnia 1959 roku sąd wydał wyrok. W uzasadnieniu podano:

Sąd doszedł do głębokiego przekonania, że rozbieżności i sprzeczności w zeznaniach świadków są tak istotne, że zeznań tych nie można przyjąć jako wiarygodnego dowodu winy oskarżonych. Zeznania bowiem oparte są na zbiorowej psychice, którą tworzyły wyimaginowane twory. Oceniając bowiem w sposób jak najbardziej obiektywny dowody winy i niewinności oskarżonych, sąd doszedł do wniosku, że zasada rozstrzygania wszelkich wątpliwości na korzyść oskarżonych ma w niniejszej sprawie pełne zastosowanie.

*

Andrzej Jurkowski nie ma racji, Zawadzki nie wrobił Gęborskiego, sprawa komendanta była elementem większej gry. Zawadzki zawarł układ z Gomułką: zaproponował wszystkie swoje znajomości, wpływy oraz bezwzględną lojalność w zamian za bezkarność i zachowanie funkcji przewodniczącego Rady Państwa. Gomułka miał go na widelcu, wystarczyłoby, że sąd orzeknie sprawiedliwie, na podstawie dowodów i zeznań. Rozwiązałoby to pierwszemu sekretarzowi ręce, umożliwiło wielki proces Zawadzkiego jako kata Śląska.

Gęborski nie był głupi. Choć aresztowanie go zaskoczyło, słusznie uznał, że sprawa ma podłoże polityczne. Podjął głodówkę, by skontaktować się nie z Zawadzkim, ale z jego zwierzchnikami. Ci jednak wiedzieli, że chodzi o donos dotyczący spraw doskonale im znanych, więc odmówili.

Przyjechał za to ten, na którego Gęborski chciał zepchnąć podczas procesu całą odpowiedzialność – Aleksander Zawadzki.

Jesienią 1957 roku, bez munduru, świty i kolumny samochodów, znowu przypominał skrupulatnego księgowego: uczesany z przedziałkiem, filigranowy okularnik wszedł późnym wieczorem do sali, w której głodował więzień.

Kilka dni później, niespełna dwadzieścia cztery godziny przed ogłoszeniem aktu oskarżenia, komendant postanowił przerwać głodówkę. Wysłał także oficjalne pismo do prokuratury, które jest dziś dostępne w archiwum Służby Więziennej w Opolu. Gęborski zwraca się w nim o wyłączenie z akt śledztwa wszystkich dokumentów, w których jest mowa o przewodniczącym Rady Państwa. Prokuratura przychyliła się do jego prośby.

Trzydzieści trzy lata później, podczas rozmowy z dziennikarzem znającym prawdę, na pytanie, dlaczego zdecydował się kryć głównego zbrodniarza, komendant odpowie: „Jako Polak nie mogłem

pozwoić na to, aby plugawiono nazwisko przewodniczącego Rady Państwa”.

W istocie układowi z Zawadzkim Gęborski zawdzięczał wszystko, co dostał w okresie PRL: lekką pracę i dobrą emeryturę. Najważniejsze jednak było wcześniejsze oddalenie przez sąd żelaznych dowodów zbrodni i napisanie w uzasadnieniu o zbiorowej halucynacji świadków.

*

Dokładnie rok po wyjściu na wolność Czesław Gęborski postanowił wytoczyć proces Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Chciał odszkodowania za sześć miesięcy spędzonych w areszcie. Żądał dwustu tysięcy złotych. To w 1960 roku było bardzo dużo – odpowiednik dzisiejszych czterystu tysięcy. Porucznik uzasadniał roszczenie szeregiem krzywd, których doznał, szkodami moralnymi i materialnymi.

– Może on faktycznie był niewinny.

– No był, Czesław był niewinny, proszę pana – zapewnia mnie Andrzej Jurkowski. – Żaden inny człowiek nie zdecydowałby się na takie pchanie palca między drzwi.

– Mógł też być pewien, że chroni go uścisk dłoni z Zawadzkim, i zagrać o parę złotych.

– Że co?

– Że to mogłaby być manifestacja poczucia bezkarności. Bezcelność, którą dość trudno sobie wyobrazić.

– Był niewinny.

Pod koniec 1960 roku Sąd Wojewódzki w Opolu oddalił wniosek o odszkodowanie. W uzasadnieniu można doczytać się czegoś, co dla jednych będzie klasyczną prawniczą formułą, dla innych – ostrzeżeniem mającym ostudzić rozhasanego komendanta:

W Wyroku (...) podkreślono w sposób dobitny, że w danej sprawie – wobec rozbieżności i sprzeczności w zeznaniach poszczególnych świadków – należy zastosować zasadę rozstrzygnięcia wszelkich wątpliwości na korzyść oskarżonego.

Wynika z tego, że nawet rozprawa nie rozwiązała wszelkich wątpliwości, tym mniej można mówić o ich braku w chwili aresztowania podejrzanego.

Kilka dni po powrocie z sądu Gęborski opowie swojemu przyjacielowi, Andrzejowi Jurkowskiemu, jak ktoś zastąpił mu drogę, w środku miasta, w biały dzień, i chwycił oburącz za poły płaszcza. „Nie zygaj, śmieciu, bo do hasioka trafisz”. Gęborski postanowił się posłuchać.

*

Na początku lat sześćdziesiątych porzuca pracę w milicji i wiąże się ze Służbą Bezpieczeństwa. Wie, że praca będzie trudniejsza, przełożeni bardziej wymagający i przebiegli, ale za to pieniądze lepsze. Przydadzą się. Od 1954 roku Gęborski jest mężem Jadwigi Gęborskiej, którą poznał jeszcze jako łambinowicki komendant. Wiele nocy spędzał poza obozem. Jechał samochodem przez lasy do ukochanej, by z samego rana znów stać na posterunku: w spodniach na szelkach, bez marynarki od munduru, z kaburą do makarowa dyndającą pod pachą.

Reporterka Magdalena Grzebałkowska na przykładzie komendanta Gęborskiego leciusięko dotyka tematu polskich obozów w książce *1945. Wojna i pokój*. Pisze:

Czy Czesław opowiada Jadwidze o życiu w obozie? Żeby rozbawić dziewczynę, mówi o więźniarkach, które stoją na placu apelowym z zadartymi spódnicami? O nakładaniu niemieckim wieśniakom żołnierskich hełmów na głowę i waleniu ich kijami tak długo, aż pocieknie krew po twarzach? O synach zmuszanych do śpiewania i deptania po swoim ojcu, aż ten umrze? O tym, że kopanie więźnia butami w ostrogach jest tak męczące, aż trzeba go na końcu zastrzelić?

W istocie, mógłby o tym wszystkim Czesław Gęborski opowiedzieć, ale wystarczy rzut oka na zeznania procesowe byłych więźniów Łambinowic, by się przekonać, że reporterka wybrała jako szokujące fakty, które Niemców w Łambinowicach przyprawiły zaledwie o „lekkie cierpienie”. Nie napisała o chodzeniu po sztych ciężarnym Niemcem, noszącym dzieci polskich strażników, ani o kościach czaszki, które potrafiły niewprawnym strażnikom Łambinowic wybić oko, bo przykładali pistolety pełnym obwodem lufy w najtwardszym, potylicznym miejscu.

Czesław i Jadwiga adoptują w latach siedemdziesiątych dziewczynkę z niemieckiego domu dziecka.

– Bo on nie miał nic do Niemców, nic – mówi Jurkowski, który jest przekonany, że Łambinowice zabiły mu przyjaciela. – Był wtedy młody i głupi. Na pewno nie zrobił tego, co mu się przypisuje. Proszę się przyjrzeć sprawie. On jest po prostu niewinny. Kochał swoje dziecko.

*

Po przejściu do SB Gęborski nie staje się bezwzględny śledczy: ścigającym, podsłuchującym, werbującym tajnych współpracowników. Przeciwnie, okazuje się, że jest niezwykle wprost leniwy. Unika pracy, mimo że niektóre etaty powstają specjalnie dla niego. Zapewne dzięki Zawadzkiemu.

Najpierw, w 1960 roku, zostaje inspektorem szkolenia operacyjnego SB Kierownictwa Jednostek Bezpieczeństwa KW MO Katowice. Nie utrzymuje się jednak długo na tym stanowisku. Po roku obejmuje stanowisko inspektora szkolenia zawodowego w Samodzielnej Sekcji Kadr i Szkolenia.

– To nic nie znaczy. Inspektor do spraw ważnych, nawet to sformułowanie „inspektor szkolenia

Sekcji Kadr i Szkolenia”. Nie wiem, czym się tam zajmował, przyjmowaniem pensji – mówi Janusz Kulesza, były oficer Służby Bezpieczeństwa. Nerwowy. Pali papierosa za papierosem i pije piwo tej samej marki, której logo widnieje na parasolu w barze na warszawskim Bródnie. – Dużo takich było, którzy się opierdalali, a kasę brali. Jeden od tej, drugi od tamtej grubej ryby. Jakiś pociotek, szwagier, nieutalentowany syn. Jak przyszedł Gierek, to po roku gwarą zaczęło zalatywać na korytarzu.

Dla Gęborskiego przyście Gierka oznaczało koniec pracy. Nie można użyć słowa: kariera. Zanim w stopniu majora przeszedł na wcześniejszą emeryturę, aby spędzić na niej trzydzieści dwa lata, pełnił jeszcze odnotowaną w aktach funkcję inspektora szkolenia i doskonalenia zawodowego KW MO Katowice, przez trzy lata był także słuchaczem kursów starszych inspektorów i inspektorów szkolenia zawodowego. Na końcu jego teczki osobowej można znaleźć napisaną okrągłymi zdaniami laurkę, w sam raz dla tych, którzy odchodzili z powodu przemian politycznych. Pułkownik Służby Bezpieczeństwa Jan Boboń pisze między innymi:

Wymieniony jest samodzielnym pracownikiem i jako inspektor szkolenia posiada wieloletnie doświadczenie. Organizacja pracy mjr. Gęborskiego w tym zagadnieniu nie budzi zastrzeżeń. Dbą o terminowe sporządzanie planów szkolenia oraz dobór właściwych tematów i wykładowców.

Ma zawsze zadbane wąsy i bujną, wypomadowaną fryzurę. Na emeryturze zamierza zwiedzić Europę Wschodnią oraz kilka socjalistycznych krajów, w tym Kubę.

– Ale zwróć, kurwa, uwagę, co jest największą jego zaletą wymienioną przez tego Bobonia – śmieje się Kulesza. – Nie, że fachowiec, kreatywny, pracowity, pomysłowy. On jest samodzielny. Że nie trzeba go już po dwudziestu pięciu latach służby prowadzić za rękę. Kurwa, mistrz!

*

W 1990 roku Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu postanawia wszcząć trzecie postępowanie przeciwko Czesławowi Gęborskiemu. Jest jednym z pierwszych celów opolskiego oddziału Komisji. Tak też będzie to oceniał: zemsta nowej władzy. Już raz to przerabiał.

Pisze oświadczenie do wiadomości Komisji oraz wszystkich zainteresowanych jego sprawą.

1. W drugiej połowie lipca 1945 roku otrzymałem rozkaz zorganizowania Obozu Pracy w Łambinowicach dla osadzenia tam Niemców będących w aresztach MO i UB oraz niektórych jednostek wojskowych.

2. Po nominacji – udałem się na zwiedzenie całego obozu, w wyniku czego wybrałem mały kwadrat obozu na kilkaset osób. Był to „czysty” obóz w tym sensie, że w tym olbrzymim

obozie, gdzie przebywało kilkaset tysięcy niewolników jednorazowo, nie było baraku, gdzie na pryzkach nie leżałyby trupy żołnierskie. Tu tego nie było. O wyborze tego miejsca decydował fakt, że na placu leżały opaski biało-czerwone, furażerki z symbolami polskimi, wstążki, fartuszki itp. rzeczy, co świadczyło, że przebywali tu Polacy z Powstania Warszawskiego.

3. W moich rozmowach z Niemcami ci opowiadali, że w rowach strzeleckich trzymano także kobiety i dzieci polskie, które ulegały zagładzie. Niemcy nie umieli, względnie nie chcieli wskazać miejsca tej zbrodni.

4. W końcu lipca 1945 roku otrzymałem do swej dyspozycji ochronę (około 30 ludzi) i do obozu zaczęli napływać zatrzymani SS-owcy, naziści itp.

5. W toku procesu [1957–1959] Niemcy mówili, że jedzenie było skromne, ale głodem nikt nie przymierał. Przy tym zleciłem strażnikom, by Niemcy pracujący na zewnątrz obozu bez ograniczeń odbierali – po uprzednim stwierdzeniu, co im się podaje – żywność od Niemców, z którymi się mieli możliwość zetknąć.

6. Podobnie do bajek można zaliczyć bicie Niemców w obozie. Spośród 70 świadków zeznających na procesie ani jeden nie stwierdził, że został pobity lub widział bitych Niemców.

7. W pierwszych dniach października 1945 roku wybuch pożar w obozie. Ogień podłożyła zbrodnicza ręka, ale na pewno nikt z administracji obozu. Podpalono magazyn z zapasowymi kocami i papierowymi siennikami. Przed tą częścią załogi, która w tym czasie była w obozie, stanął problem:

– albo rozpuszczenie całego obozu, a wtedy obóz spłonąłby jak zapalka, i to nie tylko kwadrat zajęty dla osadzonych Niemców (...)

– albo pójście wobec uciekających Niemców na siłowe rozwiązanie i wymuszenie ugaszenia pożaru. Gaszenie pożaru było bardzo utrudnione, ponieważ Niemcy opuszczający obóz zniszczyli cały system wodno-kanalizacyjny. Wodę co pół godziny dowożono do obozu beczkowozem. Pozostał zatem piach. Piachem też ugaszono.

8. Ostatnio Niemcy na moim tle szaleją. Powołują w Niemczech komisje do badania zbrodni popełnianych przez Polaków na Niemcach w tym obozie. Wypisują stek kłamstw. Piszą także, że występuję pod innym nazwiskiem i ukrywam się.

9. W 1945 roku instrukcje, jakie otrzymywaliśmy o traktowaniu Niemców, podkreślały – „Hitlerzy przychodzą i odchodzą, naród niemiecki pozostanie”. Prokuratura wojskowa z całą surowością karała wszelkie niewłaściwe czyny stosowane wobec Niemców. Czyż dopuszczając się czynów zbrodniczych, nie zdawałem sobie sprawy, że mogę życie stracić względnie całe lata spędzić w więzieniu?

10. Nie tylko dlatego nie wyrządziłem krzywdy Niemcom, po prostu nie było powodów.

Każdy Niemiec z buty przeszedł na niewyobrażalne poddaństwo. Gdy się z nim rozmawiało, stał jak struna na baczność i pierwszy zawsze krzyknął „Hitler kaputt”. Wyglądało to żałośnie, nawet obrzydliwie.

Ale niestety, Niemcy tacy już są. Gdy są w sile, nie mają litości dla swych ofiar, gdy z kolei sami popadną w podobne tarapaty, z wielką służalczością są gotowi buty każdemu lizać.

Czesław Gęborski,
Katowice, 11 października 1990

Wystarczy czytać uważnie i ze znajomością realiów epoki, żeby dostrzec kontrowersje. To nie dowodzi winy komendanta, ale budzi poważne obawy o jego prawdomówność. Z jakimi Niemcami mógł Gęborski swobodnie rozmawiać i podczas tych pogawędek dowiadywać się o zbrodniach hitlerowskich? Którzy spośród tych Niemców najpierw mówili o zagładzie kobiet i dzieci, a później „nie umieli, względnie nie chcieli” wskazać miejsca pochówku? Żadni, cała ta historia jest wyssana z palca. Obóz łambinowicki założono na terenie zespołu jenieckich obozów Wehrmachtu: Stalagu VII, Stalagu VIII F/318, Stalagu 344. Podczas wojny nie trafiały tam kobiety i dzieci, nie odbywało się masowe mordowanie. Prawdą natomiast jest, że przez krótki okres, do momentu przesiedlenia do stalagów w głębi Rzeszy, przebywali tam jeńcy z powstania warszawskiego. Nie jest prawdą, że do polskiego obozu zarządzanego przez Gęborskiego kiedykolwiek „napływali SS-owcy, naziści itp.”. Miał to być typowy obóz przesiedleńczy dla ludności cywilnej z utraconych przez Niemcy terenów Śląska Opolskiego.

Idźmy dalej. W aktach sprawy z lat pięćdziesiątych nie ma ani jednego zdania dotyczącego dobrej aprowizacji obozu. Przeciwnie, mówi się o tym, że Gęborski jako komendant starał się dzielić ludzi, nagradzając jedzeniem chętnych do donosicielstwa. Nagradzał nim również za wrogość wobec współosadzonych. Bicia w obozie nie można zaliczyć do bajek. Nieprawdą jest, że nikt tak nie zeznał. Gęborski miesza kłamstwo z prawdą.

Ubitym piachem z obozowego dziedzińca można było zgasić co najwyżej ognisko, a nie kilkumetrowe języki ognia strzelające z okien baraku. Pożar zgasł, kiedy się wypalił. Przewrotnie pisze były komendant o zagrożeniu więzieniem, które realnie zajrzało mu w oczy dopiero podczas sporządzania oświadczenia. Gęborski liczył na naiwność i nieznajomość epoki tych, którzy zechcą go rozliczać. To sprytny zabieg, bo w Polsce przede wszystkim uczymy się historii politycznej, nie społecznej. Możemy zatem nie wiedzieć, że tuż po wojnie w kraju panował strach, panoszył się szaber, życie ludzkie znaczyło niewiele, w lasach zacięcie walczył WiN, a słowo „Niemiec” w oficjalnych pismach urzędowych pisano małą literą. Nie wiedząc tego, trudno tak naprawdę uwierzyć, że Gęborski mógł mieć wolną rękę i zabijać ludzi do woli.

Tylko czy tak rzeczywiście było?

*

Przez dziewięć lat, do 1999 roku, prokuratura zbierała dokumenty, dowody oraz zeznania wciąż żyjących byłych więźniów Łambinowic. Ci, którzy nie mogli przyjechać do Opola ze względu na zaawansowany wiek, zostali odwiedzeni przez śledczych w domach, również w najodleglejszych zakątkach Europy. Przesłuchano wszystkich żyjących świadków.

I po raz pierwszy od czasów sądenia zbrodniarzy nazistowskich w Polsce postawiono zarzut ludobójstwa.

*

Gęborski to król obozowego magazynu z zaopatrzeniem. Apropozycja Łambinowic jest fatalna, podobnie jak innych śląskich obozów MBP – tym trudniej więc upilnować, by nikt z załogi niczego nie ukradł. Dlatego Gęborski, zamiast zapobiegać, postanawia się z ewentualnymi złodziejami dogadywać. Towar sprzedaje wszystkim, którzy mają pieniądze. Cena podlega negocjacom, dlatego kiedy komendant orientuje się, że w magazynie zaopatrzeniowym brakuje tyle, że jakakolwiek, nawet pobieżna kontrola z centrali może bez trudu wykazać niegospodarność, wpada na pomysł. Jeśli jest coś, co Gęborski może przypłacić stanowiskiem, a nawet wolnością, to kradzież, a nie zabicie Niemca. Wie o tym i ma zamiar postąpić zgodnie z logiką, którą po latach opisze w oświadczeniu, przemilczając jednak prawdę. Chce zapobiec kłopotom. Razem ze swoim zastępcą Ignacym Szypułą oraz innymi członkami załogi Gęborski kilka minut przed godziną dwudziestą trzecią polewa benzyną i podpala barak zaopatrzeniowy. Chwilę później nakazuje zbudzenie wszystkich więźniów i zapędzenie ich do akcji gaszenia. W obozie nie ma wody, ostatni beczkowóz był po południu, więźniowie nie wiedzą, jak się zabrać do gaszenia, panuje chaos, ludzie biegają, krzyczą. Komendant wydaje wcześniej ustalony rozkaz. Wyjmuje z kabury mauzera i mówi, przekrzykując zgiełk, że oto wraz z załogą jest świadkiem próby spalenia baraku i ucieczki z obozu. Strzela pierwszy. W głowę przebiegającego obok niemieckiego chłopca. Za chwilę strzały padają ze wszystkich polskich luf. Po kilku minutach trzydzieści osiem osób nie żyje, a drugie tyle leży ranne na ziemi. Wszystkich wrzuci się do głębokich rowów wykopanych jeszcze za dnia przez innych więźniów. Po wielu latach niektórzy zeznają, że Gęborski nie strzelał, tylko siekierą zaganiał ludzi pod lufy swoich kolegów. Pilnował natomiast, żeby każdy z jego podkomendnych kogoś zastrzelił.

Prawdą okazały się także zarzuty postawione przez prokuraturę w śledztwie z lat pięćdziesiątych: Gęborski mordował kobiety w ciąży, rozjeżdżał samochodem ludzi, gwałcił, bił na miazgę i strzelał w tył głowy. W Polsce stalinowskiej Gęborskiemu nie dorównał okrucieństwem nikt. W tym momencie

mogłoby się pojawić zdanie wymieniające wiele osób o podobnym życiorysie: Aloisa Brunnera, Dinka Šakicia czy Milivoja Ašnera. Byłoby takie porównanie uprawnione i uczciwe wobec Polaka z dziada pradziada, czy raczej wprowadzałoby chaos, mieszając ofiary z oprawcami i relatywizując niemieckie zbrodnie hitlerowskie?

A może takie porównania są nieuprawnione, dlatego że dotyczą człowieka wciąż, w świetle prawa, niewinnego?

*

Artykuł 118a Kodeksu karnego Rzeczypospolitej Polskiej:

§ 1. Kto, biorąc udział w masowym zamachu lub choćby w jednym z powtarzających się zamachów skierowanych przeciwko grupie ludności podjętych w celu wykonania lub wsparcia polityki państwa lub organizacji:

1) dopuszcza się zabójstwa,

2) powoduje ciężki uszczerbek na zdrowiu człowieka,

3) stwarza dla osób należących do grupy ludności warunki życia grożące ich biologicznej egzystencji, w szczególności przez pozbawienie dostępu do żywności lub opieki medycznej, które są obliczone na ich wyniszczenie, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 12, karze 25 lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności.

To artykuł dotyczący ludobójstwa, wprowadzonego do światowego prawodawstwa po II wojnie światowej. Pierwszy paragraf wyklucza możliwość zasłaniania się przymusem wykonywania rozkazów przełożonych.

– Przyszli po Czesia – pamięta Jurkowski – chociaż się spodziewał, wiedział, że zemsta zwycięzców po 1989 roku go nie ominie. Kiedy razem siedzieliśmy na tej kanapie, co i pan teraz na niej siedzi, to tylko patrzył smutno i mówił, że mu nie popuszczą i trzeba było zginąć na wojnie, walcząc o lepszą Polskę. Ale, Czesiu, ja mówię, tobyś umarł, mając dziewiętnaście lat, nic byś nie przeżył. A on: „A co takiego przeżyłem, żeby teraz, na stare lata, być ciąganym po sądach”. Tak go zaszczuli, że on mi innymi słowami powiedział... no, że lepiej się mu było nie urodzić.

*

Oskarżony nie pojawia się na niektórych rozprawach, ale to nie gra na czas – w komendancie zaczyna dojrzywać poczucie nieuchronności kary. „Ciekawe, ile lat pożyję w tym więzieniu za to coś”, powie raz półgębkiem na sali rozpraw.

Gęborski choruje na serce przez cały okres trwania procesu, jednak dopiero pod koniec zeznań

wszystkich świadków, tuż przed wizją lokalną, trafia do szpitala.

„Nie chce jechać, nie był tam przez sześćdziesiąt lat”, nie dziwi się prokurator.

Musiałyby jeszcze raz zobaczyć gigantyczny teren trzech niemieckich stalagów i wskazać, gdzie, w którym dokładnie miejscu, wydzielili i kazał ogrodzić drutem kolczastym teren przyszłego obozu dla Niemców. Zapewne przypomniłyby sobie swoją trasę po opuszczonym terenie obozów jenieckich, która zakończyła się brutalnie: Gęborski znalazł barak pełen zmumifikowanych ciał ubranych w resztki radzieckich mundurów. To przez głód się nie rozłożyły, tylko zmumifikowały, zastygły w pozycjach typowych dla śpiących: na wznak, z oczami wpatrzonymi w sufit, na boku, z dłońmi trzymającymi naciągnięte koce. Niektórzy zmumifikowali się na siedząco, na barakowych nieosłoniętych latrynach w końcu budynku.

Stalagi wzniesione przez Niemców na ogromnym obszarze, pomiędzy Łambinowicami, Goszczowicami a nieistniejącą już wsią Klucznik, mogły pomieścić trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Od 1939 roku przetrzymywano tam polskich żołnierzy z kampanii wrześniowej, Francuzów, którzy dostali się do niewoli w maju 1940 roku, Włochów, Greków, Amerykanów pojmanych podczas kontrofensywy w Ardenach, Belgów, powstańców warszawskich. I w końcu żołnierzy Armii Czerwonej, którzy stanowili największą grupę. Gęborski w 2006 roku zobaczyłby tutaj wielki pomnik Martyrologii Jeńców Wojennych, wzniesiony cztery lata po przegranej przez niego sprawie o dwieście tysięcy złotych zadośćuczynienia.

Musiałyby w końcu Czesław Gęborski wskazać podczas wizji lokalnej szereg miejsc po barakach, które wybrał dla swoich Niemców. Dokładnie: stanąć w północnej części obozu, na miejscu spalonego magazynu, przy którym dopuścił się zbrodni, i kłamać.

Zostałyby skonfrontowany z szesnastoletnim dochodzeniem, podczas którego śledczym udało się ustalić, że podczas pożaru:

- Dziewięciu niemieckich więźniów oraz pięć kobiet spaliło się żywcem, a śmierć ich potwierdził jeden z członków załogi, pełniący funkcję felczera.
- Czterdziestu dwóch mężczyzn oraz osiemnaście kobiet zmarło od postrzału.
- Siedmiu mężczyzn oraz trzy kobiety wyciągnięto siłą z izby chorych, ogłuszono kolbami i żywych wrzucono do grobu.
- Dwudziestu ośmiu mężczyzn oraz dziewiętnaście kobiet zmarło w ciągu następnych godzin w konsekwencji odniesionych ran.

Dziewiątego czerwca 2006 roku sąd zwrócił się do oskarżonego Czesława Gęborskiego z pytaniem, czy zgadza się na prowadzenie rozprawy sądowej pod jego nieobecność. Wizja lokalna musiała poczekać.

Pięć dni później osiemdziesięciodwuletni komendant Łambinowic dostał wylewu krwi do mózgu.

Dzisiaj

W 2010 roku w czeskiej telewizji publicznej w porze największej oglądalności wyemitowano film *Zabijanie po czesku*. Opowiada on o masakrach na Niemcach sudeckich dokonanych w latach 1945–1947. Mordowała czeska komunistyczna Gwardia Rewolucyjna. W Czechach również istniały obozy koncentracyjne dla niemieckiej ludności cywilnej.

Film mówił między innymi o obozie Linzer-Vorstadt, który był pomniejszoną wersją Dachau. Dla uwięzionej ludności niemieckiej ustanowiono reżim ściśle wzorowany na tym, czego Czesi sami zaznali z rąk nazistów. Zamiast „Arbeit macht frei” nad bramą obozową wymalowano: „Oko za oko, zub za zub”.

„To nie Armia Czerwona, to my”, podkreślali historycy w studyjnej rozmowie po emisji filmu.

„Dlaczego kalacie własne gniazdo, to Niemcy nas okupowali, wywołali wojnę światową. Zasłużyli sobie”, podniosły się głosy oburzonych Czechów.

„To patriotyczny gest. Nie można żyć obsesją niewinności. Powinniśmy oddzielić zbrodnie niemieckie od tego, co wyprawialiśmy po 1945 roku – odpowiadał twórca filmu, David Vondráček. – Na tym polega kultura pamięci. Na wyzbyciu się czarno-białego oglądu historii, na uciszeniu głosu, który w pierwszym odruchu mówi, że relatywizujemy zbrodnie wojenne nazistów niemieckich, mówiąc o naszych winach. Bo prawda leczy”.

Bo, jak pisała Aleida Assmann, popularna niemiecka kulturoznawczyni:

pamiętanie przedstawiane jako dobro kulturowe oznacza postęp cywilizacyjny, a także środek przeciw nawrotom przemocy. Tyle że chodzi o nowy sposób pamiętania, który nie odwołuje się już tylko – jak bywało wcześniej i co wciąż jeszcze jest praktykowane – do własnego bohaterstwa i cierpień. Dzięki objęciu kulturą pamięci odpowiedzialności za własne winy i empatii wobec cierpień innych brzemień historii może przekształcić się w wartość dla przyszłości.

Opinie tego typu jasno formułuje również Hannah Arendt w *Korzeniach totalitaryzmu*:

Nie można sobie dłużej pozwalać na czerpanie z przeszłości tego, co było w niej dobre, i nazywanie tego po prostu dziedzictwem, a odrzucanie rzeczy złych, jak martwego ciężaru, który sam czas pogrzebie w zapomnieniu.

Arendt dodaje też:

Przeszłości nie da się traktować wyłącznie jak „martwego ciężaru”, lecz trzeba uwzględnić pamięć, która stanowi ciężar zmarłych i wyrządzonych im krzywd. Stawiają oni wymagania wobec teraźniejszości.

W jednym z wywiadów David Vondráček powiedział: „Telewizja dostała mnóstwo listów, ale tylko w co drugim były zarzuty o kalandryczność własnego gniazda i pytania, ile srebrników dostałem od Niemców. Spodziewałem się, że takich listów będzie najwięcej. Tymczasem ludzie pisali, że są w szoku, że dwadzieścia lat po upadku komunizmu trzeba ostatecznie wyjaśnić tę sprawę, że o zbrodniach na Niemcach nie można milczeć”.

==LUIqTCVLIASIAm9P4UBvRXRUPFLIRINOZFAOZAHAYLUMQ==

ZIMNO

Czyli czekanie
Annemarie Müller



W nocy na podjazd przewrócił się stuletni świerk, trzeba go będzie później odciągać działem samobieżnym. Nie wiatr go powalił, raczej ciężar; śnieg padał trzy tygodnie bez przerwy, aż dzieci bombardowane nieustanną propagandą Goebbelsa pochwały się Annemarie Müller, że znalazły doskonałe miejsca do popełnienia samobójstwa. Chodziły z dwumetrowym kijem i zaznaczały najgłębsze zasy. Bez sznurów, ostrzy i leków, po prostu trzeba poczekać do ostatniej chwili na Iwanów, a potem pobiec ile sił w nogach w wyznaczone miejsce.

Bo sływać nieustanne chrzęszczenie gąsienic, a jeśli po zmroku dobrze wyteży się wzrok, można, stojąc na marmurowych schodach, dostrzec cienie przemykających skulonych żołnierzy 1. Frontu Białoruskiego, którzy za dwa dni ruszą do bitwy o Poznań. Wielki neoklasycystyczny pałac w Górnicy jest jednak na razie dla nich jak gdyby niewidzialny, a na pewno mniej widoczny od pierścieni obrony, które miał przygotować Heinz Guderian, zamieniający miasto w twierdzę.

Wieś Górnica, nad którą króluje pałac, znalazła się w pierwszym, najbliższym pierścieniu, ale nawet tutaj nie dotarł ani jeden żołnierz Wehrmachtu, nie mówiąc o Waffen SS, które obiecał dowódca obrony Poznania. Rano 21 stycznia 1945 roku Annemarie Müller odebrała telefon od burmistrza Maiera, który powiedział, że na partyjnym spotkaniu ustalono, iż w pałacu zostaną zakwaterowani uciekinierzy z Łodzi, którzy usiłują przedostać się na Zachód, choć jego zdaniem lepiej byłoby ich kierować na północ, bo wciąż działają porty, od kilkunastu tygodni nieprzerwanie zajmujące się ewakuacją cywilów; na przykład taki „Wilhelm Gustloff” może zabrać jednorazowo dziesięć tysięcy ludzi, przerzucić ich do Rzeszy i za dwa dni stać w gotowości po następny transport.

- Kogo pani w tej chwili tam ma i kiedy zamierzacie się ewakuować?
- Rosjanie już tu są, gdyby chcieli, zajęliby pałac.

*

Zechcą dopiero kilka dni później. Następnego ranka Annemarie wyjdzie na schody, minie stajnie, obory i ogród i wciąż nie będzie mogła się nadziwić, że chrzęst gąsienic nagle umilkł, ustał, nie zostały po nich nawet ślady na szosie.

Dwudziestego drugiego stycznia z samego rana widzi tylko kilkunastu pędzących na koniach hiwi z mauzerami na sztorc, w kozackich czapach, do których sami sobie przyszyli emblematy SS. I to jest cała odsiecz dla Poznania, tych kilku Gruzinów, Łotyszy, Kazachów albo Ukraińców ma powstrzymać rozpędzoną Armię Czerwoną, która po półrocznym odpoczynku po prawej stronie Wisły rozpoczęła operację odrzańską i posuwa się trzydzieści kilometrów dziennie. A więc ci hiwi i Volkssturm złożony

z jej przyjaciół. Brudnego mauzera i trzy magazynki dostał pan Franz, urzędnik pocztowy, zawsze skrupulatny, szukający feniga reszty przez pięć minut. Polegnie za trzy dni, razem z dostawcą mleka do górzańskiego pałacu, uśmiechniętym, pogwizdującym panem Kalsterburnerem.

Annemarie Müller, trzydziestoletnia niemiecka dama, po śmierci męża jedyna właścicielka pałacu stojącego na drodze Armii Czerwonej, nie wie, co wydarzy się w ciągu nadchodzących dni, ale nie ma zamiaru wyjeżdżać i nie jest to decyzja podyktowana rozpaczą, zmęczeniem ani chęcią śmierci. Ma dla kogo żyć, dwoje jej dzieci ewakuowano w głąb Rzeszy i zapewne są bezpieczne. Jej mąż Kurt zginął od pocisku artyleryjskiego pół roku temu Bóg wie gdzie, hen, zapewne na bezkresnych równinach wokół wsi Prochorowka, kiedy w największej bitwie pancerniej zderzyło się po pięć tysięcy radzieckich i niemieckich czołgów. Dostała nieśmiertelnik i list, a to dużo, bo w tej wojnie ludzie znikają, całe plutony wyparowują od ostrzału „organami Stalina” i rodzinom pozostaje głupia nadzieja, że zaginięcie w akcji może oznaczać życie, a nie brak grobu.

Całe Górzno ucieka. Okoliczne miasteczka także: Leszno, Rawicz, Kościan. Na wozy pakują się nawet pracujące u Niemców Polki, ładne, o włosach w kolorze słomy, nie są naiwne. Dzieci kuzynki pani Müller, które szukały miejsca na ostateczne zapadnięcie się pod ziemię, płaczą i nie chcą wyjeżdżać, bo myślały, że wszystko wokół jest nie do końca na serio. Annemarie Müller powie po latach, że nie potrafiła zedrzeć filtra oddzielającego ją od świata poczuciem nierealności, które nasilał cudowny, baśniowy krajobraz wielkopolskiej zimy. Odwiozła dzieci do kuzynki, w głąb Rzeszy. I wróciła do Górzna.

*

Od rana bierze się do roboty. Nie jest jej wiele, w nocy przyszła grupa niemieckich żołnierzy i zabrała ze stajni prawie wszystkie konie, został tylko chory Manitou, pani na Górznie postanawia poświęcić mu większość dnia, bo takie czekanie, aż zjawi się... no właśnie kto? Umorusane, wyposzczone zwierzęta w walonkach, o mongoidalnych rysach? NKWD w odprasowanych mundurach? Takie rozważania mogą wpędzić w obłęd. Jej trzy polskie pokojówki też nie uciekają. W milczeniu wykonują swoją pracę i starają się być lojalne. Wczoraj Krystyna powiedziała: „Proszę pani, my się wcale nie cieszymy, że Sowietom idą”. Martwi się za to jedyna oprócz niej Niemka, Amanda Rauhut, żona leśniczego, która przedwczoraj urodziła dziewczynkę. Lars, jej mąż, wypił duszkiem kieliszek wina, trzymając go całą dłonią, jak blaszany kubek, otarł usta ręką i powiedział: „Kobietę w połogu chyba oszczędzą”.

Za trzy miesiące w obozie w Lesznie-Gronowie, do którego trafi, Annemarie Müller rozbawi wszystkich współwięźniów historią z dzisiejszego dnia. Około siedemnastej przyjedzie do niej osobiście szef lokalnego NSDAP, ten sam, który wcześniej telefonował, Maier. Zatrzyma samochód w narzuconej przez przewrócony świerk odległości, zaszaluje, powie:

– Przyjechałem panią zabrać, jeszcze dziś w nocy jadę do Berlina, będziemy nad ranem, mam tam siostrę i dom na obrzeżach miasta, proszę jechać ze mną.

– A więc to koniec?

– Tak, to koniec. – Maier skinął powoli głową, kiedy kilka kieliszków wina, którymi poczęstowała go właścicielka pałacu, zdarło z niego cienką warstwę obawy przed wygłaszaniem defetystycznych opinii, kwestionujących ostateczne zwycięstwo Rzeszy.

– Ja z panem nie pojedę, ale proszę powiedzieć komuś z naszej armii, że w piwnicach pałacu mam kilkaset butelek wina i nalewki, zbierało się to przez dekady, może teraz się przyda.

– Jeśli pani zostaje... – Maier spojrzał na Annemarie szklanymi oczami – jeżeli naprawdę nie chce się pani przekonać, żeby opuścić linię frontu, to ten alkohol może ocalić pani życie.

– Myślałam, że mógłby wesprzeć naszych.

– Kogo?

– Grupę Armii A.

– Jest fikcyjna. Ernst Mattern dowodzi w Poznaniu Volkssturmem, ludźmi, którzy jeszcze nie powinni albo już nie mogą pić alkoholu. Zamienił to miasto w bunkier, na polecenie Guderiana, i dlatego walki o nie mogą potrwać długo.

*

Trzy miesiące później pałac w Górninie odwiedzi główny odpowiedzialny za stworzenie systemu powojennych obozów koncentracyjnych dla Niemców – major Teodor Duda. Bystry, przystojny, pewny siebie, przejdzie przez duży hol, w którym nie będzie już ani jednej rzeźby, żadnego żyrandola, starego zegara, niczego, co można by upchać na pakę jeepa willysa, przerzuconego wcześniej konwojem do Murmańska. Duda wygłosi mowę dotyczącą obozów poza terenami Śląska. Świeżo zwerbowanym ubekom, żołnierzom KBW i niedawnym partyzantom z terenów Wielkopolski powie:

Panowie! Obozy pracy przymusowej są w Polsce tworem nowym. Nasuwa się pytanie, czy obozy pracy w Polsce powstały w sposób mechaniczny, jako naśladownictwo wzorów niemieckich czy innych, czy też istnieje druga podstawa i przyczyna. Przyczyna jest, że tak powiem, własna. Są to zdrajcy – zatoczy ręką łuk, pokazując wnętrze pałacu – zdrajcy narodu polskiego i zgodnie z obowiązującą ustawą podlegają oni umieszczeniu na czas nieograniczony w miejscu odosobnionym. Ci wszyscy zdrajcy podlegają skierowaniu do miejsc odosobnienia na czas nieoznaczony.

*

Dwudziestego trzeciego stycznia 1945 roku Annemarie Müller wkłada elegancką sukienkę i schodzi do piwnicy, by zastanowić się, co zrobić ze skarbem znacznie kosztowniejszym niż spirytus. W jednym małym pomieszczeniu mieści się kilkadziesiąt obrazów Theodora Johannsena, malarza, którego duża część Niemców uważa za prawdziwego artystę, mimo że nie przestał się zajmować „zdegenerowaną sztuką” i mimo zakazu inspirował go przede wszystkim impresjonizm.

Kilka minut po południu do drzwi pałacu zapuka Rybakowski (Annemarie Müller, opowiadając tę historię, nie wymienia jego imienia). To były polski sołtys Górzna, usunięty w 1939 roku przez niemiecką administrację. Teraz poczuł, że w zasadzie powinien powrócić na urząd, dokonać – można by powiedzieć – takiej denazyfikacji na własną rękę, i właśnie przyszedł o tym powiedzieć pani w pałacu, a także pragnie dodać, że wszyscy Polacy w Górznie bardzo się cieszą, że postanowiła ona nie opuszczać majątku do przybycia Armii Czerwonej. I jest jeszcze jedna sprawa, bo razem z Rybakowskim przyszło kilka kobiet ze wsi, pani je na pewno zna, one w zasadzie nic nie mają, bo naziści pozabierali im cały inwentarz, więc wszyscy razem przyszli poprosić, żeby się pani zastanowiła, czy nie lepiej oddać im kosztowności, kołdry, alkohol i takie tam dobra, które znikną natychmiast w zachłannych trzewiach Armii Czerwonej. Na pewno ma też jakieś ubrania, zastawy, wazony i wiele innych przedmiotów, których po prostu szkoda, no szkoda, żeby wpadły w ręce Rosjan, których oni, polscy chłopcy, nie darzą jakąś wielką sympatią, ale cóż, taka jest nieuchronność czasów, że w każdej chwili mogą przyjść, splądrować i oni przyszli jakoby temu zapobiec.

Na koniec Rybakowski mówi: „I tak pani tu nie zostawią”, ale Annemarie Müller udaje, że tego nie słyszy, idzie spakować ubrania, bieliznę i pościel, później zdejmuje z szafy dużą skrzynię i wkłada do niej wszystkie kosztowności, o których wie, że nie zdoła ich z sobą zabrać, filiżanki, talerze, patery, ozdoby, garnki, sztucce, osobną skrzynkę znajduje na specjalny prezent dla polskich sąsiadów: cztery tysiące ołowianych żołnierzyków, odlanych w kotłowni przez jej męża i syna. Malowali je miesiącami. Annemarie Müller wkłada do kieszeni sukienki trzech najładniejszych i wtedy przychodzi jej do głowy, że przecież mogłaby większość z tych rzeczy ukryć, zakopać lub zabetonować w podłodze pałacu, ale szybko ta myśl wydaje się jej mała, warta jak najszybszego odgonienia.

Obdarowani Polacy obiecują zaopatrywać ją w jedzenie tak długo, jak pozwoli na to sytuacja, teraz przynieśli mleko i jajka.

Nie wiadomo, co zrobić z obrazami Theodora Johannsena, który rok wcześniej umarł na zawał w Szlezwiku-Holsztynie: nie ruszać? ukryć? dać Polakom? dać Niemcom, którzy po południu przyszli we trzech, w poszarpanych mundurach SS, i nawet nie raczyli się przywitać, tylko od razu poszli do stajni, w której był ostatni koń – ogier Manitou?

Annemarie Müller stanęła w drzwiach, akurat kiedy żołnierze wyłamywali bagnetem skobel w boksie Manitou.

– Rekwirujemy – rzucili. – Dziwne, że pani tu jeszcze jest.

– Na czyj rozkaz?

– Na mój – odezwał się jedyny stojący beczynn timer Niemiec. Miał trupa czaszkę krzywo przytwierdzoną do wypłowiałej czapki oficera Wehrmachtu.

– Zmienił pan drużynę – powiedziała chłodno do nieznanomego, ale o ile miała dobrą opinię o żołnierzach Wehrmachtu, o tyle wiedziała, że Waffen SS zostało powołane między innymi dlatego, że wątpiono w lojalność żołnierzy regularnej armii.

Nie miała racji. Zbrodnie SS oraz oddziałów pomocniczych – Einsatzgruppen, nazywane Holokaustem od kul, przewyższyły okrucieństwa Wehrmachtu w czasie wojny z ZSRR, zwłaszcza w 1941 roku. Dwa lata wcześniej w Polsce Wehrmacht mordował cywilów i Żydów z zapalem, o którym niemieccy historycy wolą milczeć do dziś, uznając za początek okresu zbrodni niemieckich inwazję na Związek Sowiecki.

– Las wokół pałacu także rekwirujemy.

– Ale zabierzecie go razem z koniem?

Nikogo to nie rozbawiło, Niemcy wyprowadzili Manitou, który nie stawiał oporu. Müller podeszła do trzymającego go za uzdę żołnierza.

– Jak to wygląda w Poznaniu?

– Bardzo słabo – odpowiedział chłodno. – Tu miał być wewnętrzny pierścień obrony, ale nie przysłano nam ludzi.

– Ilu was jest?

– W samym mieście kilkanaście tysięcy ufortyfikowanych żołnierzy Wehrmachtu, członków Volkssturmu, Węgrów, hiwi, Słowaków i przymuszonych Polaków. Najwięcej jest SS, to było ich miasto.

– Walki się jeszcze nie zaczęły.

– Nikt nie wie, dlaczego Rosjanie czekają, natrą co najmniej dwustutysięczną grupą armii. Koń się przyda.

Rosjanie natrą następnego dnia, rozpoczynając miesięczną bitwę o twierdzę Poznań. Zatrzymali się, żeby ocenić, jak silna będzie obrona miasta i czy nie ma szans na to, by wybuchło w nim zbrojne powstanie. Armia Krajowa jednak, po warszawskim doświadczeniu radzieckiej zdrady, nie zamierza walczyć na terenie Kraju Warty, broniąc oczka w głowie Heinricha Himmlera. W mieście tym bowiem AK nie istniała praktycznie jako siła zbrojna.

Dwudziestego czwartego stycznia, z samego rana, Annemarie Müller słyszy odległe dudnienie, jak echo giętej gdzieś, hen, blachy falistej. Gieorgij Żukow wyznaczył jednostki mające walczyć o miasto,

ale główne siły Armii Czerwonej mają posuwać się dalej, minąć walczący Poznań i przeć w kierunku Odry. Rosjanin przeciwiczył ten blitzkrieg podczas operacji „Bagration”, kiedy w kilka tygodni unicestwił w zasadzie cały Wehrmacht, zamieniając kilkanaście armii w chaotyczne zgrupowania niedobitków pozlepianych w wiele przypadkowych formacji.

*

Annemarie Müller słyszy kanonadę ledwo, ledwo, ale wydaje się ona nieskończona. Od piątej do wpół do dziewiątej na Poznań spadają pociski artyleryjskie. Wychodzi na próg domu, patrzy na unieruchomiony zimą krajobraz, powalony świerk, zasypany podjazd, pustą stajnię, odebrany las. „Wciąż to samo wspaniałe, klarowne, mroźne powietrze – myśli. – I słonecznie”.

Surowość, a także upiorną długość zimy 1945 roku, ciągnącej się aż do kwietnia, Annemarie Müller pozna już wkrótce. Po tygodniach w lodowatej celi więzienia MBP w Gostyniu stanie przed młodymi polskimi oficerami bezpieki, którzy postanowili „przytrzymać panią Niemkę na czas nieokreślony”, bo jej mąż poległ w ZSRR. Teraz, mając przed sobą zeznania polskich chłopów, jej sąsiadów, wałą od razu z grubej rury:

– Pani często jeździła do Berlina, dlaczego?

– Prawdę powiedziawszy, Berlin odwiedzałam, by słuchać koncertów pianistycznych. Sama gram, a także przyjaźnię się z wieloma artystami.

Ubek polizał ołówek, wstał, podciągnął spodnie i znalazł ripostę:

– Jak to, to pani nie wie, że *Niemcy* właśnie zniszczyli polską kulturę?

– Zniszczyli.

– I dlatego Gostyń nie jest miejscem dla pani, pani lada chwila stąd wyjeżdża. Do obozu w Lesznie-Gronowie.

*

Dwudziestego czwartego stycznia wieczorem Annemarie Müller otwiera drzwi pałacu i widzi ludzi stojących od siebie w pewnej odległości, dziesięć, może piętnaście osób. Na pierwszy rzut oka to rozproszenie jest bez sensu, wszyscy stoją wyprostowani i patrzą na nią.

– Próbowaliśmy się rozproszyć – powie nieformalny dowódca grupy żołnierzy Wehrmachtu nad kubkiem kawy.

W ciągu kilkunastu minut nikt poza nim nie wydusi z siebie słowa. Wyrwali się z okrażenia i jakimś cudem uniknęli Rosjan, którzy byli tu jeszcze kilka dni temu, ale nie dlatego milczą, nie dlatego drżą i starają się roztrzęsionymi rękoma podnieść do ust kubki z herbatą. Widzieli kogoś jeszcze, typowy dla tej wojny obraz z pogranicza jawy i snu, wydawać by się mogło, że fatamorganę, bo wszystko to było

pozbawione jakiegokolwiek logiki: ludzki sznur sunący na wschód. Kobiety, dzieci, mężczyźni, sami cywile, bez broni, bez bagaży, dwa, może cztery tysiące. Niemcy.

Te pielgrzymki żywych trupów na wschód nigdy nie doczekają się właściwego opisu, czci, miejsca w literaturze wojennej. W Polsce nie dowie się o nich nikt, bo ci wędrujący bez celu ludzie umrą w ciągu kilkunastu zimowych dni 1945 roku: z wycieńczenia, głodu i zimna, raczej nie zabici przez Rosjan. Annemarie Müller usłyszy tylko, że to ofiary bombardowań, uciekające z płonącego niemieckiego miasta na oślep, w szoku. Ludzie nie brali z sobą niczego, a później wędrowali od jednej do drugiej zrównanej z ziemią miejscowości, nie znajdując nigdzie schronienia, zamienili się w człapiący przed siebie pochód, który zatrzymywał się, napotkawszy grupę żołnierzy raz jednej, raz drugiej armii, a później parł znowu naprzód, jak gdyby ucieczka od tego, co widzieli, była ważniejsza od wszystkiego, na pewno od strachu przed ludźmi innej narodowości.

Wojna powietrzna, którą wydały niemieckim miastom US Air Force oraz RAF, nie doczekała się natomiast pełnego opisu w wymiarze historii społecznej. O bezsensie zniszczenia Drezna pisał Kurt Vonnegut. Niektórzy między innymi po lekturze *Rzeźni numer pięć* sądzą, że alianci zamienili w popiół tylko duże miasta niemieckie: Berlin, Drezno, Hamburg. To nieprawda. Według danych brytyjskiego urzędu statystycznego taktyka wojny powietrznej wypowiedziana niemieckim miastom (The United States Strategic Bombing Survey) doprowadziła do zrzucenia podczas czterystu tysięcy nalotów miliona ton bomb. Dane te dotyczą tylko Royal Air Force, która atakowała w nocy. Brytyjczycy zaatakowali sto trzydzieści jeden miast, spośród których większość całkowicie zniszczono, pozbawiając życia łącznie sześćset tysięcy cywilów. Akcja Brytyjczyków i Amerykanów nigdy nie odegrała jednak poważniejszej roli w niemieckim dyskursie na temat drugiej wojny światowej. Uznano, że Niemcom zagłada od bomb jakoby się należała. Sami wydawali się skupiać bardziej na heroicznej odbudowie, która pokaże, że naród może dźwignąć się z katastrofy hitleryzmu jeszcze mocniejszy, niż na wspomnianiu bestialstwa niekończących się nalotów. Fakt zburzenia prawie wszystkich większych i setek mniejszych miast utrwalił się jako przemilczenie. Kolumny ogłuszonych i zszokowanych cywilów, którzy rozchodzili się na oślep po ościennych krajach walczącej Europy, pierwszy pobieżnie opisał Friedrich Reck w książce *Tagebuch eines Verzweifelten*. Tysiące ludzi szło w malignie, uciekając w popłochu przed pożogą, która wepchnęła ich w obłąd. Kolumna wędrujących setki kilometrów, milczących cywilów napotkana przez wyrywający się z okrążenia oddział Wehrmachtu, który dotarł do pałacu w Górznie, była najprawdopodobniej mieszkańcami zbombardowanego Pforzheim.

*

Dwudziestego piątego stycznia okazuje się, że pałac w Górznie znalazł się głęboko za liniami sowieckimi, a fakt, że nikt jeszcze nie przyszedł do Annemarie Müller, jest efektem sowieckiego

rozpoznania: nie ma żołnierzy niemieckich, a więc należy się skupić na sprawach istotniejszych. Müller nic o tym nie wie aż do południa, kiedy przed powalonym świerkiem zatrzymuje się samochód z jednym tylko sowieckim oficerem, którego całym uzbrojeniem jest pistolet przy boku. Oficer wysiada, przeskakuje drzewo, puka, wchodzi, widzi żałobną sukienkę, którą włożyła gospodyni, aby nie prowokować wroga. Rosjanin nie ma pojęcia, że to pierwszy kontakt niemieckiej pani z Armią Czerwoną, nie licząc odgłosu gąsienic i widoku cieni w białych opończach sprzed kilku dni. Annemarie Müller zachowuje się elegancko, z dużą kulturą osobistą, a przede wszystkim z kamiennym spokojem. W powojennych zapiskach w tej cesze będzie upatrywać powodów, dla których nie spotkało jej nic złego, w przeciwieństwie do Amandy Rauhut, która wrzeszczała na czerwonoarmistów rekwirujących broń jej mężowi tak głośno i długo, że postanowili sprawdzić wszystko dokładnie. Wzięli potem leśniczego za słowojkę i bez przygotowania strzelili mu w kark – miał broń i należał do NSDAP, wystarczyło. Amanda cały czas wrzeszczała, kiedy wraz z noworodkiem wrzucili ją na pakę ciężarówki i zawieźli do więzienia w Gostyniu. Annemarie Müller trafi tam w dużo bardziej cywilizowany sposób.

Samotny enkawudzista pyta od progu: „*Deutsche*”? Müller mówi, że mieszka tu od dziecka i doskonale mówi po polsku. Oficer rozgląda się po pięknym pałacu, robi dwa kroki w kierunku drzwi, odwraca się: „Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie”, kończy wizytę. Dzień po samotnym oficerze przyjedzie ciężarówka żołnierzy i działo samobieżne, do którego czerwonoarmiści stalowymi linami przywiążą powalony świerk. Potem miną bez słowa stojącą na ganku Annemarie Müller, rzucając krótkie: „Sprawdzamy, czy nie ma broni”.

„Broni nie ma od 1939 roku”, odpowiada gospodyni, ale Rosjanie tego nie słyszą, muszą przetrząsnąć cały wielki pałac w kilku żołnierzy. Będzie to trwało bardzo długo, bo znajdą gigantyczne zapasy alkoholu i komórkę z portretami Theodora Johannsena, które ustawią w szeregu i rozstrzelają z dubeltówek leśniczego.

Nie gwałcą. Annemarie zastanawiała się po latach dlaczego, i jedyny powód, jaki jej przyszedł do głowy, był prawdziwy. Poznań szturmowała elita Armii Czerwonej, 1. Front Białoruski, żadne tam mongoidalne posiłki czy karne bataliony. Na terenie Rzeszy obowiązywały ją ściśle rozkazy: dopóki walka trwała, nie było mowy, żeby dowództwo pozwoliło na rozprężenie. Jeśli już – to krótkie, dotyczące wyłącznie oficerów – przy kilku butelkach znalezionej alkoholu.

*

Annemarie Müller traktuje pobyt w obozie w Lesznie-Gronowie jako pokutę. Nie protestuje. Kiedy trafia do największego ośrodka odosobnienia MBP w Wielkopolsce, nie ma pojęcia, jak wielkich zbrodni dopuścili się niemieccy naziści. Po trzydziestu latach w zapiskach zwróci uwagę na bezsens swojej pracy w obozowej szwalni. Ale doda: „akceptowałam to i nie oceniałam Polaków. Potrzebowali

systemowej zemsty. Postanowiłam się modlić za siebie i za nich”.

Annemarie Müller modli się i rozumie, kiedy Polacy po apelu o szóstej rano wysyłają niemieckie gospodynie domowe, których jest w obozie najwięcej, do bezsensownej pracy.

– Teraz my was mamy za parobków, tak jak wy przez lata miałyście polskie kobiety – mówią funkcjonariusze.

„Ale czy prucie na nici niemieckich mundurów zdjętych z trupów i szycie z nich uniformów dla polskiej milicji może mieć jakiegokolwiek znaczenie poza symbolicznym?”, myśli Annemarie Müller.

– Może – odpowiada jej nadzorczyńni obozu MBP, która ma wytatuowane na przedramieniu cyfry z Auschwitz.

Müller dowiedziała się o nich kilka dni wcześniej: widziała, jak tęga kobieta chłozcze batem rozebranego do naga Niemca. Wydusiła: „Dlaczego?”, niezbyt głośno, ale tamta usłyszała, przerwała, spojrzała groźnie w oczy Müller i odsłoniła tatuaż złożony z pięciu cyfr.

– Więc może, bo te mundury trafią do konkretnych ludzi, budowniczych socjalizmu, i żadnego znaczenia nie ma fakt, że wasza produkcja stanowi kroplę w morzu potrzeb.

„Człowiek żyje odmianą na lepsze”, zapisze w swoich obozowych wspomnieniach Annemarie Müller. W Gronowie po prostu czeka na inne czasy, pełna zrozumienia. Nawet wtedy, kiedy przed szóstą rano odzywa się gwizdek i wszystkie kobiety, ubierając się w pośpiechu, rozumieją, że to nie będzie zwykły apel, tylko Polacy znowu każą im się położyć na obozowym placu, ściśle, jedna obok drugiej, żeby nie było przerw, a później będzie biegła po ich ciałach męska część załogi. Długo i mocno, w podkutych butach, aż połamią się niektóre ręce oplecione w geście rozpaczy wokół głów.

– Dzisiaj pracujecie piętnaście godzin – powie ktoś na końcu.

– Dlaczego? – doleci głos z leżącego tłumu.

– Bo Niemców obowiązuje nienormowany czas pracy – odpowie podporucznik UB Jan Staniszewski.

To inteligent, który, można by dać głowę, znalazł się w Lesznie-Gronowie przez przypadek, tylko na chwilę, to krótka przerwa w drodze do dużej dyplomatycznej kariery: schludny, kulturalny, ironiczny, bezwzględnie posłuszny centrali. Nie ma u niego zabijania, kobiety są potrzebne do pracy na przejmowanych przez nowe władze majątkach i folwarkach. Nie jest intencją załogi posyłanie byłych właścicielek do swoich gospodarstw jako służby. To byłaby wyrefinowana tortura, nikomu się nie chce sprawdzać, kto gdzie mieszkał, ale takie sytuacje i tak zdarzają się wyjątkowo często. Naturalnie nie dotyczy to Annemarie Müller, pałac jest już własnością skarbu państwa, potrzeba jeszcze tylko kilku dokumentów.

Obóz opuści ona dopiero w 1949 roku, na kilka tygodni przed jego zamknięciem. Polacy załadują ją wraz z innymi kobietami do pociągów i wyślą do NRD. Zanim Annemarie Müller usłyszy pytanie od

pracownika Stasi, czy chce wyjechać do faszystowskiego kraju, czy może woli pracować nad socjalistycznym rajem, będzie już miała gotowy plan na przyszłość. Ten plan to wyjazd, bo Müller odpowie sobie na jedno pytanie: czy chce żyć w kraju, w którym w jednej chwili można stracić dorobek całego życia tylko dlatego, że jest się nieodpowiedniego pochodzenia?

– Żyła pani w takim kraju do 1945 roku – odpowie bystro pracownik służb specjalnych NRD. – Tylko nie pani zabierano.

– Ma pan rację – przyzna spokojnie i zdecyduje się na wyjazd do Hamburga, który wtedy, w 1949 roku, wciąż przypomina połamaną makietę miasta.

*

Rano 25 stycznia, kilkadziesiąt minut przed wizytą oficera NKWD, Annemarie Müller patrzy raz jeszcze na surrealistyczny, baśniowy krajobraz ciśnięty w sam środek skrwawionych ziem. Może się domyślać, co się z nią stanie, kiedy przyjdą Sowieci, wszystkie zbrodnie Armii Czerwonej w Prusach Wschodnich nagłośniła propaganda niemiecka, trąbiąc o krzyżowaniu na wrotach stodół, masowych gwałtach, w których na kobietę przypadało dwustu żołnierzy, i patroszeniu. Nie wie o tym, ale lęk, który sparaliżował cały Dolny Śląsk, wywołał epidemię samobójstw wśród niemieckich kobiet. Za tydzień w Legnicy Rosjanin zejdzie zdumiony ze strychu jednej z kamienic i spyta ocalałą kilkulatkę łamaną niemczyzną: „Dlaczego wszystkie wasze kobiety tak?”, chwytając się za szyję.

Annemarie Müller wie jedno: jest damą. I cokolwiek miałoby ją spotkać przez najbliższe godziny i dni, zostanie tutaj, w Górznie. Obiecała sobie, że jeśli przeżyje, nie opowie ani słowa o tym, co wydarzyło się w pierwszych godzinach obecności Armii Czerwonej w pałacu.

Nikommu.

Dzisiaj

Pierwszy przestał milczeć polski Kościół. W liście biskupów polskich do niemieckich z 1965 roku trzydziestu duchownych pisało o trudnych relacjach sąsiedzkich delikatnie, ale wprost.

Konferencja Episkopatu Polski

ORĘDZIE BISKUPÓW POLSKICH

DO ICH NIEMIECKICH BRACI W CHRYSZTUSOWYM URZĘDZIE PASTERSKIM

Przewielebni Bracia Soborowi! (...)

Obciążenie obustronnych stosunków ciągle jeszcze jest wielkie, a potęguje je tak zwane „gorące żelazo” tego sąsiedztwa. Polska granica na Odrze i Nysie jest, jak to dobrze rozumiemy, dla Niemców nad wyraz gorzkim owocem ostatniej wojny, masowego zniszczenia, podobnie jak jest nim cierpienie milionów uchodźców i przesiedleńców niemieckich. (...)

I mimo tego wszystkiego, mimo sytuacji obciążonej niemal beznadziejnie przeszłością, właśnie w tej sytuacji, czcigodni Bracia, wołamy do Was: próbujmy zapomnieć. Żadnej polemiki, żadnej dalszej zimnej wojny, ale początek dialogu, do jakiego dziś dąży wszędzie Sobór i Papież Paweł VI. Jeśli po obu stronach znajdzie się dobra wola – a w to nie trzeba chyba wątpić – to poważny dialog musi się udać i z czasem wydać dobre owoce, mimo wszystko, mimo „gorącego żelaza”. (...)

Prosimy Was, katoliccy Pasterze Narodu niemieckiego, abyście na własny sposób obchodzili z nami nasze chrześcijańskie Millennium: czy to przez modlitwy, czy przez ustanowienie w tym celu odpowiedniego dnia. Za każdy taki gest będziemy Wam wdzięczni. I prosimy Was też, abyście przekazali nasze pozdrowienia i wyrazy wdzięczności niemieckim Braciom Ewangelikom, którzy wraz z Wami i z nami trują się nad znalezieniem rozwiązania naszych trudności.

W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do Was, siedzących tu, na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie. A jeśli Wy, niemieccy biskupi i Ojcowie Soboru, po bratersku wyciągnięte ręce ujmiecie, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze Millennium w sposób jak najbardziej chrześcijański. (...)

*

List podpisali między innymi arcybiskup Karol Wojtyła oraz kardynał Stefan Wyszyński, prymas Polski. Jednym z głównych jego autorów był jednak arcybiskup Bolesław Kominek, Ślązak, późniejszy metropolita wrocławski. To on przetłumaczył list na język niemiecki. Dokładnie znał powojenną historię, do której polscy księża odnieśli się w tekście. Wielu spośród nich doskonale zdawało sobie sprawę z gehenny niemieckich cywilów w tamtych latach. Prośba o wybaczenie nie była związana wyłącznie, jak chcieliby to widzieć niektórzy, z ewangeliczną świadomością, że wszyscy jesteśmy grzeszni. Nie była także pustą dyplomacją. Dotyczyła konkretnych polskich czynów.

Niemieccy biskupi przyjęli przychylnie przełamanie odruchu nieprawdy, odpisali:

Wiele okropności doznał polski naród od Niemców i w imieniu niemieckiego narodu. Wiemy, że dźwigać musimy skutki wojny, ciężkie również dla naszego kraju (...). Jesteśmy wdzięczni za to, że w obliczu milionowych ofiar polskich owych czasów pamięta się o tych Niemcach, którzy opierali się demonowi i w wielu wypadkach oddawali za to swoje życie (...). Tak więc i my prosimy o zapomnienie, więcej, prosimy o przebaczenie. Zapomnienie jest sprawą ludzką, natomiast prośba o przebaczenie jest apelem skierowanym do tego, który doznał krzywdy, by spojrzał na tę krzywdę miłosiernym okiem Boga i wyraził zgodę na nowy początek. (...) Z braterskim szacunkiem przyjmujemy wyciągnięte dłonie.

Otoczenie Władysława Gomułki wpadło w furję.

Kto im, polskim księżom, dał prawo do przebaczenia? W czyim imieniu? Za co mamy przeproszać? Jak można tak fałszować historię? Pisano artykuły, zwoływano masówki potępiające „polityczną antypolską samowolę kleru”, szukano na autorów listu haków, zwłaszcza na przyszłego papieża Jana Pawła II. SB dotarła do kilku robotników z fabryki Solvay, w której młody Karol Wojtyła pracował w czasie wojny. Koledzy mieli potępiać list i wypowiadać się negatywnie o ówczesnej kondycji moralnej późniejszego kapłana.

*

Czy taki list mógłby powstać dzisiaj?

Warto o to zapytać księdza doktora Jarosława Mrówczyńskiego, zastępcę sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski i jednocześnie sekretarza Zespołu do spraw Kontaktów z Konferencją Episkopatu Niemiec.

– Myślę, że należy ufać Bożej Opatrzności, nie zastanawiając się nad tym, „co by było, gdyby”.

Dlatego uważam, że list ukazał się we właściwym czasie. Dobrze, że taki list powstał. Dzięki temu, że było to pięćdziesiąt lat wstecz, teraz możemy iść naprzód i idziemy, bo mamy kolejne znaki wzajemnego przebaczenia i pragnienia współpracy na rzecz pokoju. Chociażby niedawne wspólne obchody siedemdziesiątej piątej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej czy też wspomniane już pięćdziesięciolecie wymiany listów. Te listy stały się fundamentem, na którym można budować dobre relacje nie tylko z narodem niemieckim, ale ze wszystkimi narodami świata.

Nie, nie mógłby.

UdjęTCVLIASIAm9PUByRXRUPEkRINOZFAOZARhAy1JMq==

OŚWIĘCIM

Czyli opowieść
Marty Weisner



Nagłówek trzeba przeczytać dwa albo trzy razy.

Trzeci raz głośno, aby usłyszeć, że to naprawdę jest napisane w dokumentach Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau: *Wykaz osób zmarłych od kwietnia 1945 do lutego 1946 w obozie Państwowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Oświęcimiu.*

Prawie sami Polacy ze Śląska, sto czterdzieści sześć osób łącznie, i ta liczba stanowi problem: bardzo mało w miejscu, w którym Niemcy wymordowali setki tysięcy. Niezręcznie mało. Zbyt mało, by odruchowo nie wzruszyć ramionami. Wzrusza ksiądz z miejscowej parafii, mieszkańcy Brzezinki, nawet pracownik muzeum. „Kto o tym wie? – słyszę. – Kto w ogóle ma w głowie inny obraz niż następujące po sobie dwa zdarzenia: wyłamanie bramy w styczniu, film z buldożerami spychającymi stosy trupów do rowów, a potem muzeum Auschwitz? Najpierw styczeń 1945 roku, a później od razu rok 1947”.

*

Pierwszy radziecki patrol konny pojawił się w okolicach Auschwitz-Birkenau 27 stycznia 1945 roku około jedenastej trzydzieści. Nikt nie opowiedział o tamtym przedpołudniu lepiej niż ten, który widział to na własne oczy. Primo Levi napisał w Rozejmie:

Czterej młodzi żołnierze na koniach jechali ostrożnie, z pistoletami maszynowymi w rękę, wiodącą wzdłuż obozu drogą. Obok ogrodzenia z drutu kolczastego stanęli i zaczęli się przyglądać, wymieniając krótkie ciche słowa. Z jakimś dziwnym zakłopotaniem patrzyli na rozkładające się trupy, na porozwalane baraki i na nas, tych niewielu żywych. Nam wydali się oni się cudownie cieleśni i rzeczywiści.

(...)

czterech uzbrojonych ludzi, lecz nie uzbrojonych przeciw nam; czterech zwiastunów pokoju o zwyczajnych, chłopięcych twarzach pod ciężkimi, futrzanymi czapkami. Nie pozdrawiali nas, nie uśmiechali się.

To, co zobaczyli zwykli żołnierze Armii Czerwonej, było dla ich psychiki miażdżące. Mężczyźni, którzy przyzwyczaili się już do tego, że zginą, bo są mięsem armatnim, ludzie mający za sobą niejedną beznadziejną, ale zakończoną jakimś cudem bieg na umocnione pozycje niemieckie, nie potrafili powstrzymać ataku hysterii. W Stawce, radzieckim sztabie generalnym, panowały inne nastroje – sowiecka wierchuszka była zdziwiona, ale i zadowolona. Rozmiar mordy dokonanej w Auschwitz zaskoczył nawet Stalina. Do stycznia 1945 roku symbolem niemieckiej nazistowskiej zagłady był obóz

na Majdanku – również jako ten pierwszy wyzwolony przez Armię Czerwoną. Rosjanie zdawali sobie sprawę, że wojska amerykańskie lada chwila dotrą do innych obozów śmierci – w Dachau czy w Buchenwaldzie. Sowietom zależało, aby to ich armia wyzwoliła miejsce, które, co prawdopodobne, stanie się symbolem nazistowskiej zbrodni. W styczniu 1945 roku udało im się zrealizować to propagandowe założenie. Jednak nie to było najważniejsze i najbardziej satysfakcjonujące dla Sowietów. Armia Czerwona błyskawicznie doceniła lokalizację i rozmiar obozu. Sowietci zastali niemal nietkniętą infrastrukturę w Auschwitz I i Auschwitz-Birkenau, tysiące baraków ogrodzonych drutem pod napięciem, gotowych do natychmiastowego wykorzystania. Można było w nich natychmiast umieścić więźniów i tak właśnie zrobiono.

Obóz Auschwitz I został podzielony przez Rosjan na pół. Jedną część stanowił szpital dla ocalałych więźniów, w drugiej umieszczano jeńców niemieckich, którzy czekali na podróż w głąb ZSRR. W miarę upływu czasu jeńcy zajęli też cały teren Auschwitz I. Rosjanie podciągnęli szerokie tory i wczesną jesienią obóz jeniecki numer 22 został oczyszczony. Pozostały napisy po niemiecku w niektórych barakach, do dziś budzące zdziwienie zwiedzających.

Birkenau został zamieniony w obóz numer 78. Przetrzymano w nim Ślązaków (uznawanych bez wyjątku za nazistowskich kolaborantów), jeńców niemieckich oraz polskich cywilów. Zaraz za bramą Birkenau, w prawo, tuż przy rampie, w sektorze B1 trzymano ludzi od lutego 1945 roku.

– Zaczęliśmy patrzeć z zaciekawieniem, co to za miasto z drewna poprzecinane wewnętrzną siecią drutów kolczastych. Gdzie się spojrzało, to baraki z kominami. Znaczący nie, na wprost bramy obóz kończył się zaporą kolejową i kilkoma rzędami ogrodzeń, za którymi był las. Pejzaż Auschwitz wyparł z nas strach. Ludzie zaczęli się rozchodzić, druty były odłączone, niektórzy za nie chwyтали. Usłyszeliśmy strzały w powietrze: „Do szeregu, nie zwiedza się!!!” – Górnoszlazaczka Elizabeth Kuśnierz mieszka w Hamburgu. W pierwszych dniach po wojnie namalowano jej swastykę na plecach i zapędzono ją w kolumnie Ślązaków z Katowic do obozu Auschwitz-Birkenau. – Kiedy mnie wpędzono wraz z innymi do obozu, miałam piętnaście lat. Wewnątrz panowała złowroga cisza, ale największe wrażenie zrobił na mnie bezkres pustych baraków ciągnących się po horyzont.

Obóz numer 22 na terenie dawnego Auschwitz I funkcjonował do jesieni 1945 roku. Birkenau pełniło swoją nową funkcję do wiosny 1946 roku. Komendantem obydwu był rosyjski pułkownik Masłojebow.

*

Polski obóz w Oświęcimiu został założony w trzech murowanych budynkach, przy ulicy Leszczyńskiego. Podczas wojny były one częścią Auschwitz-Birkenau znaną jako *Gemeinschaftslager*, czyli obóz dla pracowników wykwalifikowanych, specjalistów, którzy nie mieli nic wspólnego z tanią

siłą roboczą, można powiedzieć: płatnych majstrów sprowadzonych z Rzeszy. MBP zajęło ten teren kilkanaście dni po wyzwoleniu Auschwitz-Birkenau i zaczęło spędzać do oświęcimskiego obozu śląskich cywilów. Mieli pomóc w demontażu zakładu chemicznego IG Farben, który produkował osiem tysięcy puszek cyklonu B dziennie. Ale nie tylko. Fabryka koncernu IG Farbenindustrie znajdująca się w Monowicach, tuż obok obozu Birkenau, była filarem gospodarki Trzeciej Rzeszy. To tutaj wytwarzano ponad połowę wszystkich zasobów benzyny syntetycznej. W Monowicach produkowano też kauczuk syntetyczny, smary, barwniki, włókna sztuczne, a także aparaturę szpiegowską związaną z procesami chemicznymi. Dla Rosjan nietknięta przez wojnę fabryka była bezcenna. Ślązacy w polskim obozie na Leszczyńskiego mieli ją zdemontować – dosłownie, element po elemencie – i zapakować do pociągów jadących na wschód, aby Sowieci mogli ją ponownie, według dołączonej przez przełożonych instrukcji, zmontować na terenie ZSRR.

*

Marta Wiesner, mieszkanka Bielska-Białej, stała się wrogiem nowego ustroju w wieku siedemnastu lat, w kwietniu 1945 roku. Tak później o tym opowiadała:

– Zostałam zamknięta na miesiąc przed zakończeniem wojny. Ubowiec, który mnie przesłuchiwał, pytał, czy należałam do młodzieżowej organizacji BDM. Odpowiedziałam, że tak. Pytał sześć razy i sześć razy potwierdziłam. Dostałam sześć razy po głębie. Nie mogłam odpowiedzieć inaczej. Wiadomo, że jak chodziłam do szkoły, to musiałam tam należeć.

Zaraz na początku obcięli nam włosy. Ten, który obcinał, rzucił mój warkocz na taki stosik włosów. Gdy się odwrócił, to zabrałam mój warkocz i schowałam. To był normalny obóz. Wartownicy na rogach, druty, ale nie pod wysokim napięciem. Było sześć trzypiętrowych łóżek. Z rur pod sufitem lała się woda. Nie miałyśmy nic do okrycia, żadnych koców. Ja miałam cienką chustę i zimowy płaszcz. Sienniki były zapluskwione i zarobaczone. Nie były ze słomy, tylko z wiórów drzewnych, takich w jakie czasami pakuje się szkło. Początkowo każdy miał swój siennik, ale gdy nawieźli więcej ludzi, to trzeba było spać po dwie osoby na jednym. Sienniki były tak zawszystone, że często śmiałyśmy się, że jak przyjdziemy z pracy, to już ich nie będzie, bo uciekną.

Do pracy budziła nas codziennie rano barakowa, my zegarków nie miałyśmy. Gdy ktoś pracował poza obozem, musiał wychodzić wcześniej. Zaraz po pobudce był apel. Ustawiałyśmy się czwórkami. Ktoś przeliczał, mówił, że jest tyle a tyle na stanie, a tyle poza obozem. Jeżeli coś się nie zgadzało, to musieliśmy stać nawet półtorej godziny. Na apelu również wyczytywali, kto gdzie idzie do pracy. Z baraku można było wyjść tylko do ubikacji, wyłączając noc. Nocą za ubikację służyło nam wiadro. Rano wyznaczona na nowy dzień dyżurna musiała wylać brudy i przynieść świeżą wodę.

Internowani w oświęcimskim obozie musieli rozbierać zakłady chemiczne. Rosjanie twierdzili, że

przywieźli te zakłady z Rosji. Wywozili, co tylko się dało: kontakty, transformatory, maszyny, okna, drzwi, druty wyciągnięte z instalacji. To się ładowało do skrzyń. Byli tam jeńcy niemieccy, którzy musieli te skrzynie pakować i ładować na wagony. Nadzorowałam wywóz tych skrzyń do Rosji. Na każdej musiałam napisać numer i wciągnąć go na listę. Do tej pracy zgłosiłam się sama (...). Niektórzy więźniowie pracowali w ratuszu, gdzie malowali, sprząтали. Tam dostawali dobre jedzenie, bo aż pół bochenka chleba dziennie. A do tego zupełnie ziemniaczaną, fasolową lub grochówkę. To było lepsze jedzenie niż to gotowane w obozowej kuchni. Wiele więźniarek było zatrudnionych w obozie, piekarni, pralni, kuchni, sprzątało milicyjne biura. Niektóre kobiety pracowały u gospodarzy w polu, często udało im się coś ukraść: marchewkę, ziemniaka. Zawsze kroїły warzywa na drobne kawałki i wrzucały do obozowej zupy. Jedni chodzili do klasztoru salezjanek, które odbudowywały kościół zniszczony w czasie wojny i potrzebowały również niewykwalifikowanej siły roboczej.

Obozowe jedzenie... nie były to specjały: fasola, kasza, chleb, ale nie byliśmy tam głodni, chociaż porcje były bardzo małe. W porze posiłku był gong. Ustawialiśmy się z miskami. Kto nie miał żadnego naczynia, musiał sobie coś załatwić albo czekać, aż ktoś zje. (...) Rosjanie skończyli rozbierać zakłady chemiczne przed dwudziestym lipca [1945 roku]. Wtedy obóz przejął całkowicie PUBP. Wówczas zmieniły się diametralnie warunki żywienia. To była gehenna, nie było co jeść. Żywili nas liśćmi kapusty i otrębami. Jedną kromkę chleba dostawaliśmy po południu, gdy przyszedliśmy z pracy. Była tak cienka, że jeśli oglądać ją pod światło, to można było wszystko zobaczyć. Ten, kto zjadł ją zaraz po południu, nie miał nic na śniadanie. Był głód. (...) Z tego powodu wybuchła na przełomie lipca i sierpnia 1945 roku epidemia tyfusu. Ludzie marli jak muchy. Z ośmiuset po trzech tygodniach zostało tylko trzystu. Nie było lekarstw ani lekarza.

Było takie specjalne komando, które zawoziło zmarłych na cmentarz w centrum Oświęcimia w takiej drewnianej skrzyni. Tam był masowy grób, zwłoki zrzucano ze skrzyń wprost do dziury i zasypywano wapnem. Kilka razy też tam byłam, gdy ktoś z komanda zachorował. Zdarzało się, że gdy wracaliśmy do obozu, były już świeże trupy. Jak byli Rosjanie [podczas prac nad demontażem IG Farben], to właściwie nie mieliśmy aż tak przewlekle chorych. Najczęściej ktoś się przeziębiał, przeleżał dwa–trzy dni. Przeziębłam się akurat na zakończenie wojny, leżałam przez kilka dni, 7, 8, 9 maja. Według mnie groziło mi wówczas zapalenie płuc. W obozie był Rosjanin. Pełnił funkcję nadzorcy przy rozbieraniu zakładów. Przyniósł mi w szklance spirytus i kazał wypić. Posterunkowemu powiedział, że trzy dni mnie nie będzie w pracy. Nikt mnie nie kontrolował, nie mówił, że mam przyjść do pracy. Barakowa tylko zgłosiła, że ta i ta leży chora. Nie byłam chora, gdy panowała epidemia. Gdy nie było już pracy przy rozbieraniu zakładów chemicznych, pracowałam u gospodarzy w Brzezince, a potem w kuchni dla oficerów rosyjskich. Znajdowała się ona naprzeciw obozu KL Auschwitz, tam gdzie była kwatera rosyjska.

Pierwszym komendantem obozu PUBP był Polak, nie pamiętam jego nazwiska. On często robił pobudki i kazał skakać żabką dookoła baraku. Został zastrzelony na jakiejś zabawie. Potem przyszedł Sowa, był komendantem aż do likwidacji obozu. To był bardzo ludzki i dobry człowiek. Pamiętam dwóch milicjantów. To byli bardzo dobrzy ludzie, Bolesław Majdak i jego młodszy brat Rudolf. Gdy kiedyś wracaliśmy z roboty, ukradłam ze straganu chleb, którym w obozie podzieliłam się z koleżankami. Pan Bolesław Majdak musiał to zauważyć. Następnego dnia sam kupił nam chleb. Bolesław Majdak pomógł uciec jednemu z więźniów, Rudolfowi Góralowi, siedział za to w bezpiece. Gdy wrócił, mówił, że teraz wprowadzi rygory, ale gdy odprowadzał nas do roboty, to zawsze za bramą zawieszał karabin na ramię.

Mój szkolny kolega także próbował uciekać. Niestety, złapali go. Zbili go tak bardzo, że zmarł niedługo potem.

Pamiętam jeszcze innych milicjantów. Wiem, że był Jan Kulwacki, Edward Hałat, pochodził z Babic. Był jeszcze śledczy, porucznik Julian Polański, on prowadził przesłuchania. Wiem, że później ożenił się z jedną z więźniarek. Na roboty prowadził nas najczęściej Żak lub Bojdys.

Wracaliśmy z pracy. Słońce cudownie chyliło się ku zachodowi. Było kolorowo, ciepłutko i bezwietrznie. Widzieliśmy ludzi wracających z nabożeństwa maryjnego. Czy im zazdrościliśmy? To pytanie chyba nie wymaga odpowiedzi. Jeden z naszych kolegów, mój dobry znajomy z Hałcnowa, Józef Dyczek, nieco się ociągał. Był zmęczony, starszy, miał duży garb na plecach. Ubowiec Bojdys, który nas prowadził, coraz bardziej się denerwował. W końcu uderzył go karabinem. Józef, ogłuszony, padł na ziemię. Pieniący się ze złości ubowiec skoczył do Józefa i stanął mu na piersiach. Zgniół tego biednego człowieka tak, jak zabija się karalucha. Ale najgorsi byli ci ludzie stojący i patrzący na całe zdarzenie jak na film w kinie. Nie okazali odrobiny współczucia, żadnej ludzkiej reakcji. Czyżby się nas bali? Nie uważali nas raczej za zbrodniarzy, którzy na takie okrutne traktowanie zasługują.

Rozbieraliśmy również baraki w Brzezince, te, co tam Żydy siedziały. Deski, listwy potem wysyłali do Warszawy, na barkach. Wielu ludzi znalazło tam różne rzeczy, złoto.

Myśmy się tam strasznie modlili. Policjant krzyczał na nas: „Wy kurwy hitlerowskie! Teraz tu śpiewacie modły, a wcześniej wy Hitlera chcieli”.

Śpiewaliśmy na melodię *Wśród nocnej ciszy*:

W oświęcimskim łagrze głos się rozchodzi,
Drzwi się otwierają. Kontrola wchodzi.
Garnki, miski odbierają i sienniki przewracają
Z wielką radością, z wielką radością.

Pan Żak na polu kobiety ćwiczy,
Pan Kubisty obserwuje,
A pan Bojdys zapisuje
Z wielką radością, z wielką radością

Barakowa krzyczy po dzwonku,
O, gwiazdy łagrowe muszą szybko wstać,
O szóstej trzeba wstać i po kawę iść,
Kto za późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi
Z wielką radością, z wielką radością.

Dzisiaj

– Ani polski, ani koncentracyjny, ale obóz chyba tak – mówi mi mieszkaniec Potulic, wsi, w której funkcjonował jeden z czterech dużych centralnych obozów pracy dla Niemców.

To nasz punkt widzenia uchwycony w jednym zdaniu. Odruch nieprawdy, szybki i instynktowny jak uchylenie się przed lecącym kamieniem.

Jak nazwać przemilczaną przez dziesięciolecia zbrodnię? Co właściwie stworzono na terenie przejętej infrastruktury wzniesionej przez niemieckich nazistów? Polskie obozy koncentracyjne? Koncentracyjne, owszem, ale nie polskie? Ten włos należy podzielić na czworo. Źle użyte sformułowanie może oznaczać przestępstwo znieważenia narodu polskiego, za które grozi więzienie.

Profesor Witold Kulesza, prawnik, współautor ustawy o IPN, były szef pionu śledczego tej instytucji, mówi: „Nikt nie zmusi mnie do tego, aby obozy w powojennej Polsce nazywać koncentracyjnymi, a że to nazewnictwo funkcjonuje w piśmiennictwie, nie jest dla mnie, jako prokuratora, żadnym argumentem. Obozy koncentracyjne łączyły w swoich strukturach środki zagłady. Pojęcie to ściśle łączy się z założeniami określonymi w Trzeciej Rzeszy”.

Nazewnictwo to faktycznie funkcjonuje już w piśmiennictwie stalinowskiej władzy oraz obozowych załóg. Odpowiedzialni za zbrodnie popełniane w obozie w Łambinowicach sami określali swój obóz mianem „koncentracyjnego”. Ponadto sformułowanie to można spotkać w publikacjach katowickiego IPN.

– Spójrzmy na fakty, jak zorganizowano te miejsca odosobnienia? – mówi profesor Bogusław Kopka, historyk, pracownik naukowy Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. – Na określonym terenie izolowano na czas nieokreślony, bez wyroku, ludność cywilną, w tym starców, dzieci, kobiety, a więc ludzi niezdolnych do pracy. Te fakty odpowiadają definicji „obozów koncentracyjnych”, tyle że dla polskich historyków sformułowanie to na tyle jest zrosnięte z niemieckim systemem nazistowskiej zagłady, że musi wzbudzać naturalny opór, i ja go rozumiem.

Czy Niemcy jako pierwsi wzniesli obozy koncentracyjne? Nie. Natomiast pierwsi zbudowali obozy masowej zagłady, *Vernichtungslager*. I te dwa sformułowania wyraźnie się oddziela – w sensie badawczym – podczas klasyfikowania niemieckiego, nazistowskiego systemu obozowego. Obozy masowej zagłady, w których mordowano ludzi metodą przemysłową, to Treblinka, Sobibór, Bełżec, Chełmno, Majdanek oraz Auschwitz-Birkenau, który ze względu na swoją wielkość spełniał funkcję obozu koncentracyjnego oraz obozu pracy niewolniczej. Ludzie, których nie przeznaczono na rampie do

zagazowania, mieli pracować – w obozie lub poza nim, albo też służyć do pseudomedycznych, zbrodniczych eksperymentów. Prawdą jest, że Niemcy program Zagłady narodu żydowskiego realizowali również w obozach koncentracyjnych, gettach oraz przez masowe egzekucje, jednak nigdy na taką skalę, jak w wydzielonych, specjalnie przeznaczonych do tego miejscach – obozach zagłady.

W polskiej i światowej literaturze funkcjonuje termin „amerykańskie obozy koncentracyjne” jako określenie miejsc odosobnienia stworzonych podczas wojny secesyjnej w latach 1861–1865. Istnieją również były kubańskie obozy koncentracyjne z lat 1895–1898 oraz angielskie, dla mieszkańców skolonizowanych terenów w Indiach i Afryce, powstałe w latach 1899–1902. Ponadto trzeba jeszcze wymienić amerykańskie obozy koncentracyjne dla obywateli Stanów Zjednoczonych pochodzenia japońskiego, zamkniętych za drutami po ataku na Pearl Harbor w celu odizolowania ewentualnej „piątej kolumny” wroga. W Stanach Zjednoczonych wepchnięto wówczas do obozów ponad sto tysięcy Bogu ducha winnych ludzi.

W Polsce kilka lat wcześniej również.

Wskutek napięcia narastającego między II RP a Trzecią Rzeszą w sierpniu 1939 roku wdrożono akcję wojskową o kryptonimie „Elaborat unieruchomienia”. Zakładała ona zamknięcie w obozach koncentracyjnych, w tym w osławionej Berezie Kartuskiej, około czterdziestu tysięcy polskich obywateli pochodzenia niemieckiego. Obozy stworzono również w Łowiczu, Sochaczewie, Kutnie i Warszawie. Ludzi spędzano brutalnie, wyciągano z mieszkań, bito, kilkanaście osób zginęło. Był to wymarzony prezent dla Adolfa Hitlera. Sprawę natychmiast podchwyciła goebbelsowska propaganda. Niektóre obozy wyzwolił we wrześniu Wehrmacht.

Zbigniew Gluza twierdzi, że sformułowanie „polskie obozy koncentracyjne” używane w odniesieniu do powojennych obozów MBP jest o tyle niefortunne, że wchodzi w dyskurs światowy i zwiększa chaos. Wypełnienie tego określenia konkretną, prawdziwą, a nie kłamliwą treścią raczej nie spowoduje, że zagraniczni historycy i media przestaną przypisywać nam zbrodnie niemieckich nazistów. Bo hasłem się tego nie załatwi. Trzeba powoli edukować Zachód i wyjaśniać mu, jak było. Ale nie nerwowo, nie histerycznie, nie napastliwie, jak to robimy teraz, kiedy pada kłamliwe sformułowanie „polski obóz koncentracyjny” dotyczące okresu wojny. Odszczekujemy się, zamiast spokojnie edukować na płaszczyźnie dyplomatycznej. Gluza nie ma wątpliwości, że za to, co wydarzyło się po wojnie, winę ponoszą Polacy. I powinniśmy wziąć za to odpowiedzialność historyczną. Cywilizowany kraj nie ma problemów ze swoją przeszłością, potrafi dostrzegać jej ciemne i jasne karty. Polską racją stanu nie jest tworzenie fasady, upiękkszanej i pomnikowej, bo nikt, poza częścią społeczeństwa, w nią nie uwierzy. Jeżeli chcemy przestać budować swoją wizję świata na resentymentach i stworzyć społeczeństwo otwarte, musimy poznać i zaakceptować swoją historię. A jest piękna, wspaniała. Możemy być z niej w pełni dumni i mówić o niej bez kompleksów, nie przemilczając wstydlivych kart. Nie zakłamując ich.

– Nie ma zgody. To nie były „polskie obozy”. Stworzyły je komunistyczne władze, które nie reprezentowały suwerennego narodu polskiego – mówi mi profesor Kulesza.

– Faktycznie, istnieje taka wykładnia: nie możemy mówić „polskie” na te powojenne, ale możemy mówić „niemieckie” na te wojenne, bo Niemcy wskazali na NSDAP w demokratycznych wyborach, a na to, kto będzie rządził Polską po wojnie, naród nie miał żadnego wpływu – komentuje profesor Kopka.

– Bardzo wygodna, usprawiedliwiająca teoria – twierdzi Kazimierz Kutz. – Czyli jak nazywać tych, którzy te obozy założyli i nadzorowali? I co się z nimi później stało? Odlecieli na inną planetę? Czy polskimi obywatelami stali się w momencie zamknięcia ostatniego, hańbiącego naszą narodowość, obozu?

*

Funkcje miejsc odosobnienia były różne. Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego nadzorował obozy pracy przymusowej, lub – co lepiej pasuje do sytuacji – niewolniczej. W Świętochłowicach natomiast mało kto stał o własnych siłach podczas porannego apelu. Morelowi robiono wyrzuty w UB, że nie jest w stanie przekazać hucie trzydziestu procent oczekiwanej liczby pracowników. Nikt jednak nie zmuszał go do zmiany metod. Z kolei w Centralnym Obozie Pracy Warszawa siedzieli głównie jeńcy z Wehrmachtu. Ich głos rozbrzmiewał w stolicy w pierwszych powojennych latach. Zamiatali ulice, odgruzowywali, pomagali urządzać w ocalałych budynkach prowizoryczne sklepy. MBP przetrzymywało ich w poprawnych warunkach. Nie torturowano ich ani nie morzono głodem. Warszawskich jeńców trzymano też w wielkim obozie na Polu Mokotowskim oraz w tajemniczym, zapomnianym dziś nawet przez samych mieszkańców miasta obozie Konzentrationslager Warschau, rozpiętym pomiędzy Pawiakiem a Gęsiówką. Komunistom udało się zatrzeć w pamięci to miejsce. Rozebrano je dopiero w latach sześćdziesiątych.

Całkowicie nietrafne byłoby sformułowanie „polskie obozy przesiedleńcze”. W tego rodzaju obozach cywilów przetrzymuje się w możliwie najlepszych warunkach, najkrócej jak się da, na czas przygotowania operacji logistycznej mającej na celu transport ludzi do ich nowego miejsca zamieszkania.

– Nie da się wszystkich i wszystkiego stawiać w centrum pamięci; jak będziemy pamiętali o wszystkim, to nie będziemy pamiętali o niczym. A z pamięcią o tych obozach nie jest źle. W Jaworznie, gdzie działał największy COP, były niedawno sympozja i spotkania naukowe poruszające ten wątek – mówi mi ówczesny szef IPN doktor Łukasz Kamiński.

– Wątek? Fakt istnienia powojennych obozów jest niemal całkowicie nieznaną Polakom.

– Wie pan, obława augustowska też była do niedawna w zasadzie nieznaną kartą historii. Ta gigantyczna operacja NKWD, Armii Czerwonej, WP i UB wymierzona w niepodległościowe

podziemie... Też ludzie nie wiedzieli.

– Czyli w sumie historia obozów pracy dla Niemców jest znana, a jeśli nawet nie tak bardzo, to mordowanie Żołnierzy Wyklętych także nie jest jeszcze dokładnie zbadaną zbrodnią stalinowską? Zamówienie przez internet koszulki z Łupaszką zajmie mi dziesięć minut.

– Nie jest tak źle, pamiętamy na przykład o powojennym więzieniu dla Niemców we Wrocławiu, gdzie trzymaliśmy zbrodniarzy, esesmanów, gestapowców. Nikt nie chce tutaj wypierać się sytuacji, że w więzieniu siedziało więcej Niemców niż Polaków.

– Zbrodniarzy? To pan nie wie, że w obozach, w całej Polsce, zamykano niewinnych ludzi, często kobiety i starców? I Żołnierzy Wyklętych? I Ukraińców?

– No właśnie, nie tylko Niemców. Był w Jaworznie podobóz ukraiński. Tej krzywdy nie można tak zniemczać. A co do nazewnictwa: odradzałbym panu szczerze używania sformułowania „polski obóz koncentracyjny”, bo Polacy nie mieli wpływu na ich powstanie.

– Bo baraków nie zbudowali?

– Radziłbym mówić „komunistyczne obozy”, ale nie pracy. Przecież tam MBP tych ludzi głównie maltretowało.... Ale obóz obozowi nierówny. W niektórych częściach kraju ci pozamykani ludzie pracowali w gospodarstwach rolnych znajdujących się w pobliskich miejscowościach.

– Środkowa Polska, przedwojenne pogranicze. Zna pan tę historię.

– O, wiem, jak zalecałbym mówić: „obozy”. Po prostu. Po co jakieś przymiotniki?

Doktor habilitowany Mirosław Szumiło, szef Biura Badań Historycznych IPN, powołany w drugiej połowie 2015 roku. Bardzo zdziwiony mówi:

– Ciekawe, dlaczego IPN się tym nie zajął, ja nie miałem wpływu, bo mnie jeszcze nie było, a że coś takiego się wydarzyło, to wiem.

– Co pan wie konkretnie o polskich obozach?

– Konkretnie to nic, bo ja się zajmuję w swojej pracy naukowej partią, a nie aparatem bezpieczeństwa.

– Można przypuszczać, że Instytut, któremu pan przewodniczy, zajmie się tym tematem?

– Nie ma problemu, możemy się zajmować wieloma tematami, a każdy obywatel może zgłosić zagadnienie, wtedy się przyjrzymy i zastanowimy, czy badać. Napisać do nas trzeba, wysłać.

Z uzasadnieniem.

OBOZY W POLSCE
1944–1950



OBOZY PRZYKOPALNIANE

⊗ Obozy pracy
Centralnego Przemysłu
Węglowego (CZPW)



PODZIĘKOWANIA

Autor dziękuje:

Maryli Grębskiej, Karolinie Tic, Prof. Bogusławowi Kopce, Dr Joannie Ostrowskiej, red. Zbigniewowi Gluzie, Dr. Sławomirowi Poleszakowi oraz wszystkim, bez których ta książka po prostu by się nie ukazała.

BIBLIOGRAFIA

Literatura:

- Hannah Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, przeł. Daniel Grinberg, Mariola Szawiel, Warszawa 2014.
- Aleida Assmann, *Między historią a pamięcią. Antologia*, red. Magdalena Saryusz-Wolska, Warszawa 2013.
- Doświadczenia graniczne. Młódzież bada polsko-niemiecką historię*, pod red. Aliny Wancerz-Gluzy i Gabriele Bucher-Dinç, tłum. Herbert Ulrich, Jolanta Pawłowska, Warszawa 2003.
- R.M. Douglas, *Wypędzeni. Powojenne losy Niemców*, tłum. Grzegorz Siwek, Warszawa 2013.
- Gerhard Gruschka, *Zgoda – miejsce grozy. Obóz koncentracyjny w Świętochłowicach*, tłum. Michał Wolny, Gliwice 1998.
- Magdalena Grzebalkowska, *1945. Wojna i pokój*, Warszawa 2015.
- Helga Hirsch, *Zemsta ofiar. Niemcy w obozach w Polsce 1944–1950*, przeł. Maria Przybyłowska, Warszawa 1991.
- Ryszard Kaczmarek, *Polacy w Wehrmachcie*, Kraków 2010.
- Kadra bezpieczeństwa 1945–1990. Obsada stanowisk kierowniczych aparatu bezpieczeństwa w województwach śląskim/katowickim, bielskim i częstochowskim*, wstęp i red. Waław Dubiański, Adam Dziuba i Adam Dziurok, Katowice 2009.
- Bogusław Kopka, *Obozy pracy w Polsce 1944–1950. Przewodnik encyklopedyczny*, Warszawa 2002.
- Otto Dov Kulka, *Pejzaże metropolii śmierci. Rozmyślenia o pamięci i wyobraźni*, przeł. Michał Szczubiałka, Wołowiec 2014.
- Primo Levi, *Rozejm*, przeł. Krzysztof Żaboklicki, Kraków 2009.
- Jonathan Littell, *Łaskawe*, przeł. Magdalena Kamińska-Maurugeon, Kraków 2008.
- Annemarie Müller-Górzno, „Kogóż mam się lękać?” *Wspomnienia wielkopolskiej Niemki 1945–1949*, przeł. Eugeniusz Wachowiak, Poznań 2000.
- Niemcy w Polsce 1945–1950. Wybór dokumentów*, t. 1, *Władze i instytucje centralne. Województwo olsztyńskie*, pod red. Włodzimierza Borodzieja, Hansa Lemberga, tłum. Maria

Cegielska, Warszawa 2000.

Niemcy w Polsce 1945–1950. Wybór dokumentów, t. 2, Polska Centralna. Województwo śląskie, pod red. Włodzimierza Borodzieja i Hansa Lemberga, tłum. Maria Cegielska, Warszawa 2000.

Niemcy w Polsce 1945–1950. Wybór dokumentów, t. 3, Województwa poznańskie i szczecińskie, pod red. Włodzimierza Borodzieja i Hansa Lemberga, tłum. Zdzisław Owczarek, Warszawa 2001.

Edmund Nowak, *Cień Łambinowic. Próba rekonstrukcji dziejów obozu pracy w Łambinowicach 1945–1946*, Opole 1991.

Obozowe dzieje Świątchłowic. Eintrachtütte – Zgoda, pod red. Adama Dziuroka, Katowice 2002.

Obóz dwóch totalitaryzmów. Jaworzno 1943–1956. Materiały z konferencji naukowej „Historia martyrologii i obozów odosobnienia w Jaworznie w latach 1939–1956”, t. 1 i 2, pod red. Kazimierza Miroszewskiego i Zygmunta Woźniczki, Jaworzno 2007.

Obóz w Potulicach – aspekt trudnego sąsiedztwa polsko-niemieckiego w okresie dwóch totalitaryzmów, pod red. Alicji Paczoskiej, Bydgoszcz 2005.

Hugo Rasmus, *Pommerellen / Westpreussen 1919–1939*, München 1989.

Hugo Rasmus, *Schattenjahre in Potulitz 1945. Schicksal in polnischen Internierungslagern. Eine Dokumentation*, Münster 1995.

Friedrich Reck-Malleczewen, *Tagebuch eines Verzweifelten. Zeugnis einer inneren Emigration*, München 2009.

John Sack, *Oko za oko. Przemilczana historia Żydów, którzy w 1945 r. mścili się na Niemcach*, tłum. Roman Palewicz, Gliwice 1991.

W.G. Sebald, *Wojna powietrzna i literatura*, przeł. Małgorzata Łukasiewicz, Warszawa 2012.

Timothy Snyder, *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, przeł. Bartłomiej Pietrzyk, Warszawa 2015.

Witold Stankowski, *Lager für Deutsche in Polen am Beispiel Pommerellen / Westpreussen (1945–1950). Durchsicht und Analyse der polnischen Archivalien*, Bonn 2001.

Henry David Thoreau, *Obywatelskie nieposłuszeństwo*, przeł. i oprac. Halina Ciepłińska, Poznań 2011.

Kurt Vonnegut, *Rzeźnia numer pięć, czyli Kruczata dziecięca, czyli Obowiązkowy taniec ze śmiercią*, przeł. Lech Jęczynek, Warszawa 2013.

Tadeusz Wolsza, *Więzienia stalinowskie w Polsce. System, codzienność, represje*, Warszawa 2013.

Mateusz Wyrwich, *Łagier Jaworzno*, Warszawa 2013.

Artykuły:

Tomasz Bienias, *Sąd nad komendantem. Obozy pracy dla Niemców na Śląsku*, „Gazeta Wyborcza

Katowice” 1995, 4 października.

Jakub Ciećkiewicz, „*Piekło zaczęło się po wojnie*”, „Wieści” 1991, 24 listopada.

Adam Dziurok, *23 lata, 6 miesięcy i 22 dni Salomona Morela*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2004, nr 6–7.

Andrzej Fedorowicz, *Przymusowy obóz pracy Jaworznie. Wzorowy polski łagier*, „Polityka” 2014, 8–14 stycznia.

Wiktor Ferfecki, Paweł Szaniawski, *Ten historyk znieważa Polaków*, „Życie Warszawy” 2006, 5 lipca.

Magdalena Grzebałkowska, *Śpiewać, hitlerówy! Czy biliśmy tylko za nazizm?*, „Duży Format” 2014, 27 listopada.

Igor Jarek, *Metry*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny” 2016, 20 lutego.

Henryk Napieralski, *Porucznik „Wichura” Edward Wasilewski (Z dziejów AK obwodu „Mewa-Jamnik-Kamień”)*, „Rocznik Mińsko-Mazowiecki” 1997/1998, nr 4.

Agnieszka Jukowska, *Proces byłego komendanta obozu w Łambinowicach zostanie umorzony*, „Gazeta Wyborcza Opole” 2006, 19 czerwca.

Bogusław Kopka, *Archipelag bezpieczeństwa*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny” 2004, 11 grudnia.

Bogusław Kopka, *Zanim wybudowano muzeum Polin*, „Skarpa Warszawska” 2015, nr 7.

Marek A. Koprowski, *Złapali siostrę Bieruta*, [www.kresy.pl/kresopedia,historia,ii-wojna-swiatowa?zobacz/zlapali-siostre-bieruta](http://www.kresy.pl/kresopedia/historia,ii-wojna-swiatowa?zobacz/zlapali-siostre-bieruta) (dostęp: 24.11.2016).

Witold Kulesza, *Ten historyk znieważa polski naród*, „Życie Warszawy” 2006, 5 lipca.

Kazimierz Kutz, *Stare srebra*, „Gazeta Wyborcza Katowice” 2009, 27 marca.

Grażyna Kuźnik, *Obozy, wojenna scheda*, „Dziennik Zachodni” 2012, 2 marca.

Wiesława Lipińska, *Odwet*, „Słowo Ludu” 1997, 30 maja.

Krzysztof Ogiolda, *Obóz obozowi nierówny*, „Polska The Times” 2006, 7 lipca.

Krzysztof Ogiolda, *Powiedzmy całą prawdę. Rozmowa z Ewaldem Pollokiem*, „Życie Warszawy” 2006, 6 lipca.

Lidia Ostalowska, Roman Imielski (współpraca), *Trzecia stacja – Zgoda*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny” 1999, 13 marca.

Ewald Stefan Pollok, *Nie znieważylem Polaków*, „Życie Warszawy” 2006, 6 sierpnia.

Justyna Przybytek, *Obóz pracy w Zgodzie – co noc z baraków dobiegały krzyki i jęki maltretowanych*, „Dziennik Zachodni” 2009, 3 lipca.

Andrzej Solak, *Brzemie Kaina*, www.pch24.pl/brzemie-kaina,35875,i.html (dostęp: 24.11.2016).

Maciej Stasiński, *Na polską historię obława. Kreml idzie na wojnę z AK*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny” 2015, 21 marca.

Krzysztof Strykowski, *Obóz pracy dla Niemców i volksdeutschów w Lesznie-Gronowie (1945–1950)*, „Kronika Wielkopolski” 2005, nr 1.

Marcin Szymaniak, *Serdecznie żegnamy!*, „Fakt Historia” 2016, 13–14 lutego.

Waldemar Szymczyk, *Die Polen*, „Gazeta Wyborcza” 1993, 13 kwietnia.

Rozalia Taraszkiewicz-Otta, *Dwie prawdy. Na drodze życia. Wspomnienia*, oprac. Sławomir Poleszak, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2007, nr 1.

Izabela Walarowska, *Akta ad acta*, „Gazeta Wyborcza” 1999, 2 marca.

Bartosz T. Wieliński, *27 stycznia 1945 r. Wyzwolenie i horror*, „Gazeta Wyborcza” 2011, 27 stycznia.

Filmy:

1945. Okrutny pokój, reż. Peter Molloy, Wielka Brytania 2015.

Casus „Potulice”, reż. Wojciech Worotyński, Polska 1999.

...Niech świat pamięta o nas... Tragedia Górnoślązaków, reż. Jerzy Sobociński, Stefan Skrzypczak, Polska 2004.

Obóz dwóch totalitaryzmów, reż. Jędrzej Lipski, Piotr Mielech, Polska 2007.

Polskie obozy koncentracyjne, reż. Paweł Sieger, Polska 2012.

Spaleni słońcem, reż. Nikita Michalkow, Rosja 1994.

Tragedia Górnośląska 1945, reż. Aleksandra Fudala, Adam Turula, Polska 2015.

Zabijanie po czesku, reż. David Vondráček, Czechy 2010.

Zgoda – miejsce niezgody, reż. Stefan Skrzypczak, Polska 2006.

Archiwa:

Archiwum Akt Nowych

Archiwum Państwowe w Katowicach

Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu

Archiwum Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu

Rozmowy:

Warto jeszcze raz podsumować wszystkie rozmowy z bohaterami. W Hamburgu spotkałem się z Willibaldem Pieschem, Georgiem Galaunerem i Karoliną Tic. Elizabeth Kuśnierz opowiedziała mi o swoim pobycie w Auschwitz przez telefon. Mirosław Szumiło, Łukasz Kamiński, Piotr Greiner i Andrzej Biernat rozmawiali ze mną o sprawie udostępnienia stronie niemieckiej archiwum znalezionej przez Ewę Będkowską. W Niemczech rozmawiałem także z Karlem Mocke, Dorotą Boreczek i Andrzejem Jurkowskim. W Polsce i Niemczech spotkałem się jeszcze z dwoma osobami,

które poprosiły o anonimowość. Z jedną z nich rozmawiałem także przez telefon.

Inne:

Podczas pisania *Małej zbrodni* bardzo ważną okazała się dla mnie książka prof. Bogusława Kopki *Obozy pracy w Polsce 1944–1950*. To przewodnik encyklopedyczny, opracowany z ogromną starannością o każdy detal. Był dla mnie źródłem wiedzy o liczbie i lokalizacji obozów. Większość cytowanych dokumentów zaczerpnąłem właśnie z tej książki – chodzi przede wszystkim o dokumenty dotyczące Bloku Antyfaszystowskiego, instrukcje kierowników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, okólniki MBP, uchwały Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego, rozkazy specjalne, pismo Romana Zambrowskiego do naczelnika Mariana Kantora oraz rezolucję dotyczącą akcji „Wisła”.

Problematykę narodowościową Śląska tłumaczył mi cierpliwie podczas długiej rozmowy Kazimierz Kutz. Relacje Ślązaków pojawiające się w tekście pochodzą z akt znajdujących się w katowickim oddziale Instytutu Pamięci Narodowej.

Fragmety listu dyplomatów brytyjskich z Berlina oraz wystąpienia generała Władysława Sikorskiego wyemitowanego przez rozgłośnie w Tuluzie pochodzą z książki Tadeusza Wolszy *Więzienia stalinowskie w Polsce*. Wypowiedź Winstona Churchilla w Izbie Gmin cytuję za *Powojennymi losami Niemców* R.M. Douglasa.

Lektura reportażu Johna Sacka *Oko za oko* zdecydowała o kształcie pierwszego rozdziału mojej książki. Wtedy po raz pierwszy zwróciłem uwagę na Pawła Mąkę, więźnia będzińskiego getta. Później odnalazłem to nazwisko w aktach Archiwum Państwowego w Katowicach oraz w książce *Kadra bezpieczeństwa 1945–1990* opracowanej przez Waclawa Dubiańskiego, Adama Dziubę i Adama Dziuroka, dotyczącej obsady stanowisk kierowniczych Urzędu Bezpieczeństwa na Śląsku. Z książki Sacka pochodzi też dramatyczny fragment zeznania więźniarki MBP, cytowany w rozdziale *System*.

Pismo potwierdzające nadanie Złotego Krzyża Zasługi oraz wszystkie inne dokumenty dotyczące pani Doroty Boreczek pochodzą z jej prywatnego archiwum.

Zaświadczenie Mieczysława Moczara z pozytywną opinią na temat jego protegowanego, Salomona Morela, znajduje się w katowickim oddziale IPN, w aktach śledztwa dotyczącego procesu byłego komendanta oskarżonego o ludobójstwo. Wiele innych dokumentów cytowanych w dwóch pierwszych rozdziałach także pochodzi z tego źródła – między innymi zeznanie Józefa Tkaczyka, Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Cytaty w rozdziale *Bracia* pochodzą ze wspomnień Rozalii Taraszkiewicz-Otty *Dwie prawdy. Na drodze życia* opublikowanych w niskonakładowym periodyku IPN „Pamięć i Sprawiedliwość” w styczniu 2007 roku. Kiedy pracowałem nad książką, tekst nie był jeszcze dostępny w internecie –

otrzymałem go od Sławomira Poleszuka, szefa lubelskiego oddziału IPN.

W tym samym rozdziale pojawia się relacja Stanisława Pakuły pochodząca z artykułu Marka A. Koprowskiego *Złapali siostrę Bieruta*, opublikowanego na portalu internetowym kresy.pl 2 lutego 2013 roku.

Źródłem wiedzy o Edwardzie Wasilewskim, ps. Wichura, był tekst Henryka Napieralskiego *Porucznik „Wichura” Edward Wasilewski (Z dziejów AK obwodu „Mewa-Jamnik-Kamień”)*, opublikowany w czwartym numerze „Rocznika Mińsko-Mazowieckiego” z 1997/1998 roku.

Dokumenty dotyczące obozów w Jaworznie pochodzą z publikacji IPN *Obóz dwóch totalitaryzmów* pod redakcją Kazimierza Miroszewskiego i Zygmunta Woźniczki. Stąd zaczerpnąłem też cytowane wypowiedzi Anny Piątek, Franciszki Buczek i Augustyna Sidelko.

Słowa byłego oficera kontrwywiadu oraz Jerzego Prószyńskiego cytuję za znakomitą książką *Łagier Jaworzno* Mateusza Wyrwicha; źródłem wypowiedzi Jana Sulczyńskiego oraz zeznań Ignacego Szypuły, Antoniego Końcy i Janusza Kuleszy jest natomiast *Cień Łambinowic* Edmunda Nowaka.

Akt oskarżenia Czesława Gęborskiego znajduje się w aktach Sądu Wojewódzkiego w Opolu. Materiały obejmują sześć tomów i są oznaczone sygnaturą SRF.S 110-56 – stąd pochodzą również wszystkie pozostałe cytowane w książce dokumenty dotyczące Gęborskiego.

Podstawą fabularyzowanej opowieści o Annemarie Müller były fragmenty jej autobiografii opisującej ostatnie dni wojny oraz książki *Łaskawe* Jonathana Littella.

Informacje na temat tego, co wydarzyło się w Auschwitz po 1945 roku, zdobyłem przede wszystkim podczas rozmowy z dr Piotrem Setkiewiczem oraz Jackiem Lachendro z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Wykaz osób zmarłych od kwietnia 1945 do lutego 1946 w obozie Państwowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Oświęcimiu znajduje się w Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Pisząc rozdział o Oświęcimiu, opierałem się również na relacji byłego więźnia obozu Pawła Świdergoła, która znajduje się w Zarządzie Oddziału Wojewódzkiego Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem w Katowicach. Skorzystałem także z relacji Marty Weiser opublikowanej w „Biuletynie Jubileuszowym Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem”. Udostępnił mi go pracownik Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Na kształt tej książki bardzo znacząco wpłynęło spotkanie w Ośrodku Karta z redaktorem Zbigniewem Gluzą. Udostępnił mi on niepublikowany wcześniej tekst notatki dyplomatycznej prof. Władysława Bartoszewskiego.

Warto wspomnieć także o tekście *Co starano się tuszować w Katowicach*, który tłumaczy, co wydarzyło się po likwidacji archiwum kopalni Klimontów w Sosnowcu. Co prawda w sieci nie

można odnaleźć już ani polskiej, ani niemieckiej wersji artykułu, zachowałem jednak obie w swoim archiwum – podobnie jak facebookowe komentarze, na które powoływałem się podczas zrelacjonowanej w książce rozmowy ze Zbigniewem Gluzą.

List biskupów polskich do biskupów niemieckich – podobnie jak odpowiedź episkopatu niemieckiego – można odnaleźć w internecie, między innymi w czytelni portalu opoka.org.

SPIS ILUSTRACJI

Druty obozowe – zdjęcie współczesne. PAP;

Szyb kopalni w Rudzie Śląskiej. Fot. Adrian Ślązok/REPORTER;

Brama obozu w Świętochłowicach-Zgodzie. Fot. Paweł Drozd;

Teren kamieniołomu w Dominowie – zdjęcie współczesne. Fot. Marek Łuszczyna;

Jeńcy niemieccy pracujący przy odgruzowaniu zniszczonej Warszawy, 1946. PAP;

Pomnik więźniów obozu w Jaworznie. Fot. Beemweij;

Teren byłego obozu w Potulicach, obecnie Zakład Karny w Potulicach. Fot. Marek Łuszczyna;

Pomnik ofiar obozu w Łambinowicach w latach 1945–1946, zdjęcie współczesne. Fot. Grzegorz Hawalej/REPORTER;

Las w okolicy Górzna. Domena publiczna;

Teren obozu w Oświęcimiu-Brzezince, zdjęcie współczesne. Fot. Szymon Blik/REPORTER.

Projekt okładki
Wojtek Kwiecień-Janikowski

Opieka redakcyjna
Natalia Gawron
Maciej Gablankowski

Konsultacja merytoryczna
Prof. Witold Stankowski
Dr hab. Marcin Zaremba

Wybór ilustracji
Natalia Gawron

Przygotowanie map
Katarzyna Leja

Mapy opracowane na podstawie książki
B. Kopki Obozy pracy w Polsce 1944–1950

Korekta
Anna Niklewicz
Grażyna Rompel

Copyright © by Marek Łuszczyna
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-240-4176-3

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

